

Kto rozbija koalicję ■ Ferie są bez sensu ■ Łukaszenka, mały Stalin
W wiosce czarownic ■ Kryminał o Polsce ■ Dlaczego nie nosimy kapeluszy

Kraków 22-28 stycznia 2025 nr 4 (3942)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl



My, klasa średnia

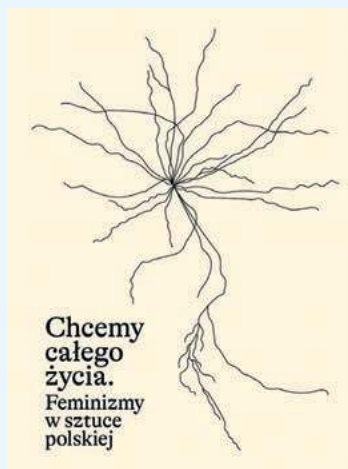
DUMNI, ZMĘCZENI, WKURZENI

**STRONY SPECJALNE
WOKÓŁ AUSCHWITZ, 80 LAT PÓŹNIEJ**



słowo/obraz terytoria

Otwórz książkę, odkryj sztukę



Chcemy całego życia.
Feminizmy w sztuce
polskiej



Zofia Machnicka
Teresa Tyszkiewicz.
Ciało moje jest



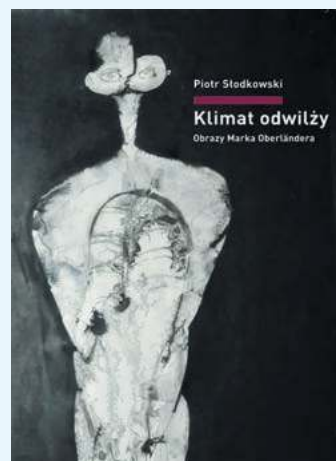
JUŻ WKRÓTCE



Christopher Rothko
Mark Rothko: Od
środką



Maria Poprzęcka
Śmierć przed obrazem.
O sztuce, starości
i zanikaniu



Piotr Słodkowski
Klimat odwilży.
Obrazy Marka
Oberländera

KS. ADAM

Boniecki: Rocznicą ludzkości

Rozmowa z dyrektorem Muzeum Auschwitz-Birkenau Piotrem Cywińskim w 80. rocznicę wyzwolenia obozu jest lekturą wstrząsającą nie tylko w tym, co Piotr mówi, ale i w tym, jak mówi. Dla mojego, wymierającego pokolenia, sposób myślenia Piotra, czyli człowieka z pokolenia następnego, jest zaskakujący. Uświadamia, że są ludzie tak patrzący na to, cośmy przeżyli dawno temu, którzy nam mówią, czego byliśmy świadkami i czego nas uczą mury obozu, który stał się muzeum. No właśnie, muzeum czego? Auschwitz był obozem koncentracyjnym i obozem zagłady.

Kiedy piszę o odniesieniach do moich młodzińskich doświadczeń, to nawiązuję do pamięci losów moich najbliższych. Wtedy, kiedy się to działo, nie tylko byłem już na świecie, ale dotyczyło mnie to w losach osób najbliższych. Do obozu koncentracyjnego w Auschwitz po powstaniu warszawskim trafiły, wśród innych, dwie siostry mojej mamy. Imola – malarka mająca za sobą studia w Polsce i we Włoszech, oraz Ida, muzyk, intelektualistka. Obie doskonale znały język francuski. Ida jeszcze angielski. Imola została potem przeniesiona do innego obozu na terenie Niemiec. Wróciły obie. Ida w amerykańskim mundurze, chyba jako pracownica Czerwonego Krzyża, Imola przywędrowała z Niemiec. O ich dziejach nie czas pisać. Tu chcę tylko podkreślić, że nigdy nie wracały do obozowych wspomnień. Imola tylko w pierwszym okresie po powrocie rysowała sceny obozowe. Pamiętam dobrze obraz, na którym sznur ludzi popycha taczki. Idą po ziemi, ale w jakimś miejscu ten pochód od ziemi się odrywa. Udręczeni ludzie idą do nieba. Nigdy ich nie pytałem o obozy. Chyba nikt nie pytał, a one nie opowiadały. Straszne wspomnienia zabrały ze sobą.



Muzeum opowiada dziś o tym, do czego jest zdolny człowiek, któremu odebrano pojęcia dobra i zła w ich elementarnym znaczeniu. Bo przecież Auschwitz było też obozem zagłady. Miejszem konsekwentnie zaplanowanego przemysłu śmierci. Rozmowa z Piotrem Cywińskim budzi wiele myśli wychodzących poza jego granice, bo znamy przecież współczesne obozy eksterminacji. Skazywanie ludzi na tortury i śmierć możliwe jest na wiele sposobów. Myślę jednak,

że ostrzeżenie zawarte w tym miejscu świata do wielu ludzi przemówiło. Mnóstwo praw, jakie stworzono po II wojnie światowej, mimo działań rozmaitych przywódców i ich akolitów, odgrywa jednak w świecie, w którym żyjemy, jakąś rolę. Niezależnie od tego, czy wszystkie wyroki uda się wykonać i bez względu na to, że przemoc nadal będzie decydowała o kształcie świata, prawa człowieka są coraz wyraźniej formułowane i, co więcej, egzekwowane. Zgoda, ten proces postępuje wolno, ale nie zapominajmy, jak długo całkiem inne prawa decydowały o losie narodów i ludzi. Nie wiem, czy przed końcem świata zdążymy uporządkować go według zasad sprawiedliwości, nie mówiąc o zasadach miłości. Ale przecież ludzi dobrej woli jest więcej.

Rocznicą wyzwolenia KL Auschwitz jest dobrą okazją, by się na chwilę zatrzymać i pomyśleć, dokąd idziemy. Rocznicę raczej nie bywały datami zwrotnymi w dziejach, mogą jednak stać się początkiem nowej refleksji. Przynajmniej ta pełna bólu rocznica, mająca za sobą lata przemysłu i studiów, na pewno nią jest. ©P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP

POWIEDZ NAM, CO SĄDZISZ! ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU W KRÓTKIEJ ANKIECIE

Odpowiedz zajmie Ci **dostłownie minutę**, a **Twoje zdanie** jest dla nas bardzo ważne.

Żeby wziąć udział w ankiecie, **zeskanuj** zamieszczony obok kod

lub wejdź na adres **powszech.net/ankieta2**

Od czasu do czasu chcemy prosić Czytelników o opinię na wybrane tematy dotyczące drukowanego wydania. Twoje odpowiedzi pomogą nam w pracy nad tym, żeby „Tygodnik” był jeszcze lepszy.

DZIĘKUJEMY, ŻE NAS CZYTASZ!



W eźcie, proszę, kalkulator i zaczynajcie lekturę tego numeru od **STRONY 30**. Co Wam wyszło, jesteście w klasie średniej? A jeśli znaleźliście się poza widełkami dochodu na głowę – poczuwacie się do wartości współdzielonych przez tę grupę społeczną? Albo wykonujecie zawody tradycyjnie do niej przypisywane?

Jeśli czujecie, że Polska po 1989 r. została zbudowana głównie na wysiłku klasy średniej, a jednocześnie widzicie, że nie tylko dentystka, która lata Wam „szóstkę”, ale też fachowiec, który remontuje Waszą łazienkę, jeżdżą lepszymi samochodami od Was – przeczytajcie **RAPORT MARKA RABIIJA**.

„Przemysłowy boom, którego Polska doświadczyła po wejściu do Unii”, poskutkowało tym, że „siła nabywca przeciętnego robotnika wzrosła w tym dwudziestolecu o ponad 44 proc., podczas gdy portfel statystycznego średniaka stracił na wartości o 2,4 proc.”. Efekt? Grupa społeczna, „która rodziła się w Polsce jako symbol nadziei na lepszą przyszłość, dziś jest głównie wyrazicielem strachu o to, co przyniesie jutro”.

Od siebie dodam, że Marek – *nomen omen* – zdeklasował medialną konkurencję ujęciem tematu.

Rozrywką klas niższych zawsze było pławienie się w opowieściach o skandalach dotyczących klas wyższych. Stąd sukces zarówno prasy z krzykliwymi żółtymi tytułami, jak i „Gry o tron” – będącej przecież wariacją na temat wojny Dwóch Róż, czyli dziejów wzajemnej eksterminacji angielskich arystokratów. W Polsce mamy obecnie szansę, by na chwilę odwrócić uwagę od lęku przed deklasacją i zająć się naszymi „osobami królewskimi”. W wileńskiej katedrze odnaleziono przygotowaną w 1939 r. skrytkę, a w niej zawinięte w gazety korony Aleksandra Jagiellończyka i dwóch żon Zygmunta Augusta: niekochanej Elżbiety i ukochanej Barbary (odnajdźcie obraz Józefa Simmlera i pokontemplujcie przez chwilę królewski smutek).

Dlaczego te korony są sporządzone ze srebra pokrytego złotem (czy jednej z najpotężniejszych europejskich dynastii nie było stać na lepsze?) i skąd właściwie się wzięły akurat w Wilnie? Przeczytajcie o tym w tekstach **MAGDALENY ŁANUSZKI i DOMINIKI WILCZEWSKIEGO** w specjalnym dziale „Odkrycia”. ©P

MACIEJ MÜLLER
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz działu Wiara, piszący również na tematy historyczne oraz dotyczące zdrowia. Autor kilku książek, m.in. „Żywych pochodni” o początkach chrześcijaństwa.



72 Na tropie wielkiej powieści ZIEMOWIT SZCZEREK

Małgorzata i Michał Kuźmińscy już od ponad dekady opowiadają Polskę w kryminałach. Żaden temat uznany powszechnie za ciężki nie wydaje się dla nich zbyt trudny pisarsko.



82 Fałszywy rumieniec ANITA PIOTROWSKA

Prezesa korporacji z Manhattanu ucieka od idealnego życia w dziki romans z dużo młodszym stażystą. Wielki ziew? W tym przypadku jednak nie, bo „Babygirl” mistrzowsko tasuje zgrane karty.



86 Halka, talia, łydka

ROZMOWA Z JUSTYNĄ KRZEPKOWSKĄ, KOSTIUMOŁKĄ: Kapelusze zniknęły, bo nie umiemy już ich nosić. Trzeba by iść z wyprostowaną głową i patrzeć ludziom w oczy. A dziś na ulicach unikamy spojrzeń.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Chwila porozumienia
DARIUSZ ROSIAK

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Po co nam państwo
MARCIN KĘDZIEŃSKI:
*Aby demontowane dziś
instytucje publiczne odzyskały
swoją charakter, konieczne jest
przywrócenie równowagi między
wielkim kapitałem i demokracją*

24 Kwadratura trójkąta
PIOTR ŚMIŁOWICZ
o słabościach koalicji rządowej

26 Ferie do odwołania
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
*Sensu w polskiej szkole bywają
pozbawione nie tylko nauka,
lecz także wypoczynek*

■ ■ RAPORT

**28 Dumni, zmęczeni,
wkurzeni**
MAREK RABIJ: *Jak to możliwe, że
polska klasa średnia uważa się
za głównego majstra na budowie
nowego porządku po 1989 roku
i zarazem za największego
przegranego tej transformacji?*

■ ■ ODKRYCIA

32 Korony naszego królestwa
MAGDALENA ŁANUSZKA
*opowiada o odkrytych w Wilnie
jagiellońskich koronach
i o ludziach, którzy je nosili*

34 Wspólne dziedzictwo
DOMINIK WILCZEWSKI

■ ■ WIARA

38 Wioski czarownic
ANNA NIEDZWIEDŹ
o wierze w czary w Ghanie

TEMAT TYGODNIKA

CHRISTOPHER FURLONG / GETTY IMAGES



12

Na ich miejscu

ROZMOWA Z PIOTREM CYWIŃSKIM,
DYREKTOREM MUZEUM
AUSCHWITZ-BIRKENAU:

*W lustrze tego miejsca odbija się nasz
świat. Widać w nim polityczne gry,
holokaustowy kicz,
pomieszanie prawdy i fałszu
– ale to dopiero początek.*

■ ■ STRONY SPECJALNE ■ ■

**55 WOKÓŁ AUSCHWITZ,
80 LAT PÓŹNIEJ**

■ FELIETONY ■

37 TOMASZ STAWISZYŃSKI **47** WOJCIECH BONOWICZ

84 OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

42 Jesteśmy tym, co myślimy
ROZMOWA Z ROBERTEM
WISZOWATYM *o tym, jak przestać
„być” naszymi myślami*

45 Batalia o korektę płci
MARTA ZDZIEBORSKA
*o światopoglądowym sporze
w USA*

■ ■ ŚWIAT

48 Ballada o bat’ce
PIOTR POGORZELSKI:
*Dyktator z Mińska odrobił lekcję po
sfalszowanych wyborach z 2020
roku. Oczyszczył kraj z oponentów,
zlikwidował sektor pozarządowy,
zniszczył społeczną inicjatywę*

51 Co z tą Grenlandią?
ROZMOWA Z PIOTREM
SZYMAŃSKIM:
*To wyspa ważna strategicznie:
militarnie i z racji złóż surowców*

■ ■ NAUKA

66 Wiara w skalpel
MARZENA ZDANOWSKA:
*Efekt placebo jest w medycynie
wszechobecny – pojawia się nawet
w chirurgii*

■ ■ KULTURA

72 Na tropie wielkiej powieści
ZIEMOWIT SZCZEREK

76 Naród bezdomny
DARIUSZ KOŚCIŃSKI *o Teatrze
Narodowym w Warszawie*

78 Cud w Kolonii
FILIP ŁOBODZIŃSKI:
*Pół wieku temu Keith Jarrett
zarejestrował „The Köln Concert”*

82 Fałszywy rumieniec
ANITA PIOTROWSKA *o filmie
„Babygirl”*

83 Portret Lita
LEKTOR *o książce Jana Lityńskiego
„Litosfera. Autoportret odczytany”*

■ ■ ZMYŚŁY

86 Halka, talia, łydka
ROZMOWA
Z JUSTYNĄ KRZEPKOWSKĄ,
KOSTIUMOLOŻKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ...
... PROSTO DO SVOJEJ SKRZYŃKI

STR.

91



Słuchaj podcastów
POWSZECZ.NET/PODKAST



Zapisz się na newsletter
POWSZECZ.NET/NEWSLETTER

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

CHWIŁA POROZUMIENIA

Historia uczy, że żaden rozejm między Palestyńczykami a Izraelem nie trwał długo. Jednak dziś ważne jest, że dwa miliony zwykłych ludzi z Gazy, wyczerpanych tą wojną, mają choćby chwilowe wytchnienie. I że jest nadzieja dla izraelskich zakładników.

DARIUSZ ROSIAK

POWYŻEJ:
Palestyńczycy wracają do ruin miasta Dżabalija w północnej części Gazy, 20 stycznia 2025 r.

Z TRZYGODZINNYM OPÓŹNIENIEM, W NIEDZIELĘ 19 stycznia o 11.15 miejscowego czasu, weszło w życie zawieszenie broni w Gazie. Po południu Hamas zwolnił trzy pierwsze zakładniczki izraelskie, a w nocy z niedzieli na poniedziałek Izrael wypuścił z więzień 90 Palestyńczyków – kobiety i dzieci, pochodzące z Zachodniego Brzegu Jordanu oraz ze wschodniej Jerozolimy.

TO POCZĄTEK pierwszej fazy porozumienia zawartego między Hamasem a Izraelem, które może zapowiadać koniec wojny. Albo choćby kilkudniową czy kilkutygodniową przerwę w tragedii dwóch milionów mieszkańców Strefy.

Porozumienie zakłada doprowadzenie do pokoju i odbudowy Gazy w trzech etapach. Pierwszy ma potrwać 42 dni: w jego trakcie Hamas zwolni 33 izraelskich zakładników, głównie kobiety (w tym żołnierki) oraz dzieci, zaś Izrael – około 1,9 tys. palestyńskich więźniów przetrzymywanych w Izraelu, w tym skazanych za morderstwa. Armia izraelska

rozpocznie stopniowe wycofywanie się z rejonów mieszkalnych w Gazie, ludność z południa Strefy będzie wracać na północ. Wznowiona zostanie pomoc humanitarna dla Gazy: codziennie ma wjeżdżać do niej co najmniej 600 ciężarówek z żywnością, paliwem i lekami.

DALSZE ROZMOWY w sprawie tego, jak ma wyglądać druga faza tej umowy, mają zacząć się od szesnastego dnia obowiązywania pierwszej fazy. Przedstawiając porozumienie, odchodzący prezydent Biden zapowiedział, że w jego trakcie rozejm będzie kontynuowany. Jednak premier Netanjahu już zapowiedział, że Izrael jest gotów wznowić wojnę, jeśli negocjacje w sprawie przebiegu drugiej fazy się nie powiodą.

Na tym drugim etapie uwolnieni mieliby zostać wszyscy pozostali zakładnicy i wszyscy Palestyńczycy, których nazwiska znalazły się na zatwierdzonych przez Izraelczyków listach. Na koniec tej fazy armia izraelska miałaby całkowicie wycofać się z Gazy.

Trzecia faza, w tym momencie odległa, zakłada wieloletnią odbudowę Strefy i wyłonie-

nie jej nowych władz. Zwrócone mają też zostać ciała wszystkich zabitych zakładników.

TREŚĆ UMOWY nie różni się zasadniczo od wersji przedstawionej przez Bidena w maju 2024 r. Jednak zewnętrzna sytuacja zmieniła się przez ostatnie piętnaście miesięcy zasadniczo, co miało wpływ na osiągnięcie dziś rozejmu: Izrael zabił prawie wszystkich wysokich rangą dowódców Hamasu i znacząco osłabił Hezbollah w Libanie, co pośrednio wpłynęło na upadek reżimu Asada w Syrii. Znacząco osłabiła też siła Iranu. Jedynym wrogiem, zdolnym w tej chwili realnie zagrozić Izraelowi, są jemeńscy Huthi, którzy nie przezwali prób ostrzału Izraela nawet w miniony weekend.

Ustalone z pomocą pośredników (Kataru i Egiptu) i zawarte w katarskiej Dosze porozumienie jest też wynikiem ostrej presji na obie strony połączonych administracji – odchodzącej Bidena i przychodzącej Trumpa. Szczególne znaczenie miała interwencja wysłannika Trumpa na Bliski Wschód Stevena Witkoffa, który bezpośrednio uczestniczył w ostatniej fazie negocjacji.

STREFA GAZY jest dziś zniszczona w 70 procentach. Według danych Hamasu zginęło prawie 47 tys. ludzi, w większości cywilów, choć np. szacunki brytyjskich statystyków, opublikowane przez medyczne pismo „Lancet”, mówią, iż faktyczna liczba ofiar może być znacznie wyższa. Hamas jest bardzo osłabiony, jednak Izrael nie zrealizował głównego celu wojny deklarowanego przez Netanjahu, czyli całkowitego jego zniszczenia. W Gazie nie ma dziś innej władzy poza Hamasem. Jego członkowie dali to wyraźnie do zrozumienia: kilkuset z nich, zamaskowanych i uzbrojonych, było obecnych w trakcie przekazania pierwszych zakładniczek Czerwonemu Krzyżowi.

W trakcie wojny Hamas rekrutował nowych członków (według sekretarza stanu USA Blinkena – prawie tyłu, ilu stracił). Co prawda Izraelczycy i Amerykanie wykluczają możliwość udziału Hamasu

w przyszłych władzach Gazy, jednak przynajmniej, że dysponuje on ciągle dziesiątkami kilometrów tunelei, w których może być składowana broń. Dramat Palestyńczyków z Gazy polega dziś także na tym, że realnie mają do wyboru albo Hamas, albo skorumpowane i niekompetentne władze Autonomii Palestyńskiej.

W IZRAELU porozumienie pogłębia przepaść między zwolennikami i przeciwnikami rządu Netanjahu. Z jednej strony powszechna jest ulga i radość po zwolnieniu pierwszych zakładników. Jednak wielu Izraelczyków ma wątpliwości, czy porozumienie doprowadzi do wolności dla wszystkich. Rodziny, niepewne losu bliskich, naciskają na premiera, zarzucając mu, iż ponad życie zakładników przedkłada utrzymanie władzy i uniknięcie wyroku w sprawie o korupcję.

Z drugiej strony, wskutek presji partii skrajnych koalicja rządowa wisi na włosku. Z gabinetu ustąpił minister ds. bezpieczeństwa Itamar Ben-Gewir: odrzucił porozumienie z Hamasem i zapowiedział, że wróci do rządu dopiero, gdy Izrael wznowi wojnę w Gazie. Jego sojusznik Becalel Smotricz wprowadził został w rządzie, ale tylko po to, by patrzeć Netanjahu na ręce. Premierowi zostało zaledwie 62 posłów z 120-osobowym Knesecie.

HISTORIA UCZY, że żadne zawieszenie broni między Palestyńczykami a Izraelem nie utrzymało się długo. Niewiele wskazuje, by tym razem miało być inaczej. Lecz w tych dniach ważne jest, że dochodzi do choćby chwilowego wytchnienia dla zwykłych Palestyńczyków z Gazy, wyczerpanych po miesiącach nieustannych bombardowań, a także, że jest nadzieja dla izraelskich zakładników i ich rodzin.

Perspektywa samodzielnie funkcjonującego państwa palestyńskiego jest dziś jednak bardziej odległa niż kiedykolwiek. Z drugiej strony, iluzją pozostaje też przekonanie wielu Izraelczyków, że to wyłącznie siła militarna zagwarantuje bezpieczeństwo Żydom między Jordaniem a Morzem Śródziemnym. ©



Barwy kampanii

MAREK KĘŚRAWIEC

JEDNAK CIEPŁA WODA W KRANIE PLUS ROZLICZENIA to za mało, by Rafał Trzaskowski mógł się czuć faworytem wyścigu o prezydenturę. Zwłaszcza gdy rozliczenia sprowadzają się do powtarzania gróźb, które nie przekładają się na akty oskarżenia, a płynąca z kranu woda jest coraz droższa. To oczywiście nie jest wina kandydata pełniącego dziś funkcję prezydenta Warszawy, tylko posłów i rządu, ale trudno się dziwić, że część społeczeństwa właśnie na niego przenosi frustrację z powodu rosnących rachunków i cen w sklepach. Zaskakuje bardziej to, jak obóz władzy usilnie próbuje nie zauważyć problemu. Nie jestem przekonany, czy to najlepsza taktyka.

Nie mam też pewności, czy sam Trzaskowski do końca wie, jaka jest strategia jego kampanii. Mając wizerunek polityka o poglądach raczej progresywnych, założył, że w drugiej turze może liczyć na głosy elektoratu lewicy, więc dziś o niego nie dba. Skupił się na walce o polityczny środek, bo tam jest klucz do zwycięstwa i najwięcej niezdecydowanych wyborców. Kłopot w tym, że ciężko dla tej grupy ulepić spójny przekaz, więc z ust tego miłego człowieka w średnim wieku dobywają się słowa obłe, ostrożne i grzeczne. W ten sposób trudno będzie wygrać. Tym bardziej w sytuacji, w której nie tylko Karol Nawrocki i Sławomir Mentzen, ale też Magdalena Biejat i Szymon Hołownia – zaczęły atakować Trzaskowskiego (oraz rząd), by wzmocnić swe szanse. Oni przecież grają nie tylko o wynik w wyborach prezydenckich, ale też o pozycję własnych ugrupowań w koalicji rządzącej. A że nie będzie miło, udowodnił już marszałek Sejmu, który w TVN24 niedwuznacznie zasugerował, że nie podoba mu się przekazywanie miliardów na koleje szybkich prędkości łączących metropolie, przy jednoczesnym odbieraniu funduszy na rozwój lokalnych połączeń.

Ciężko o lepszy cios w kandydata walczącego z łatką przedstawiciela elit oderwanych od zwykłego życia. Szkoda, że przyszedł z własnego obozu.

„Niezależny” kandydat PiS ma na pewno łatwiej. Jest w pozycji goniącego, może ryzykować. Idzie więc odwrotną drogą niż Trzaskowski i stawia na polaryzację, kusząc elektorat Konfederacji antyukraińskim zwrotem. Ktoś powie, że to wbrew polskiej racji stanu, ale nie zapominajmy, iż wygibasy Zełenskiego w kwestii zbrodni wołyńskiej zaczynają złościć społeczeństwo i kto wie, czy kwestia ta nie stanie się języczkiem u wagi nadchodzących wyborów. ©®



Patologie PiS

PIOTR ŚMIŁOWICZ

PRZEDSTAWIONY W UBIĘGŁYM TYGODNIU RAPORT o politycznym wykorzystywaniu prokuratury w czasach PiS jest szokujący. Wiele z opisanych tam spraw było co prawda znanych opinii publicznej, jednak zestawienie ich w jednym dokumencie jest mocnym aktem oskarżenia i dowodem na patologie państwa w czasach PiS.

Kluczowe jest oczywiście wyciągnięcie z tego właściwych wniosków, a ten najważniejszy powinien oznaczać ograniczenie możliwości wykorzystywania politycznego prokuratury – czyli rozdzielenie funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego.

W ciągu 35 lat istnienia III RP koncepcje ustrojowe w tym zakresie się zmieniały. Przez pierwsze 20 lat obie funkcje były połączone, jednak pierwsze rządy PiS z lat 2005-07 pokazały podatność tego modelu na polityczne wykorzystanie. W 2010 r. rozdzielono oba urzędy, jednak PiS po powrocie do władzy w 2015 r. znów je połączył, argumentując, że tylko prokurator generalny, który jest bezpośrednio rozliczany politycznie przez wyborców wraz z całym rządem, będzie autentycznie zainteresowany ściganiem przestępców. Podawano przykład afery Amber Gold, gdy pozbawiona tej presji prokuratura działała nieudolnie.

Dziś widać jednak, że ewentualne wady niezależności prokuratora generalnego od rządu są niczym przy patologiach układu, w którym prokuratorzy stają się instrumentem politycznym w rękach ministra sprawiedliwości.

Adam Bodnar ma zatem słuszną koncepcję, zapowiadając przywrócenie rozdziału obu funkcji. Należy jednak zapytać, dlaczego jej nie realizuje.

Czy rzeczywiście nie można było w tej sprawie porozumieć się z prezydentem Andrzejem Dudą? Tak jak w 2010 r. ówczesny rząd Tuska dogadał się z prezydentem Lechem Kaczyńskim, choć ten też był przeciwnikiem rozdziału.

Nie znamy odpowiedzi na pytanie, co zrobiliby Duda, bo rząd żadnej ustawy w tej sprawie nie przedstawił. Bodnarowi wygodniej było usunąć prokuratora krajowego Dariusza Barskiego za pomocą kruczka prawnego, bo zapewniał sobie w ten sposób wpływ na prokuraturę. Potrzebny, bo trzeba było wykazać się sprawczością w rozliczaniu PiS. Zarazem średnio skuteczny, czego dowodzi sprawa Marcina Romanowskiego.

Nie jest to jedyna sprawa, w której obecna władza chętnie używa butów PiS, twierdząc, że robi to tymczasowo. Oby tak było, choć często najtrwalsze są prowizorki. ©



W składzie porcelany

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

DECYZJA O ODBLOKOWANIU ekshumacji we wsi Puźniki nie jest żadnym przełomem w relacjach polsko-ukraińskich, jednak wizyta w Warszawie Wołodymyra Zełenskiego to istotna korekta, której nie sposób nie docenić. Za kilka miesięcy przekonamy się, czy prezydent Ukrainy zechce pójść dalej i rozminuje obszar, który – utopiony w wyświechtanym haśle: „patrzmy w przyszłość, a przeszłość zostawmy historykom” – stanowi poważne obciążenie w relacjach Polska–Ukraina. Może być również tak, że to jedynie chwilo- wa potrzeba poszerzenia sobie pola manewru przez Kijów w związku ze zmianą władzy w USA, chaosem politycznym we Francji i Niemczech, powstającą prorosyjską ośią Bratysława–Wiedeń–Budapeszt i niepewną sytuacją przed powtórką wyborów prezydenckich w Rumunii, w której rozumiejący Kreml Călin Georgescu ma ponad 50 proc. poparcia.

Donald Tusk przekonuje, że od teraz każdy, kto będzie chciał grać historią, powinien iść do piekła. Problem w tym, że pierwszego powinien tam wysłać Zełenski. Już podczas wizyty w Warszawie zachowywał się on jak słoń w składzie porcelany, traktując historię jako element wybitnie

transakcyjny – my wam odmrażamy Puźniki, wy pchacie do przodu negocjacje akcesyjne z UE, a do tego rozwiązujecie kwestię upamiętnienia na Monasterzu, czyli odbudowujecie tablicę z nazwiskami żołnierzy UPA, zgodnie z ustaleniami z okresu rządów PiS.

Zełenski podjął też próbę rozgrywania polskiej polityki. Mimo że na każdym kroku ma pretensje o to, że historia jest u nas zakładnikiem kampanii – z tonem pewnej pogardy wypowiedział się o kandydacie na prezydenta utożsamianym z PiS, Karolu Nawrockim. Jest mało prawdopodobne, by zrobił to przypadkiem, a wcześniej nie został poinformowany przez swoich ludzi na temat tego, kto po prawej stronie będzie walczył o miejsce w pałacu po jego „przyjacielu” Andrzeju Dudzie.

Podobnie niemądre w ostatnich miesiącach było ustawianie Radosława Sikorskiego. Zełenski z jednej strony przyjmował go w Kijowie, a z drugiej organizował w lokalnych mediach kampanię przeciwko niemu i chamsko pouczał podczas rozmów w cztery oczy. Jeśli tak ma wyglądać jego otwarcie na Polskę, ten minireset skończy się szybciej, niż się rozpoczął. ©

Autor jest dziennikarzem DGP



Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski z wizytą w Polsce. Spotkanie z premierem Donaldem Tuskiem. Warszawa, 15 stycznia 2025 r.

NA PUNKTY

WRÓŻKA

Sąd Okręgowy w Legnicy skazał na 3,5 roku więzienia kobietę podającą się za wróżkę o nadprzyrodzonych zdolnościach. Obiecując, że odprawiane przez nią rytuały spowodują pozytywne zmiany w życiu jednej z klientek, doprowadziła ją do ponad 5 mln zł strat.

PREZES

W Zjednoczonych Emiratach Arabskich zatrzymano Samera A., b. prezesa jednej ze spółek należących do Grupy Orlen. Z akt sprawy nie wynika wprawdzie, że jego zdolności były nadprzyrodzone, ale za to straty, do jakich doprowadził Orlen, były wyższe: 1,5 mld zł.

PREMIER

„Taka rozmowa nigdy nie miała miejsca” – skomentował Adam Bodnar doniesienia „Newsweeka” o słowach Donalda Tuska, że „albo rozliczenia przyspieszą, albo dostanie Romana Giertycha na wiceministra”. Rozliczenia jednak przyspieszyły: prokuratura złożyła wniosek o uchylenie immunitetu b. premiera Mateusza Morawieckiego, któremu ma grozić do 3 lat więzienia za przekroczenie uprawnień i niedopełnienie obowiązków w związku z organizacją tzw. wyborów kopertowych w 2020 r. ©P



Zjawia się i znika: TikTok w USA

AGATA KAŹMIERSKA

BYŁ SOBOTNI WIECZÓR 18 STYCZNIA, gdy serwis TikTok przestał działać w Stanach. Niespodziewanie jednak wrócił już kilkanaście godzin później. Prawo, którego powstanie zainicjował Donald Trump (na zdjęciu) podczas swej pierwszej kadencji, a nad którym prace trwały przez cztery lata, tuż po tym, jak weszło w życie, stało się martwe – gdyż nowy gospodarz Białego Domu zmienił zdanie.

Teoretycznie nie powinno być tu żadnej dyskusji: Kongres USA uchwalił ustawę nakazującą właścicielowi TikToka, firmie Bytedance, sprzedaż tej części aplikacji, która przechowuje dane amerykańskich użytkowników. Obie główne partie, Republikanie i Demokraci, zgodnie uznawały, iż TikTok to „chiński szpieg w kieszeniach Amerykanów”, a jego działanie zagraża bezpieczeństwu narodowemu. Decyzję tę podtrzymał w zeszłym tygodniu Sąd Najwyższy. Tyle że Trump tuż przed objęciem urzędu ogłosił, że ustawę zawiesi na 90 dni – choć zastrzegł, że chce, by Stany miały 50 proc. udziałów w firmie.

Shou Chew, prezes TikToka, już w grudniu spotkał się z Trumpem na Florydzie;

został też zaproszony na jego zaprzysiężenie. Choć nie wiadomo, czy Shou Chew zmieni algorytmy aplikacji tak, by mocniej promowały sprzyjające Trumpowi treści – jak wcześniej uczynili to Elon Musk i Mark Zuckerberg – nie byłoby zaskoczeniem, gdyby tak zrobił. Bytedance

stanie się wtedy ostatnim z koncernów internetowych, które składają Trumpowi hołd lenny.

Branża Big Tech robi wszystko, by przypodobać się nowemu prezydentowi USA. Ten zaś obsadził swoją administrację trzynastoma miliardami powiązanymi z Doliną Krzemową.

A jak reagują amerykańscy użytkownicy TikToka? Jest ich

170 mln (mniej więcej połowa obywateli USA). Nie było jednak wieców „#SaveTikTok”. Możliwe, iż ludzie zrozumieli, że ich dane na chińskich serwerach nie są bezpieczne. A może nie wierzyli, że serwis zniknie? Najbardziej prawdopodobne jest jednak to, że istnienie TikToka, który doskonale dobiera treści pod gust odbiorcy, stało się im obojętne. Tę samą funkcję już jakiś czas temu powieliły inne serwisy – zatem zabijając czas można także gdzie indziej. ©



SCOTT OLSON / GETTY IMAGES



Jak kardynał zgasił banery europośla

MICHAŁ OKOŃSKI

DWA TYGODNIE SIĘ ZASTANAWIAM, czy powiedzieć to, co chcę powiedzieć, ale chyba jednak trzeba” – powiedział kard. Grzegorz Ryś, inaugurując we Wrocławiu obchody XXVIII Dnia Judaizmu w Kościele Katolickim w Polsce, a ja od dwóch dni się zastanawiam, czy skomentować jego wystąpienie.

Rzecz w tym, że metropolita łódzki zrobił coś, co do niego należało; czy powinienem komentować fakt, że pociąg pod-

miejski, którym dojeżdżam do redakcji, jest punktualny? Z drugiej strony pamiętam przecież czasy, w których korzystanie z komunikacji zbiorowej przypominało hazard, więc chyba jednak trzeba.

O czym w ogóle mowa? Ryś opowiedział o telefonie od naczelnego rabina Polski Michaela Schudricha, który zwrócił mu uwagę na rozwisane w różnych miejscach kraju billboardy sponsorowane przez europośla Grzegorza

Brauna, „Chanuka czy Boże Narodzenie. Europo! Wybór należy do Ciebie”. „Widziałem taki baner – kontynuował kardynał. – On jest antyludzki, antyeuropejski, nie wiem, czy jest antysemicki, ale na pewno jest antychrześcijański. Jeśli ktoś po raz kolejny stawia taką »alternatywę« w Europie, robi rzecz niedopuszczalną”.

Sam metropolita uważa, że „o tym trzeba mówić”, bo „Prawda Boża jest gdzie indziej”. W politykę nie wchodzi,

zostaje na gruncie własnych kompetencji: „nie za bardzo wiadomo, w jaki sposób mieliśmy wybierać i przeżywać Boże Narodzenie, gdybyśmy obchodzili szerokim łukiem Chanukę, zwłaszcza jeśli chcemy być w zgodzie z tym, czego naucza dzisiejsze magisterium Kościoła”. A w ramach konferencji „Żydzi i judaizm w historii Kościoła, teologii i praktyce eklesjalnej” dyskutuje z prof. Joanną Tokarską-Bakir i rabinem Icchakiem Rapoportem.

W historii Kościoła, teologii, a zwłaszcza praktyce eklesjalnej sprzeciw wobec takich praktyk jak banery Brauna to świeża sprawa. Tak, chyba wciąż trzeba o tym mówić. ©P

Jak Polska gubi wodę

GOSPODARKA KOMUNALNA ■ Czy można marnować wodę bez odkręcania kurka w kranie? Tak. Tę sztuczkę do perfekcji doprowadziło – jak pokazuje najnowszy raport Najwyższej Izby Kontroli – pięć przedsiębiorstw wodno-kanalizacyjnych w Zachodniopomorskiem, eksploatujących łącznie 38 systemów wodociągowych.

Po sprawdzeniu stanu technicznego sieci przesyłowej i zasad jej eksploatacji kontrolerzy ujawnili, że w 23 wodociągach straty wody dostarczanej do odbiorców znacznie przekraczały 20 proc. Rekordzistką okazała się niewymieniona z lokalizacji sieć wodociągowa, która z każdego stu litrów wody przygotowanej dla odbiorców traciła po drodze aż 58. Autorzy raportu NIK zauważają wprawdzie, że nie istnieją sieci wodociągowe w stu procentach szczelne, niemniej powszechnie akceptowanym w tej branży standardem są straty na poziomie 8-10 proc. (zejście poniżej tego pułapu wymaga nakładów przekraczających wypracowane dzięki temu oszczędności). Straty na poziomie zanotowanym w Zachodniopomorskiem były już tak znaczne, że musieli odczuć je w rachunkach odbiorcy końcowi. Według kontrolerów NIK „zgubiona” woda odpowiadała za około 10 proc. kosztów ponoszonych przez klientów tamtejszych sieci wodociągowych. Rekordzistą pod tym względem okazało się przedsiębiorstwo w Dębnie, w którym koszt wytworzenia metra sześciennego wody utraconej sięgnął 12,1 proc. kosztów ponoszonych przed odbiorców.

Skontrolowane sieci wodno-kanalizacyjne nie tylko nie dbały na bieżąco o stan technicznych systemów przesyłowych, co prowadziło do powstawania wycieków oraz zanieczyszczeń wody w trakcie jej dostawy do domów i firm. Lekceważyły także procedury kradzieży poprzez nielegalne przyłącza do sieci i przerzucały koszty utraconej w ten sposób wody na klientów. Trzy z pięciu zakładów nie zapewniało nawet terminowej legalizacji wodomierzy, co skutkowało naliczaniem klientom opłat w oparciu o dane uzyskane z często niesprawnych urządzeń pomiarowych. Tylko dwa podmioty prowadziły w ogóle pomiary straty wytwarzanego surowca. W żadnym nie odbywały się za to okresowe kontrole, które operatorzy sieci wodno-kanalizacyjnej powinni zgodnie z prawem budowlanym przeprowadzać co pięć lat.

Z raportu NIK wynika, że ponadnormatywne straty wody na etapie dostaw do odbiorców to problem ogólnopolski. Skontrolowane właśnie Zachodniopomorskie nie jest pod tym względem niechlubnym liderem, bo sieci wodociągowe w 2022 roku traciły tam średnio 13,6 proc. wody uzdatnionej do picia. Palmę pierwszeństwa dzierżyła Małopolska, w której wodociągi „zgubiły” w 2022 roku aż 23 proc. wyprodukowanej wody. Dalej uplasowało się województwo dolnośląskie (20,4 proc. strat) *ex aequo* ze Świętokrzyskiem. Na pocieszenie: poza Podkarpackiem, gdzie udział utraconej wody w wolumenie jej produkcji utrzymał się na poziomie 18,9 proc., we wszystkich województwach zanotowano pod tym względem poprawę.

© P MAREK RABII

Rosja przypomina nam, że Polska leży nad morzem

SOJUSZE ■ Straż Bałtycka: tak nazywa się nowa operacja NATO. To odpowiedź na działania Rosji wymierzone w zachodnią infrastrukturę. Za inicjatywą stoi też Polska, która coraz bardziej koncentruje się na Bałtyku i współpracy z krajami z tego regionu.

Ostatecznym impulsem do powołania tej misji – decyzją zapadła na szczycie bałtyckich krajów NATO 14 stycznia w Helsinkach – było przerwanie 25 grudnia 2024 r. kabla energetycznego łączącego Estonię z Finlandią. O sabotaż oskarża się tankowiec „Eagle S”, który przez 60 km miał ciągnąć kotwicę po dnie. Pływa on pod banderą Wysp Cooka i należy do „fлоты cieni”: statków rejestrowanych w egzotycznych krajach, które wożą rosyjską ropę.

To nie pierwsza taka sytuacja. Jesienią 2023 r. uszkodzono gazociąg Finlandia-Estonia, a jesienią 2024 r. kable światłowodowe. O pierwszy sabotaż podejrzany jest statek z Hongkongu, a o drugi statek z Chin. Ten drugi zatrzymano, ale dalszą akcję utrudnił fakt, że przebywał on już na wodach międzynarodowych. Ostatni przypadek ma przełomowy charakter ze względu na szybką reakcję Finów: po zatrzymaniu statku wymusili jego powrót na własne wody terytorialne i tam dokonali abordażu.

Ideę utworzenia misji NATO, która ma ułatwiać podobne akcje w przyszłości, wysunął premier Tusk na listopadowym szczycie państw regionu w Sztokholmie. Powołanie Straży Bałtyckiej to pierwszy wymierny efekt współpracy w takim formacie, który coraz bardziej angażuje polską dyplomację.

Przyłączenie się Szwecji i Finlandii do NATO zmieniło układ sił w regionie, w czym Polska dostrzegła wielki potencjał. Państwa północne w większym stopniu podzielały nasze spojrzenie na Rosję i kwestie bezpieczeństwa niż tradycyjni partnerzy z Europy Środkowej. „Bałtycki zwrot” wyraża się m.in. w tym, że od wielu miesięcy przed spotkaniem unijnych instytucji Polska prowadzi konsultacje z grupą NB8, która zrzesza kraje nordyckie i bałtyckie.

Morska dywersja to wyzwanie także dla Polski, ze względu na instalacje kluczowe dla naszego bezpieczeństwa energetycznego: gazoport w Świnoujściu, terminal naftowy w Gdańsku i gazociąg Baltic Pipe. Jak pokazał szczyt w Helsinkach i fińska akcja, w tym regionie znajdujemy partnerów, którzy nie tylko dzielą naszą optykę, ale są też skorzy do działania. Można powiedzieć przewrotnie, że Rosja przypominała nam, że nasz kraj leży – także – nad morzem.

© PIOTR OLEKSY

Tankowiec „Eagle S” zakotwiczony w pobliżu portu Kilpilahti podejrzany jest o zakłócenie połączenia elektrycznego Finlandia-Estonia 25 grudnia 2024. Zatoka Fińska, 7 stycznia 2025 r.





David Lynch, 2006 r.

Lynch, czyli kino

POŻEGNANIE ■ Jeśli miarą osiągnięć artysty jest nadużywanie przez jego fanów przymiotnika dzierżawczego, David Lynch był największym z największych. Miał na koncie i Złotą Palmę, i Oscara, i Cezara. Podarował nam „Dzikość serca”, „Miasteczko Twin Peaks”, „Zagubioną autostradę” oraz „Mulholland Drive”, którymi inspirowali się filmowcy

dwóch pokoleń. Zostawił po sobie także tzw. ambitne porażki, z których wnioski wyciągnęli młodszy twórcy.

Ludzie, którzy znają jego kino, dzielą się na dwie grupy: tych, dla których najlepszym filmem jest „Prosta historia”, oraz całą resztę. Ci pierwsi chwalą go przez negację. „Prosta historia” to prawdziwie „nielynchowski” film Lyncha i zarazem jedyny, który da się streścić pojedynczym zdaniem: staruszek przemierza Stany Zjednoczone na traktorze, by

pojednać się z chorym bratem. Ot, prosta historia.

Drudzy widzowie stanowią większość. Latami odwiedzali wyobraźnię Lyncha i, cegiełka po cegiełce, budowali wspólnie alternatywny świat. To rzeczywistość wielkich tematów (tożsamość i społeczne maski, Eros i Tanatos, zmierzch cywilizacji i ludzki pęd ku autodestrukcji) oraz małych dziwactw (samotnych kubków na środku drogi, nocnych lampek ostrzegawczych, podłóg w zygzaki). Rzeczywistość oper mydlanych,

numerów musicalowych, czerwonych draperii, kawy z przelewu, wiśniowych placków, pluszu, jazzu i bluesa. Świat pełen zaskakujących kodów stylistycznych, surrealistycznych spiętrzeń toposów amerykańskiej kultury oraz psychoanalitycznych symboli: sobowtórów, luster, przestrzeni liminalnych; słowem – wszystkiego, co „lynchowskie”. Ameryka rozpadała się u Lyncha na atomy, była nieustannie obierana do bielutkich kości, odzieraana z kolejnych warstw, aż do czystego instynktu.

Swoją ostatnią rolę zagrał w „Felmanach”, będących hołdem dla X Muzy jako przedsięwzięcia techniczno-metafizycznego. Wcielił się tu w Johna Forda i uczył małego Stevena Spielberga, jak robić kino. Sam Lynch by tego nie wymyślił.

Przez ostatnie lata niczego nie kręcił. Chorował na rozedmnę płuc spowodowaną wieloletnim uzależnieniem od nikotyny, zdiagnozowaną przed dwudziestoma laty. Nie opuszczał domu, dłuższe dystanse pokonywał z butlą tlenową. Z posiadłości na wzgórzach Hollywood wygonił go zalegające w Kalifornii pożary. Zmarł tydzień po przymusowej ewakuacji. © MICHAŁ WALKIEWICZ

Otyłość na nowo zdefiniowana

ZDROWIE ■ Jak wyliczyli w 2023 r. badacze z Instytutu Weizmanna w Izraelu, wszyscy razem ważymy ok. 390 milionów ton. Nie wszyscy, co jasne, mają w tej liczbie równy udział. Po naszej planecie chodzi 2,5 miliarda dorosłych z co najmniej nadwagą, z tego 890 milionów choruje na otyłość. Ta niepokojąca statystyka przez przestarzałe metody diagnostyczne może jednak nie odpowiadać rzeczywistości.

Standardowo nadwagę i otyłość rozpoznaje się z pomocą wskaźnika BMI, który

jest masą ciała podzieloną przez kwadrat wzrostu podany w metrach. Gdy wynosi powyżej 25 kg/m², świadczy o nadwadze, a powyżej 30 definiuje otyłość. Ta metoda nie uwzględnia składu ciała (czy przeważają mięśnie, czy tłuszcz) ani rozmieszczenia tkanki tłuszczowej (najgroźniejszy jest tłuszcz otaczający narządy jamy brzusznej). Opieranie diagnozy na zaledwie dwóch danych może nie rozpoznawać prawdziwej otyłości (osoby z otyłością brzuszną, ale wysokie) albo rozpoznawać nadwagę lub otyłość u osób zdrowych (u tych z dużą masą mięśniową).

Te wątpliwości stały się przyczyną ukuć nowej definicji i podziału otyłości, zaproponowanych przez 58 ekspertów w piśmie „Lancet Diabetes and Endocrinology”. W pracach brała udział prof. Magdalena

Olszanecka-Glinianowicz ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

Badacze wyróżnili otyłość przedkliniczną, w której obecny nadmiar tkanki tłuszczowej nie powoduje jeszcze nieprawidłowej pracy narządów (np. chorób serca i płuc, zaburzeń metabolicznych i zwyrodnień stawów) oraz otyłość kliniczną, kiedy choroby związane z tuzą występują. Zatem osoby ze znaczną nadwagą stwierdzoną na podstawie BMI według nowej definicji mogą już chorować na kliniczną otyłość.

Diagnoza wymaga bardziej wyrafinowanych badań, jak ocena składu masy ciała i wydolności wielu układów, co może utrudnić jej postawienie. Warto jednak próbować, by leczyć otyłość skuteczniej i spersonalizowanymi metodami.

© BARTOSZ KABAŁA

TEMAT
TYGODNIKA

NA ICH MIEJSCU

PIOTR CYWIŃSKI, DYREKTOR MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU:

W lustrze Auschwitz odbija się nasz świat.
Widać w nim polityczne gry, holokaustowy kicz,
pomieszanie prawdy i fałszu – ale to dopiero początek.

MICHAŁ OKOŃSKI: No i co teraz będzie?

PIOTR CYWIŃSKI: Ale o co pytasz?

O to, że 80. rocznica wyzwolenia Auschwitz odbędzie się w cieniu burzy wokół wizyty Netanjahu. Człowieka, którego Międzynarodowy Trybunał Karny oskarża o udział w masowym zabijaniu i głodzeniu cywilów.

Muzeum, którym kieruję, nie zapraszało na obchody żadnych polityków. Oczywiście przekazywaliśmy informację o rocznicy do ambasad, ale to władze poszczególnych państw decydowały, kto i w jakiej randze będzie je reprezentował.

Kiedy widzisz zdjęcia głodujących dzieci w Gazie, nie masz skojarzeń z dziećmi z drutami Auschwitz?

A jakie ty masz skojarzenia, kiedy widzisz zdjęcia zmasakrowanych zwłok sąsiadów Aleksa Dancyga? Pozwól jednak, że nie będziemy tego wątku kontynuować. Po prostu wchodząc w rozmowę o tym, nie wchodziłbym w nią sam. Angażowałbym autorytet ofiar Auschwitz, a do tego nie mam prawa.

To, że po napaści na Ukrainę nie może tu przyjechać Putin, jest przecież oczywiste – choć Armia Czerwona obóz wyzwoliła. Z Buczą zresztą również Auschwitz porównywano.

Naprawdę, ja nie jestem od wykładni w tych sprawach.

Wykładnię dała Haga: Netanjahu ma stanąć przed sądem.

Zostawmy więc sądzić sędziom, a polityczne decyzje – politykom. Rolą miejsca pamięci nie jest dyktowanie, co kto ma robić. Owszem, ono stawia pytania, zmusza do refleksji, ale odpowiedzi nie daje. Jego rolą jest bycie soczewką, a nie strumieniem światła. Lustrem, a nie telewizorem.

Co widzi w lustrze polityk, który wykorzystuje rocznicę Auschwitz do własnych celów?

To też nie jest pytanie do mnie. Dla mnie najważniejszymi gośćmi są Ocalałi.

Ilu ich przyjedzie?

Okaże się w ostatniej chwili: wiele zależy od prognozy pogody i samopoczucia poszcze-

gólnych osób. Z Polski spodziewam się ok. dwudziestu byłych więźniów, głównie przywiezionych tu jako dzieci po upadku powstania warszawskiego. Do tego pewnie dwadzieścia parę osób ze świata, np. dzieci żydowskie będące ofiarami pseudomedycznych badań Mengelego.

To dużo zmienia, że jest coraz mniej Ocalałych?

Musisz pamiętać, że ponad 90 proc. więźniów Auschwitz nigdy nie mieliśmy okazji spotkać: zostali tu zamordowani. A z kolei 90 proc. tych, którzy przeżyli, postanowiło odciąć się od tego doświadczenia dla własnego bezpieczeństwa – emocjonalnego i psychicznego. Dlatego na pytanie, ilu jeszcze żyje, mówię, że nie wiem: dziewięciu na dziesięciu nigdy nie wchodziło z miejscem pamięci w żadne relacje.

Ale tak, to dużo zmienia. Kiedy zaczynałem tu pracować, połowie przyjeżdżających grup towarzyszył jakiś Ocalały, włączający się w oprowadzanie. Teraz to zniknęło, zresztą ci dziś najstarsi pamiętają obóz zupełnie inaczej niż ci, którzy opuszczali go w 1945 r. jako dośrodkowani ludzie. Jeśli trafiłeś tu mając 4-5 lat, pamiętasz bardziej stany – lęk, chłód, osamotnienie, głód – niż normalną lagrową codzienność, bunt Sonderkommando czy nawet wyzwolenie.

Chodzi mi o to, że brak bezpośrednich świadków musi wpływać na sposób rozumienia tej historii. Obaj jesteśmy z pokolenia 50-latków, które Auschwitz miało właściwie na co dzień – od szkolnych wycieczek, przez szkolne lektury i spotkania z byłymi więźniami.

Dziś młodzi mają kompletnie inaczej.

Jest fundamentalna różnica między wiedzą historyczną a pamięcią. Wiedza historyczna jest niby nauką humanistyczną, ale tak naprawdę przypomina matematykę lub astronomię, gdzie pewne rzeczy są niekontrowersyjne jak data bitwy pod Grunwaldem. Ona nie powoduje traumy: każdy z nas jako dziecko bawił się zapalkami bez względu na to, czy Neron podpalił Rzym.

A pamięć?

Może być doświadczeniem własnym albo nabytym, może dotyczyć spraw przeszłych, ale żyje tu i teraz. A przede wszystkim ewoluje: w ekspresji, w symbolach, w sposobie zestawiania ze współczesnymi zagrożeniami.

Trudno się więc dziwić, że dziś Auschwitz kojarzy się z Buczą i Gazą.



→ Każde pokolenie ma swoją pamięć – wbrew temu utopijnemu conceptowi francuskiemu o jej transmisji.

Ale spotkania z Ocalałymi nigdy tak naprawdę nie służyły budowaniu wiedzy historycznej. Uczestniczyłem w działaniach i nie pamiętam, żeby młodzież pytała: którego dnia pan tu dotarł i jaki procent z pana transportu skierowano do gazu?

O co pytali?

Co pan czuł, będąc w obozie? Co było źródłem tego, że zachował pan nadzieję na wyzwolenie? Czy poddawał się pan zupełnemu zwątpieniu? Co myśli człowiek, kiedy wszyscy naokoło giną, a on nie?

Rano podwoziłem syna do liceum. Zapytał, gdzie się wybieram. Wiadomość, że do Auschwitz, uruchomiła w nim refleksję o cienkiej granicy między dobrem a złem.

Kiedy kilkanaście lat temu mówiłem, że pamięć jest kluczem dla uznania różnicowości i projektowania przyszłości, a Auschwitz wydaje mi się w tych procesach punktem odniesienia dla naszych decyzji i ocen, to miałem wrażenie, że uprzedzie mi przytakiwano: „Cywiński tak musi mówić, bo to jego praca”. Ale dziś, kiedy żyjemy w świecie wojen, katastrof klimatycznych i nieprawdopodobnego przyspieszenia, ludzie szukają punktów oparcia wśród ruchomych piasków. Pozytywnych i negatywnych, tragicznych i świetlanych, racjonalnych i irracjonalnych.

Zgadamy się więc, że na ruchomych piaskach Auschwitz jest stałym punktem. Co on mówi?

Mówi, że są granice człowieczeństwa. I że można je przekroczyć. I co się dzieje po ich przekroczeniu.

To są trzy krótkie zdania. Próba ich rozwinięcia skazuje na banal?

Tym, co się zmienia, jest nasza cywilizacja, współrzędne życia. Auschwitz się nie zmienia.

Ale jest różnie używane. Weźmy holokaustowy kicz: ludzie, szukając oparcia, kupują „Tatażystę z Auschwitz”, a potem mówią, że miłość zwycięża wszystko. Albo wyciągają z lektury wnioski, że w każdej sytuacji można sobie poradzić.

Podczas gdy przytłaczająca większość przywiezionych tu przez Niemców ludzi nie mogła sobie poradzić.

W tej sprawie jestem bez pardonu. Jakaś książka okazała się bestsellerem, więc za jej przykładem powstał cały rynek. Uważam go za moralnie obleśny. Handel trupami po prostu.

Tuż obok siebie mogą istnieć

kompletnie różne światy.

Na tyłach Birkenau przebiegają sarny, przyzwyczajone do obecności turystów.

W Sylwestra zewsząd widać fajerwerki.

Mocne.

Posłuchaj. W ciągu ostatniej dekady powstało kilkadziesiąt książek, które mają dwie wspólne cechy. Pierwsza: totalne kłamstwo na pierwszej lub czwartej stronie okładki, że jest napisana na faktach, a my przecież widzimy, że przedstawione w niej historie nie mogły się wydarzyć. Druga: totalne fałszerstwo dziejów obozu. Teraz mamy np. jakąś „Bibliotekarkę z Auschwitz”. Po pierwsze, powinna być nie z Auschwitz, tylko z Birkenau, no ale wtedy by się nie sprzedało. Po drugie, cóż to za wizja: noszenia książek między barakami dla spragnionych lektury? Kompletny odlot, a efektem są awanturujący się z przewodnikami turyści, żądający pokazania im miejsc, w których rzekomo wydarzyły się jakieś zmyślane sceny.

To urąga pamięci ofiar. I prawdzie.

Skoro turyści chcą zobaczyć coś, co jest prawdziwe: mierzycie się z pytaniami o granice odnawiania eksponatów?

Staramy się konserwować, nie odtwarzając. Wzmacniamy strukturę dziecięcego bucika, ale tak, żeby nie zatracić zagłębień spowodowanych przez ślady stóp. Albo zniekształceń od kopania piłki.

Oczywiście zdarza się, że w jakimś baraku gnije belka podtrzymująca całą strukturę: wymieniamy ją albo dodajemy żelazne wzmocnienia. Wymieniamy też

druty: metal przy deszczach, mrozach, soplach, słońcu, ma wytrzymałość 6-7 lat, potem pęka. Gdybyśmy tego nie robili, widzielibyśmy wielki, kompletnie niezorganizowany las słupów. Przestrzeń straciłaby czytelność.

Ale włosów nie ratujecie.

Włosy to ludzkie szczątki, mające swój kod DNA. Chcesz, żebym tłumaczył, dlaczego tego nie robimy?

Kto podejmuje decyzje w takich sprawach?

Międzynarodowa Rada Oświęcimska. I dyskusja, jak się domyślasz, ma charakter bardziej moralny niż techniczny.

Cały czas krążymy wokół pytania, co widać w tym lustrze Auschwitz.

Przed wszystkim to, że nie istnieje jeden świat z jednymi współrzędnymi. Że współrzędnych etycznych, cywilizacyjnych, kulturowych może być wiele. Że człowiek jest w stanie stworzyć alternatywne światy, gdzie te współrzędne – takie podstawowe, typu czas, przestrzeń, tożsamość, istota ludzka – są kompletnie różne.

Bardzo wielu ludzi, z którymi dziś rozmawiam, mówi, że w świecie, w którym zanikają kategorie prawdy i fałszu, a polityk w ciągu paru dni może zaprzeczyć sam sobie i nikt nie ma z tym żadnego problemu, z Auschwitz wyłania się coś twardego, namacalnego. Oczywiście ostrzegawczego.

Tylko co to właściwie jest? Prawda i fałsz to były kiedyś fundamentalne parametry. Podobnie jak wiele innych, które tu przestawały istnieć.

No właśnie: przed Auschwitz ludziom się wydawało, że prawda i kłamstwo, ale też np. przynależność do rodziny, hierarchie społeczne lub godność ludzka, rozumiana również jako prawo do intymności i ochrony własnej nagości, są dorobkiem cywilizacji rozwijającej się przez tysiące lat. Tutaj to wszystko mogło stać się nieważne w ciągu kilku godzin. Konkluzji, że przywiązanie do jakichś cywilizacyjnych parametrów może być złudą, nikt wcześniej nie formułował. A dziś zaczynamy to przeczuwać, także dzięki przekazowi Ocalałych.

W tym sensie mój syn ma rację, że to jest depresyjne: z ich doświadczenia

nic nie wynika. Ta lekcja jest nie-odrobiona.

Odrobiono ją emocjonalnie, sentymentalnie, faktograficznie, ale czy antropologicznie? Na pamiątkach Ocalałych pracowali niemal wyłącznie historycy, nie socjologowie, psychologowie, antropolodzy...

Filozofowie pytali, czy można pisać poezję po Oświęcimiu.

Dla mnie to też była poezja. Ładne zdanie, które wszyscy powtarzają, ale tak naprawdę nic nie wnosi. Jak można pytać o pisanie poezji po Auschwitz, skoro po Auschwitz można mordować?

Nie ma dzieł, które potrafią się z tym zmierzyć?

Na terenie Auschwitz I pracujemy nad wystawą, która nie będzie rozumiana jako galeria, tylko jako rytuał przejścia przez sztukę więziarską. Chcemy pokazać człowieka, który może żyć w sytuacji skrajnej dehumanizacji, ale pokazać właśnie bez ładnych słów, bez skupienia nad stylem czy autorem. Nie damy gotowej odpowiedzi, bo jednej odpowiedzi nie ma, ale możemy przynajmniej spróbować skłonić do refleksji.

Pracujecie też nad koncepcją nowej wystawy stałej.

Scenariusz jest gotowy. Mam nadzieję, że jeszcze w tym roku, może w pierwszych tygodniach przyszłego, otworzymy jedną trzecią.

Jak to będzie wyglądało? Przy czym nie pytam o rzeczy, które wywołują w naszych muzeach rytualne spory – za dużo Żydów, za mało cierpienia Polaków itd. – tylko o kwestię narracyjności, wykorzystania multi-mediumów.

Zwiedzanie większości muzeów polega na szybkim przelocie przez całość i zahaczeniu o sklepik. Porównuje się to doświadczenie do lektury książki, od wstępu po zakończenie. A przy myśleniu o scenariuszu najczęstsze pytanie dotyczy wniosku, jaki ma wyciągnąć zwiedzający. U nas jest inaczej: przejście przez wystawę trwa jakieś 75 minut, a całość wizyty 3,5-4 godziny. Wystawa ma przygotować do wyjścia w teren. Do zmierzania się z tymi setkami metrów, gdzie można zdać sobie sprawę, co się właściwie tutaj wydarzyło. A to doświadczenie ma służyć temu,



Krzyże na oświęcimskim zwirowisku,
listopad 1998 r.

Spory o Auschwitz

Dla Żydów – symbol Holokaustu, dla Polaków – polskiej martyrologii, dla Romów i Cinti – eksterminacji ich narodów, dla Rosjan – cierpienia i śmierci, ale też zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, wyrażonego w wyzwoleniu obozu... Pamięci Auschwitz jest wiele, a ich zintegrowanie wiązało się z napięciami. Spierano się m.in. o:

■ LICZBĘ OFIAR OBOZU

(ok. 1,1 mln, z czego milion Żydów, 70 tys. Polaków, 15 tys. jeńców sowieckich) – przed 1989 r. przyjmowano, że ofiar było 4 mln;

■ „CHRZYSTIANIZACJĘ AUSCHWITZ”,

m.in. o lokalizację w budynku przylegającym do obozowych murów klasztoru karmelitanek (zakonnice wyprowadziły się w 1993 r. na prośbę Jana Pawła II) i o krzyże na pobliskim zwirowisku – ostatecznie przeniesione w 1999 r., na miejscu pozostał jedynie krzyż upamiętniający wizytę papieża w byłym obozie z 1979 r.;

■ ŻYCIE W CIENIU OBOZU,

np. o to, w jakiej odległości od miejsca pamięci mogą funkcjonować centrum handlowe lub dyskoteka;

■ POLITYKĘ,

m.in. o krytykę PiS-owskiej nowelizacji ustawy o IPN, ogłoszoną w 2018 r. podczas obchodów rocznicy wyzwolenia obozu przez ambasadorkę Izraela – na dyrektora Cywińskiego spadła wtedy lawina hejtu w prawicowych mediach. ©© MO

co się będzie działo przez kolejne dni, tygodnie, a czasami – kto wie – może lata.

Czy jest właściwy wiek do odwiedzin Auschwitz? Nas zabierano już w podstawówce.

Myślę, że są dwa momenty. Pierwszy to próg dorosłości, kiedy człowiek odcina pępowinę i ma poczucie, że cały świat leży u jego stóp, starzy są beznadziejni, a on wie lepiej.

Nie wszyscy tak mają. U wielu nastolatków to czas niepewności i depresji.

Tak czy inaczej, to moment, w którym świat wydaje się czarno-biały, a nastolatek uważa, że wie, co jest białe i co jest czarne.

A drugi moment?

Kiedy człowiekowi rodzą się dzieci. Kiedy zaczyna być bezwzględnie i bezgranicznie za kogoś odpowiedzialny.

Opowiem Ci scenę z licealnej wywiadówki. Nauczycielka, zapowiadając wycieczkę do Auschwitz, mówi, że ona nie pojedzie, bo to już dla niej za mocne. Ale przy okazji dzieli się wspomnieniem dysonansu, jaki zostawił w niej spacer między barakami w cudownym, wiosennym słońcu.

Dzięki takim chwilom jesteśmy bliżej uświadomienia sobie tego, że obok siebie mogą istnieć kompletnie różne światy. Na tyłach Birkenau przebiegają czasem sarny, coraz bardziej przyzwyczajone do obecności turystów.

Miewasz podobne doświadczenia?

Kilka lat temu musiałem zostać tu w sylwestra. Wiadomo: zamknięcie roku w instytucji państwowej wiąże się z mnóstwem formalności.

Ja nie lubię Nowego Roku, obowiązek radowania się z tej okazji wydaje mi się sztuczny, zwłaszcza w czasach, kiedy trudno o nadzieję, że kolejny rok będzie lepszy. Coś mnie tknęło i przed północą pojechałem do Brzezinki. Stałem pośrodku tej ogromnej, mniej więcej kwadratowej przestrzeni, kompletnie czarnej, otoczonej drutami. I nad tymi drutami wesoła widziałem fajerwerki. Było to jedno z najmocniejszych moich doświadczeń tutaj – takiego poczucia, że żyjemy na co dzień w kompletnym zaślepieniu, →

→ wierząc, że jest tylko nasz, stosunkowo stabilny świat. No bo, niestety, są inne.

Są różne przeżycia tego miejsca. Jedna z rozmówczyń Mikołaja Grynerga w „Oskarżam Auschwitz” mówi, że czuje się tu, jakby wreszcie wróciła do domu. Że marzy o tym, by położyć się na ziemi i poczuć ciepło tych, którzy w niej zostali.

Myślę czasem o tym, jak powstawały w Europie miejsca pamięci. To było mniej więcej w latach 60., kiedy zaczęło dorastać pokolenie urodzone po wojnie. Ci, którzy ją pamiętali, wpadli w panikę, że młodzi nie będą niczego rozumieć.

Dla naszego pokolenia poznawanie Auschwitz wiązało się z kolei ze zderzeniem wrażliwości. Przy okazji sporu o klasztor karmelitanek byli tacy, którzy pytali: komu przeszkadza cicha modlitwa siostr? Polacy nie rozumieli Żydów.

Uświadamianie sobie wyjątkowości Zagłady to późne zjawisko. Owszem, był proces Eichmanna, ale przełomem okazało się dopiero „Shoah” Lanzmanna. A gdy w 1989 r. zniknęła żelazna kurtyna, zobaczyliśmy, że pamięci o Auschwitz jest wiele – i że trudno im się spotkać. Że o swoją historię, oprócz Polaków i Żydów, dopominają się Romowie i Sinti. Że nazwiska odzyskują osadzeni tu jeńcy sowieccy, za czasów stalinowskich uważani za zdrajców, którzy nie walczyli do ostatniej kropli krwi. Że włoscy Żydzi i deportowani z Włoch komuniści to kompletnie osobne tradycje.

Sprawienie, żeby te wszystkie pamięci mogły się wzajemnie uznać, zajęło jedno pokolenie, ostatnie 20 lat.

Wciąż mam poczucie, że Auschwitz może być też strefą interesów. Jak przyjeżdżał tu Putin, mówił Europie: myśmy was wyzwolili, macie wobec nas dług, a my swoje prawa.

Na szczęście w tym roku odchodzimy od przemówień politycznych.

Kto takie rzeczy ustala?

Najpierw rozmawiałem o tym w czerwcu z polskimi Ocalałymi. Zareagowali aplauzem. Potem odbyły się dwie dyskusje na Międzynarodowej Radzie Oświęcimskiej, gdzie wszyscy z uznaniem przyjęli takie rozwiązanie.

Problem jest głębszy niż kwestia bieżącej polityki. Podczas 80. rocznicy będą przemawiać ostatni Ocalałi. Wkrótce ich głosu zabraknie. Jak sprawić, żeby kolejnych obchodów nie zamieniać w wiece?

Jesteś przeciwny wystąpieniom polityków?

Mają cały świat, żeby się wypowiadać. Dlaczego mają na trupach toczyć swoje waśnie?

Bo na trupach ich głos wybrzmi.

Nie skomentuję tego. Zajmując się miejscem pamięci, mam inne dylematy. Wykład historyczny byłby tu niestrawny. Filozofowie nadają się bardziej na panel. Sztuka ma zawsze autora – według jakich kryteriów go wybierać?

Ale jak na razie możemy skupić się na wyodrębnieniu tego, co jest esencją, czyli głosu Ocalałych.

Z niezwykłego miejsca przemawiasz. W służbie albo w imieniu umarłych mówisz prezydentom: tu nie przemówisz.

Miałem to szczęście, że zanim zostałem dyrektorem, byłem sekretarzem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, która w połowie składała się z Ocalałych, i to takich, którzy najbardziej zagłębili się w pracę nad pamięcią – jak Bartoszewski, Gutman, Albin, Szajna, Turski. Z rozmów z nimi i ze wsłuchiwania się w to miejsce zrodził się może jakiś rodzaj wyzucia, co tutaj przystoi, a co nie.

Mówiłeś o tym nie wprost, więc chciałbym, żebyś odpowiedział jasno: czyje jest to miejsce? Ich.

Ale ono jest państwa polskiego. Jesteś dyrektorem państwowego muzeum.

Ono jest ich. Wszystko jedno, czy pa- trzymy na nich transcendentnie, czy nie, to jest ich miejsce. No i co z tego, że należy do państwa polskiego?

Może powinno by eksterytorialne? Pojawiają się i takie postulaty.

Słuchaj, jakkolwiek to nazwiemy, siłą rzeczy ono należy do całego świata, ale przede wszystkim do nich: do Ocalałych. I do ofiar w ogóle. To jest cmentarz, na li- tość boską!

Politycy przyjeżdżają na ten cmentarz z wizytami. Czasami ich oprowadzasz. Wyobrażasz sobie, że taka wizyta może coś zmienić?

Nie będę podawał nazwisk, bo nie mam prawa opowiadać o intymnych przeżyciach, ale byli tacy, którzy zamiast dwóch godzin zostawali pięć. Chodzili, dopytywali, milczeli, wracali w pewne miejsca ku rozpaczce protokołu dyploma- tycznego, któremu walił się kalendarz, kończyły sloty lotniskowe...

Ale byli też tacy, którzy na kilka tygo- dni przed wyborami przyjeżdżali w oto- czeniu pięciu kamerzystów.

Faktycznie, wiele widać w tym lustrze.

Kiedyś prosiłem premiera jednego z europejskich rządów o wsparcie finan- sowe. Umówiłem się z jego asystentem, nie chciał szefowi zwracać głowy, ale ten się jakoś dowiedział o mojej wizycie i do- łączył do spotkania. Okazało się, że był u nas wielokrotnie, także jako polityk, *incognito*, chodząc samotnie po Birkenau i dojrzewając w ten sposób do swojej od- powiedzialności za innych.

Różne są sytuacje. Czasem przeczu- wam, co może się wiązać z daną wizytą. Akurat jestem w jej trakcie nieobecny. Człowiek musi szanować swoje granice.

Skoro mówisz o szanowaniu swoich granic: jak to jest przez 20 lat pracować w tym miejscu?

Każdy ma taką oś między tym, co naj- gorsze, a tym, co najlepsze, prawda? Taką od czerni po biel, przez różne odcienie szarości. Taką, która mówi np., gdzie wchodzić w kompromisy, a gdzie po-

POŻEGNANIE

Naszej Klubowiczce

Elżbiecie Gontarz

składamy serdeczne wyrazy
współczucia z powodu straty

Mamy

CZŁONKOWIE KLUBU TP
W GRUDZIADZU

wiedzieć: *non possumus*. Otóż po tych latach wydaje mi się, że moja oś jest ośmiokrotnie dłuższa, niż była. Z każdej strony. I tych odcieni jest dużo, dużo więcej.

Co Ci się śni?

Przez wiele lat śnił mi się wyłącznie obóz, oczywiście. Ostatnio trochę mniej, ale wiem, że nawet jak stąd odejdę, ten świat zostanie mi w głowie. Będę szedł przez park, zobaczę biegnące dzieci, no i wrócą takie myśli po prostu.

Zabierałeś dzieci do pracy?

Na wystawę nie, do biura się zdarzało, kiedy nie było co z nimi zrobić. Wiedziały, gdzie pracuję, w domu mówiło się o tym.

Jak?

Dla mnie ogromną pomocą były prace izraelskiej pedagogożki, byłej więźniarki Auschwitz Betszewy Dagan. Ona stworzyła całą szkołę mówienia dzieciom o trudnych rzeczach. W społeczeństwie izraelskim większości dzieci pochodzenia europejskiego historia Zagłady obijała się o uszy zdecydowanie za wcześnie – Dagan uznała więc, że nie ma co kryć głowy w piasek.

Mikołaj Grynberg powiedział kiedyś, że jak był jeszcze w podstawówce, to mu się wydawało, że musi pójść do Auschwitz, bo przecież wszyscy, których znał, tam byli.



BEATA ZAWRZEŁ / REPORTER

PIOTR M.A. CYWIŃSKI (ur. 1972) jest historykiem. Od 2006 r. dyrektor Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, a od 2009 r. prezes Fundacji Auschwitz-Birkenau, gromadzącej i operującej funduszem żelaznym, z którego dochodów jest finansowany program konserwacji tego miejsca; wcześniej, od 2000 r., był sekretarzem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej. Działacz katolicki, współtwórca Forum Świętego Wojciecha, organizującego międzynarodowe zjazdy gnieźnieńskie, i b. prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie.

Czasem przyjeżdżają tu dzieci ze szkół specjalnych i integracyjnych. Trzeba było przygotować dla nich specjalny sposób oprowadzania. Bez metafor czy aluzji, bo one wprowadzają lęk. Komuś takiemu nie można powiedzieć

„oni zniknęli”. Zostali zamordowani. Zabici.

Pracuje tu mnóstwo osób: przewodników, historyków...

...konserwatorów, mikrobiologów, ochroniarzy, twórców wystaw, redaktorów wydawnictwa, księgowych...

Są objęci jakąś opieką terapeutyczną?

Nie ma czegoś takiego jak unormowany pakiet. Są dodatkowe trzy tygodnie płatnych urlopów. I comiesięczny dodatkowy, który można wykorzystać na jakieś próby odnalezienia dystansu czy wsparcia, udział w wydarzeniach kulturalnych, także terapie...

Zmierzasz do kwestii, że to nie jest zwykłe miejsce pracy.

U nas jest tak, że albo ktoś przychodzi i dość szybko odchodzi, albo zostaje na bardzo długo, żeby nie powiedzieć: na zawsze.

Nigdzie indziej nie jest tak intensywnie?

Cały czas pytasz o to samo. Myślę, że to jest miejsce, gdzie się dociera do pewnych granic i o dziwo zauważa, że za tymi granicami coś istnieje. To jest to, co mówi tak naprawdę ta historia. Nie wiem, może astronomowie znają podobne uczucie. Nie znam się na innych światach.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Włara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Keskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
Marek Rabiń, Piotr Śmiłłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak,
Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka,
Patrik Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejewska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Fiis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieźun,
Piotr Kłotkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń,
Małgorzata Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Zbigniew Parańanowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Małgorzata Solec, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdziborska,
Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOŻA

REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Wieloznaczność w Biblii



„JEST PIĘĆ WERSÓW W TORZE, CO DO KTÓRYCH nie ma pewności” – stwierdza autorytatywnie w Talmudzie Isi syn Jehudy, mędrzec żyjący w II w. ery chrześcijańskiej. Ma tu na myśli niejednoznaczność w tekście. Dla przykładu: w jednym z tych pię-

ciu przypadków dotyczy ona słowa *machar*, oznaczającego „jutro”. „I rzekł Mojżesz do Jehoszuego: »Wybierz nam mężów i wyjdź, walcz z Amalekiem / jutro / ja stanę na szczycie pagórka, a berło Boże w ręku moim«” (Wj 17, 9; Cylikow z zaburzoną interpunkcją). Czy Jozue z podkomendnymi ma być gotów do walki następnego dnia, czy może bezzwłocznie, a dopiero naza jutrz Mojżesz wesprze walczących Izraelitów swoją modlitwą ze wzniesionymi ku niebu rękami? To zależy, do której części wypowiedzi pustynnego przywódcy przynależy słowo „jutro”. Pamiętajmy, że żydowski proces ostatecznego ustalania kształtu tekstu biblijnego trwał jeszcze długo po śmierci Isiego. Przed wielowiekową działalnością masoretów Biblia hebrajska nie zawierała podziału na wersy, samogłosek ani znaków kantylacyjnych, które – poza informacją, jak tekst należy odśpiewać – pełnią też funkcję znaków przestankowych. Nasza obecna wersja ostateczna nie pokrywa się w stu procentach z tą, którą dysponował św. Hieronim, gdy zabierał się do tłumaczenia, słuszącego za bazę do skryzalizowanej Neowulgaty.

Inne wersy, które wskazał Isi, to: Rdz 4, 7; Wj 25, 34; Pwt 31, 16 oraz Rdz 49, 6-7 (tu słowo można sensownie umieścić albo na końcu jednego, albo na początku kolejnego wersu). Wywołał tym dyskusję i inni mędrcy dorzucili coś jeszcze do jego listy, po czym stwierdzili, że sprawa dotyczy Tory, bo w księgach prorockich niejednoznaczności jest więcej.

Wątpliwość co do znaczenia tekstu mamy i w przypadającym na ten tydzień fragmencie Tory. Jesteśmy już blisko końca sagi Józefa. W poprzednim odcinku w sakwojażu Beniamina znalazł się umieszczony tam celowo kielich. Teraz, próbując wybronić swojego najmłodszego brata, Juda wypowiada m.in. te słowa: „Nie może ten chłopiec opuścić ojca swojego – bo gdyby opuścił ojca swojego – on by umarł” (Rdz 44, 22). Kto by umarł: Jakub czy Beniamin? Egzegeci prezentują cztery stanowiska: syn, ojciec, obaj, nie wiadomo. Należący do czwartej grupy pewien znamienity komentator – zarazem uczony i poeta – pyta: „Dlaczegoż to nie wspomniał go, wymieniając pięć niejednoznacznych wersów?” ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: Zlikwidować schody



SYNODY, JUBILEUSZE, ODPUSTY, ŚWIĘTO PARAFII, sakramenty z Eucharystią na czele: mówi się, że wszystko to rozpada się w zaskakującym tempie, ale czy naprawdę ten rozpad to jakaś nowość? Niektórzy starają się ten proces zatrzymać, odrzucając sobór,

synody i kwestionując prawomocność ostatniego konklawe. Wracając do trydenckiego rytuału i łaciny, mszę trydencką uważają za „mszę wszech czasów”, a podawanie hostii na rękę za grzech śmiertelny. Niektórzy prezbiterzy, choć nie wiedzą, dlaczego to robią, przywracają po konsekracji chleba łączenie kciuka z palcem wskazującym czy zeganie się hostią przed jej zjedzeniem. Dzieje się tak być może dlatego, że mszę traktujemy jako ofiarę za nasze grzechy albo w jakiejś intencji i odprawiamy ją dla Boga, a nie dla ludzi. Machinalnie, byle szybciej, byle po kolei, żeby tylko była „ważna”. Nawet pozdrawiając zebranych: „Pan z wami”, ksiądz na nich nie popatrzy. Podobnie na ambonie.

Słowem, msze są przegadane, prześpiewane, bez chwili milczenia, jakbyśmy nienawidzili ciszy, której wprost domagają się rubryki. Dzieje się tak nie bez powodu.

Cisza jest niebezpieczna – nie demony budzi, ale anioły. Nie bez powodu Franciszek cytuje Wisławę Szymborską: „Nic bardziej zwierzęcego / niż czyste sumienie / na trzeciej planecie Słońca”. Parafrazując słowa Jana od Krzyża, można powiedzieć, że dla zapatrzonego w siebie konsumenta świętych obrzędów anioł ciszy i wyciągnięta na znak pokoju ręka jawi się nie jako przejaw życzliwości, ale jako przejaw agresji. Zobowiązuje do odpowiedzialności za niego.

Wygląda więc na to, że kryzys zaczął się, gdy Kościół przestawał być Ciałem Chrystusa, a sakramenty zaczęły się stawać strumieniami łask – narzędziem zbawienia. Paweł mówi: „podobnie jak jedno jest ciało, choć składa się z wielu członków, a wszystkie członki ciała, mimo iż są liczne, stanowią jedno ciało, tak też jest i z Chrystusem. Wszyscy bowiem w jednym Duchu zostaliśmy ochrzczeni, aby stanowić jedno Ciało: czy to Żydzi, czy Grecy, czy to niewolnicy, czy wolni. Wszyscy też zostaliśmy napojeni jednym Duchem. Ciało bowiem to nie jeden członek, lecz liczne członki. Wy przeto jesteście Ciałem Chrystusa i poszczególnymi Jego członkami”. Czas już zlikwidować schody z nawy do prezbiterium. Stoł jest dla wszystkich. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Wyzwania Roku Jubileuszowego

On jest odmienny
od wszystkiego, ponieważ
jest bytem samego siebie
i wszystkiego innego.
Jest jednym we wszystkich
rzeczach, a wszystko
jest jednością w Nim.

Z ANONIMOWEGO
„LISTU Z POUFNĄ RADĄ”



Wewnętrzny duch
wszystkich stworzeń
– jeden nad wszystkim
ma pieczę, jeden tworzący
różnorakie formy.
Tylko mędrcy, którzy
wiedzą, że on jest w nich
samy, doznają wiecznego
szczęścia – nie inni.

UPANISZADA KATHA



Wybrał PIOTR SIKORA



„PRZYPROWADZONO mu jednego, który mu był winien dziesięć tysięcy talentów” (Mt 18, 21-35). Słowa Jezusa są jak Ewangelia na Rok Jubileuszowy. Dziesięć tysięcy talentów to jakieś 270 ton złota, blisko 94 mld złotych. Ale uderza mnie nie wysokość długu, lecz reakcja Pana, opisana dwoma wyrażeniami – „dług mu darował” i „uwolnił go”. Greckie *apelysen* może oznaczać: „wybaczyć”, ale też: „obdarzyć wolnością”. To ma ogromną wagę – dłużnikiem nie jest jakikolwiek sługa, ale niewolnik (*doulos*). Pan darował mu dług i wyzwolił, dając nowe życie – inne, niż wiódł do tej pory.

Sięgamy sedna Jubileuszu i jego reguł, opisanych w Księdze Kapłańskiej: „Oznajmiecie wyzwolenie w kraju dla wszystkich jego mieszkańców. Będzie to dla was jubileusz – każdy z was powróci do swej własności i każdy powróci do swego rodu” (Kpł 25, 10). Wszystko spełnia się we wspomnianej przypowieści: z miłosierdzia Pana niewolnik odzyskuje wolność, własność i „ród” (mógł być sprzedany z całym swoim mieniem i rodziną). To naprawdę jubileuszowa dobra nowina o Bogu!

Po niej jednak następuje przerażająca zła nowina o człowieku, który nawet taką łaskę może zmarnować. „Gdy sługa ów wyszedł, spotkał jednego ze współsług, który mu był winien sto dena-

rów. Chwycił go i zaczął dusić, mówiąc: »Oddaj, coś winien!«”.

Wyraz „spotkał” jest tu kluczowy. Grecki tekst ma bardziej dramatyczne słowo: *heuren* (znalazł). Różnica jest oczywista: „spotkać” można niechcący, „znaleźć” wyłącznie przypadkowość. Wyszedł od króla z zamiarem znalezienia swego dłużnika! Myślał o jego długu, gdy król obdarzał go łaską. Planował wygzekwowanie swoich praw...

Jubileusz można zmarnować niewybaczeniem, uporem przy tym, co „mi się należy”.

Druga Księga Kronik sugeruje, że przyczyną niewoli babilońskiej było nieuszankowanie lat szabatowych [a więc i jubileuszy]: „dokąd kraj nie wywiezie się ze swych szabatów, będzie leżał odłogiem przez cały czas swego zniszczenia, to jest przez siedemdziesiąt lat” (2 Krn 36, 21). Jubileusz okazał się zbyt trudny, bo wzywa do pełnego zaufania Bogu i zdania się na Niego. Do miłości praktycznej i sprawiedliwości społecznej. Nawet ryzykując ubóstwo.

Przeżywamy w Kościele piąty tydzień Jubileuszowego Roku 2025. Czy poznaliśmy jego niewyobrażalną łaskę? Czy poznaliśmy jego trud? Czy jedno i drugie jest dla nas Dobrą Nowiną? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekoлекcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (26 I – 2 II)

3. niedziela zwykła: Ne 8, 2-4a. 5-6. 8-10; Ps 19; 1 Kor 12, 12-30; Łk 1, 1-4; 4, 14-21;
Poniedziałek: Hbr 9, 15. 24-28; Ps 98; Mk 3, 22-30;
Wtorek: Hbr 10, 1-10; Ps 40; Mk 3, 31-35;
Środa: Hbr 10, 11-18; Ps 110; Mk 4, 1-20;
Czwartek: Hbr 10, 19-25; Ps 24; Mk 4, 21-25;
Piątek: Hbr 10, 32-39; Ps 37; Mk 4, 26-34;
Sobota: Hbr 11, 1-2. 8-19; Ps: Łk 1, 69-75; Mk 4, 35-41;
4. niedziela zwykła: Mt 3, 1-4; Ps 24;
Hbr 2, 14-18; Łk 2, 22-40.

PO CO NAM PAŃSTWO

Aby demontowane dziś instytucje publiczne odzyskały swój charakter, konieczne jest przywrócenie równowagi między wielkim kapitałem i demokracją, którą przejmują algorytmy portali społecznościowych oraz ich właściciele.

MARCIN KĘDZIERSKI



KIEDY PRZED NIEMAL DEKADĄ PRACOWAŁEM nad ewaluacją Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, pośród szeregu szczegółowych kwestii wyłoniło się fundamentalne pytanie: „po co nam państwo?”, na które wspomniany dokument nie odpowiadał. Obecnie rząd pracuje nad nową średniookresową strategią rozwoju kraju do 2035 r., i jestem bardzo ciekawy, czy choć podejmie się w niej odpowiedzi na wspomniane pytanie. Mam bowiem coraz silniejsze przekonanie, że bez zmierzania się z tą kwestią szczegółowe rozwiązania pozostaną zawieszane w próżni.

Pytanie „po co?” jest o wiele ważniejsze od „co?” czy „jak?”. Warto wiedzieć, w jakim celu państwo ma nadal istnieć, zwłaszcza mając na uwadze, jak wiele przeobrażeń przeszło w ostatnim czasie. Co więcej, odpowiedź wymaga zdefiniowania, czym właściwie jest ono współcześnie.

Osaczeni lękiem

Thomas Hobbes, uznawany za jednego z ojców nowożytnej polityczności, zakładał, że państwo ma być instytucją chroniącą nas przed nami samymi. Skoro „człowiek człowiekowi wilkiem”, musi istnieć zewnętrzny podmiot, który weźmie nas w obronę. W tym sensie, pomimo upływu 400 lat, niewiele się zmieniło. Lęk nadal jest podstawową emocją, która tworzy uzasadnienie dla istnienia państwa. Także w Polsce nietrudno znaleźć dziś głosy, że potrzebujemy go, by obronić się przed rosyjską napaścią i uniknąć losu Ukrainy, co oznacza, że to zagrożenie zewnętrzne, a nie wewnętrzne, stanowić może główne uzasadnienie dla idei państwa.

Gdyby spojrzeć na to z perspektywy Rosjan, sytuacja wyglądałaby zgoła odmiennie. W ich przypadku wojna jest w praktyce przeniesieniem przemocy z wewnątrz na zewnątrz, „specjalna operacja wojskowa” zaś to rosyjska odpowiedź na swoiście rozumianą ideę państwa dobrobytu. Wysyłając mężczyzn na front można nie tylko ograniczyć narastającą frustrację spowodowaną biedą i brakiem perspektyw, ale także wydatnie poprawić sytuację finansową wielu rodzin. Żołd, ale też zasiłki wypłacane ro-

dzinom zabitych żołnierzy, stanowią program ogromnych transferów płynących z centrum na prowincję. Jest w tym jakaś przerażająca perwersja, jednak analitycy zajmujący się obszarem postsowieckim tak właśnie wyjaśniają poparcie zwykłych Rosjan dla wojny. I dlatego będzie ona trwać, dopóki będzie funkcjonował mechanizm redystrybucyjny. Stał się on bowiem „wielkim wyrównywaczem”, jak to zresztą nierzadko w historii bywało.

Państwo gwarantem równowagi

Wracając jednak na bliższe nam podwórko – dla nas, a jeszcze bardziej dla „starego” Zachodu, państwo istniało, aby zapewniać ludziom nie tylko podstawowe wolności i bezpieczeństwo w sensie fizycznej egzystencji, ale także, a może przede wszystkim, bezpieczeństwo socjalne. Działo się tak za sprawą spełniania przez instytucję państwa dwóch funkcji. Z jednej strony ułatwiała ono koncentrację kapitału i jego wzrost (także w wymiarze rozwoju kapitału ludzkiego oraz społecznego), jednocześnie dbając o to, aby monopole nie urosły za bardzo w siłę (chyba że były to monopole publiczne). Z drugiej – zapewniało w miarę równy podział zysków i dostarczało usługi publiczne. Epoka XX-wiecznego państwa dobrobytu okazała się czasem największej stabilizacji, a zarazem – jak się wydaje – szczytowym momentem w historii państwa nowożytnego.

Nie jest przypadkiem, że w okresie przełomu 1989/1991 nawet w Kościele katolickim, który w przeszłości raczej dystansował się od idei liberalnych, uznano dziejowy prymat kapitalizmu i demokracji liberalnej. Świetnie było to widać nad Wisłą, choćby w pracach tzw. Komisji majątkowej, która zajmowała się wypłatami rekompensat lub przekazywaniem gruntów zastępczych za ziemie i budynki zagrabione Kościołowi w epoce PRL. Atrakcyjne działki były później przedmiotem handlu, w którym bezpośrednio uczestniczyły i na którym świetnie zarabiała nie tylko instytucje kościelne, ale też poszczególni księża.

Tyle że już wówczas zaczęły się pojawiać głosy ostrzegające (choćby Benjamina Barbera czy Francisca Fukuyamy), że ten mariaż kapitalizmu i demokracji liberalnej nie jest naturalny. Kapitał zaczął bowiem zyskiwać dominację nad światem pracy, a demokracja liberalna,

mając w założeniu zapewniać wszystkim równe szanse rozwoju oraz równość wobec prawa, powoli stawała się fasadą w tym tworem.

Wielka transformacja

Po upływie 35 lat znaleźliśmy się w świecie, który niektórzy, także za sprawą kolejnych rewolucji przemysłowych, określają mianem technofeudalnego. Oligarchizacja życia publicznego, którą wielu z nas kojarzyło z postsowiecką Rosją, współcześnie rozkwita w USA, czyli najważniejszym państwie Zachodu. Nie twierdzą oczywiście, że wcześniej kapitał nie odgrywał istotnej roli, ale obserwując ostatnie poczynania najbogatszego człowieka na ziemi, Elona Muska (choćby jego wezwania do głosowania na niemiecką AfD), trudno nie odnieść wrażenia, że mamy do czynienia z zupełnie nową „jakością”. Aktywność polityczna właściciela Tesli wymyka się dotychczasowym standardom – tu nie ma już mowy o zakulisowych wpływach, są za to groźby wygłaszane w świetle reflektorów, czy też jawnie ogłaszane zmiany algorytmów mediów społecznościowych, które mają sprzyjać określonym środowiskom politycznym. Unieważnione wybory prezydenckie w Rumunii (choć prawdopodobnie za ich „skręceniem” poprzez platformę TikTok stoją ludzie postkomunistycznych służb, a nie podmioty zewnętrzne), stanowią dobitny przykład, że demokracja liberalna nie jest już tym, czym była. Zakwestionowanie wiarygodności procesu wyborczego to cios w samo jej serce.

Nie byłbym zaskoczony, gdyby lutowe wybory parlamentarne w Niemczech przyniosły równie duże niespodzianki. Nie zdziwię się, jeśli AfD przekroczy 25 proc., a przewaga liderującego w sondażach CDU/CSU będzie tak niewielka, że utworzenie stabilnego rządu okaże się niewykonalne. Tak samo jak nie potrafię wykluczyć, że w majowych wyborach prezydenckich w Polsce doświadczymy prób tworzenia „cudów nad urnami”, oczywiście nie w sensie dosypywania głosów, ale manipulacji opinią publiczną za pomocą internetu. Ze smutkiem należy dodać, że główne siły polityczne w Polsce same robią bardzo dużo, aby zdyskredytować wiarygodność procesu wyborczego. Aż strach pomyśleć, co może się stać, gdy do tego polskiego piekielka wmiszają się →

*Marsz Niepodległości.
Warszawa, 11 listopada 2024 r.*

→ rosyjskie służby albo amerykańscy lub chińscy giganci, zarządzający cyfrowymi platformami.

Systematyczny demontaż

Powyższe obserwacje każą nam zrewidować myślenie o państwie i celu jego istnienia. To już nie są lata 90. XX wieku, kiedy mogliśmy w nim widzieć wyłącznie gwaranta procesu wyborczego, urząd antymonopolowy i dostarczyciela usług publicznych. Wówczas było to możliwe, gdyż istniał jeszcze balans między kapitalizmem a państwem – podmioty posiadające kapitał dzieliły się zyskami, umożliwiając wykonywanie przez państwo jego „równościowych” zadań. Wydaje się jednak, że za sprawą globalizacji i rewolucji technologicznej kapitalizm uległ turbodoładowaniu, podczas gdy państwo stało się przedmiotem systematycznego demontażu. Z tej perspektywy niezbyt zasadne są oczekiwania, aby dziś dostarczało nam ono wysokiej jakości usług publicznych. Podobnie zresztą jak niezbyt zasadne (choć skądinąd zrozumiałe) są utyskiwania, że kolejne polskie rządy nie potrafią sobie poradzić z postępującą zapaścią sektora publicznego.

To nie jest tylko nasz problem – podobne procesy obserwujemy w całym zachodnim świecie. Aby państwo było w stanie je powstrzymać, powinno w pierwszej kolejności przywrócić utraconą równowagę. A jeśli polityka rozumiana jako sztuka zarządzania państwem ma mieć współcześnie sens, musi koncentrować się przede wszystkim na tym, jak z powrotem okiełznać zglobalizowany już często kapitał i zmusić go, by dzielił się swoimi zyskami ze społeczeństwem. Niestety, jak pokazuje przykład Rumunii, dziś sytuacja staje się wręcz gorsza. Władza publiczna za sprawą delegitymizacji procesu wyborczego traci realny mandat społeczny, aby w ogóle taką walkę z kapitałem podjąć, a system komunikacji politycznej, oparty na internetowych platformach społecznościowych, daje bardzo złudne obietnice równości dostępu do publicznej debaty.

Nacjonaliści i kapitaliści

Nie przez przypadek do tej pory nie odwoływałem się do kategorii narodu. W naszych uszach często pobrzmiwa zbitka „państwo narodowe”, łącząc i utożsamiając z sobą obydwa te pojęcia. Tyle że historia pokazuje, iż państwo narodowe jako idea pojawiło się już po kapitalizmie. Bliższa jest mi perspektywa, że nacjonalizm był w jakimś sensie odpowiedzią na kapitalizm z jednej strony i ruch komunistyczny z drugiej, a jednym z jego celów była obrona kapitalistycznych stosunków społecznych. Mam świadomość, że taki pogląd jest ogromnym uproszczeniem, także na polskim podwórku – wystarczy spojrzeć choćby na pisarstwo międzywojennych endeków, aby dostrzec sceptyczne głosy wobec niekontrolowanej potęgi kapitału, zwłaszcza po Wielkim Kryzysie lat 1929-1933. Trudno jednak nie dostrzec, że przy realizacji idei nacjonalistycznych kategorii klasowe nie odgrywały istotnej roli, tym bardziej, że z definicji miały one charakter ponadnarodowy.

Piszę o tym po to, aby spróbować wytłumaczyć zjawisko renesansu ruchów narodowych (a co za tym idzie, idei państwowo-narodowych), zwłaszcza po wielkim kryzysie finansowym 2008 roku. Ożywienie to wyraźnie obserwujemy na całym Zachodzie, również w Polsce. Pojawienie się Marszu Niepodległości, a później Konfederacji w polskim Sejmie, jest elementem zjawiska odżywiania nacjonalizmów po wielkich gospodarczych tąpnięciach. Pozostaje jednak pytanie, na ile hasła narodowe realizowane są dziś w kontrze do (globalnego) kapitału, a na ile stanowią narzędzie w rękach jego właścicieli, służące do optymalnego z ich perspektywy kanalizowania społecznego gniewu. Trudno mi bowiem nie odnieść wrażenia, że niechęć wobec imigrantów, która łączy wszystkie partie prawicowe i skrajnie prawicowe na Zachodzie, jest dodatkowo podkręcana. Nawet jeśli problemy z integracją cudzoziemców w USA, a zwłaszcza w państwach Europy Zachodniej, są jak najbardziej realne, to

przecież największe poparcie partia taka jak AfD notuje w uboższych Niemczech wschodnich, gdzie odsetek mniejszości etnicznych jest zdecydowanie mniejszy niż w bogatszych zachodnich landach. W praktyce wygląda to zatem jak próba skierowania gniewu uboższej klasy pracującej właśnie na imigrantów, a nie dochodowe nierówności wynikające z coraz większej akumulacji kapitału w bardzo nielicznych rękach.

Jakimś symbolicznym dowodem tej osobliwej „miłości” pomiędzy wielkim kapitałem a perspektywą ludową, z już uświadomioną niechęcią wobec obcych (a nie posiadaczy kapitału), jest mariaż Donalda Trumpa i JD Vance’a, było nie było autora „Elegii dla bidoków”, stanowiącej *quasi*-manifest uboższej klasy pracującej na amerykańskiej prowincji. Multimilioner Donald Trump został wybrany powtórnie na urząd prezydenta USA właśnie głosami „bidoków”, w tym imigrantów obawiających się konkurencji ze strony nowych przybyszów.

Ludowi trybuni pogardy

Zjawisko to ma istotne konsekwencje zarówno dla świata polityki, jak też dla funkcjonowania mediów oraz całej debaty publicznej. Jednym z głównych sposobów na zdobycie władzy zawsze było podpięcie się pod jakiś społeczny gniew, a później podkręcanie go; od czasów starożytnych demokracji politycy wyłaniali się właśnie spośród ludowych trybunów. Zmiana polega na tym, że w dobie mediów społecznościowych, które żyją z zarządzania społecznym gniewem, bycie zwykłym trybunem ludowym już nie wystarczy. Trzeba wytwarzać nieustannie nowe uzasadnienia dla złości, tak aby można było utrzymać ludzi w objęciach platform. A jeśli brakuje wrogów, należy ich wymyślić i obdarzyć pogardą. Gardzić można zaś nawet kimś lub czymś na końcu świata. Gardzić można wszędzie i wszystkim. W efekcie polityka, jak zresztą cała przestrzeń publiczna, zaczynają przeobrażać się w jedne wielkie igrzyska pogardy. Roasty, orki, hejtparki etc. stają się naszym chlebem powszednim. Mogą dotyczyć też poważnych spraw, ale celem jest nie tyle odpowiedź na zidentyfikowane problemy czy słabości, co stopień „zaorania” przeciwnika.

Z perspektywy podmiotów zarządzających platformami oraz innych właścicieli

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

kapitału, ale także wielu współczesnych polityków, igrzyska pogardy mają bardzo użyteczną cechę – tak mocno koncentrują społeczną uwagę, że ludzie przestają utyskiwać na rosnące nierówności. Ważniejsze jest bowiem to, że ktoś ma gorzej lub jest gorszy. Możemy wówczas taką osobą gardzić, stawiając się w społecznej hierarchii ponad nią. Trzeba tylko tego gorszego znaleźć. Zresztą to w jakimś sensie jest *perpetuum mobile* – różne grupy mogą gardzić sobą nawzajem, widząc się jako lepsze od innych. Nie przypadkiem te grupy rzadko należą do posiadaczy kapitału. Chyba że są to wątpliwej sławy gwiazdy show-biznesu pokroju Natalii Janoszek, o której przed festiwalem pogardy, urządzonym przez Krzysztofa Stanowskiego, mało kto słyszał. Obiekt pogardy musi być bowiem na tyle słaby, że nie będzie w stanie się realnie odgryźć.

Igrzyska zamiast podatków

Opisany wyżej mechanizm stoi od lat u podstaw wyborczych zwycięstw Viktora Orbána, który do perfekcji opanował zarządzanie pogardą wobec różnych „obcych”. To nic, że sytuacja ekonomiczna przeciętnego Węgry, zwłaszcza tego reprezentującego biedniejszą część społeczeństwa, mocno się ostatnio pogorszyła. Jeszcze 20 lat temu płaca minimalna wynosiła tam około 231 EUR, w Polsce zaś – 208 EUR. Po upływie dwóch dekad, spośród których 15 lat przypadło na rządy Orbána, ten stosunek rysuje się w proporcji 675 EUR do 998 EUR. Mimo to węgierska klasa ludowa niezmiennie obdarza politycznym poparciem lidera Fideszu.

Podobną sytuację obserwujemy obecnie w USA. Możliwe, że „bidoki” dostaną jakieś świadczenia osłonowe, ale w żadnym wypadku nie należy się spodziewać wyrównania ich szans rozwojowych. To zresztą będzie coraz bardziej widoczne w przypadku większości ruchów narodowo-populistycznych, które pomimo lokalnych różnic, także za sprawą algorytmów takich mediów jak platforma X Elona Muska, będą się do siebie upodabniać. W przeciwieństwie do tradycyjnej konserwatywno-liberalnej prawicy, nie będą całkiem stronić od świadczeń socjalnych (używał ich m.in. PiS), ale zarazem nie powstrzymają zapaści sektora publicznego, co będzie przekładało się na systematyczny wzrost kosztów życia związany z prywatyzacją usług publicz-

**Strach pomyśleć,
co może się stać,**
gdy do polskiego
piekielka wmieszają się
rosyjskie służby
albo amerykańscy
czy też chińscy giganci,
zarządzający cyfrowymi
platformami.



nych. Chleba będzie zatem coraz mniej, ale w zamian obywatele dostaną igrzyska pogardy. Byle tylko realnie nie zwiększać podatków czy innych obciążeń dla właścicieli kapitału. Jak słusznie zresztą wskazał w niedawnym tekście dla „Tygodnika” Jakub Dymek, w tym całym pro-Trumpowskim zwrocie Doliny Krzemowej ostatecznie idzie właśnie o podatki.

Tyle że choć przykłady Orbána czy Trumpa są wygodne z perspektywy liberalnego odbiorcy, to trzeba powiedzieć wprost – premier Donald Tusk robi to samo. Jak pokazuje choćby prof. Przemysław Sadura, KO poświęciła pierwszy rok rządzenia na poszerzenie i utwardzenie swojego żelaznego elektoratu spod znaku „Silnych razem”, którego znakiem rozpoznawczym jest nienawiść i pogarda wobec PiS oraz jego zwolenników za działania ze strony poprzednio rządzących. Osobliwe są komentarze, w których tzw. silniczki akceptują brak poprawy własnej sytuacji ekonomicznej, byle tylko rozliczyć „pisiorów”. Niestety, polityka pogardy weszła na dobre nawet do liberalnego mainstreamu.

Złudne nadzieje

W ten sposób dochodzę do mało optymistycznej konkluzji. W ostatnich latach w ramach opisanego wcześniej „renesansu narodowego” pojawiło się

w polskiej przestrzeni publicznej trochę inicjatyw stawiających sobie za cel budowę sprawnego, silnego państwa. Zaczęło się od środowiska geopolityków i sporej liczby kanałów na platformie Youtube, równolegle dołączyły do nich zyskujące popularność podcasty. Wreszcie od ponad roku rozwija się ruch, który rozpoczął od tworzenia społecznego zaplecza dla budowy CPK, a dziś funkcjonuje w przestrzeni publicznej jako „Tak dla rozwoju”.

W środowiskach tych widać sporo energii oraz nadzieję, że zmieni to oblicze polityki. Mam co do tego wątpliwości. Głównie dlatego, że dziś wspomniana energia wtłaczana jest w przestrzeń mediów społecznościowych, a przez to, chcąc nie chcąc, jest zakładnikiem algorytmów oraz ich twórców, właścicieli platform. Świetnie pokazał to Klub Jagielloński w swoim noworocznym podsumowaniu: „To nie jakość też i sposób argumentacji ani nawet nie estetyka ilustracji czy pomysłowość tytułu, ale po prostu losowy werdykt bezmyślnych maszyn decyduje o tym, co do Was dociera. Pierwszy raz spotkała nas też zautomatyzowana cenzura. Jedną z platform po prostu zablokowała możliwość publikacji na niej merytorycznego, eksperckiego tekstu tylko dlatego, że dotyczył niekorzystnej dla tej platformy tematyki”.

Bez alternatywnych „zasobów komunikacyjnych” nawet najsensowniejsze ruchy prorozwojowe będą w efekcie skazane na łaskę Musków i innych Zuckerbergów tego świata, którzy coraz wyraźniej dają znać, że chcą mieć bezpośredni wpływ na kształt polityki. Niedawne ingerencje właściciela X w proces wyborczy w Niemczech (a wcześniej korumpowanie wyborców nagrodami w trakcie kampanii prezydenckiej w USA) pokazują, że w 2025 r. znajdujemy się już w zupełnie innym miejscu niż 30 lat temu, choć mam nie raz wrażenie, jakbyśmy w naszej debacie o polityce wciąż tkwili w latach 90. Tamtego świata już nie ma i tamtego państwa już nie ma. Choć tematy takie jak CPK czy elektrownia atomowa są istotne z perspektywy rozwoju Polski, to prawdziwa walka o państwo toczy się już zupełnie gdzie indziej. Pytanie, czy chcemy to dostrzec.

© MARCIN KĘDZERSKI



Władysław Kosiniak-Kamysz i Włodzimierz Czarzasty podczas posiedzenia Sejmu X kadencji. Warszawa, 22 lutego 2024 r.

Kwadratura trójkąta

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Problemy z nominacją nowego ministra nauki oraz przepychanki o edukację zdrowotną obnażają słabości koalicji rządowej. Wygląda na to, że przynajmniej do czerwca sojusz nie zrealizuje wyborczych obietnic. Czy przetrwa?

LPIEC 2017 ROKU. W PARLAMENCIE PiS uchwala naruszający konstytucję pakiet ustaw sądowych. Cała procedura trwa zaledwie kilka dni. Pośpiech jest tak duży, że Senat przyjmuje poprawki do nie tej ustawy o Sądzie Najwyższym, która została finalnie przyjęta.

Takich obrazków dziś już nie oglądamy. Sejm X kadencji uchwalił niewiele kontrowersyjnych politycznie ustaw, również dlatego, że realizacji zaopowiedzi programowych towarzyszą przepychanki wewnątrz trójczłonowej koalicji. Nie doszło więc do likwidacji Funduszu Kościelnego, uchwalenia ustawy o energii wiatrowej, podwyższenia kwoty wolnej od podatku czy zniesienia zakazu handlu w niedzielę (to obietnice KO ze „stu konkretów na sto dni”), ale też realizacji ustaleń zawar-

tych w umowie koalicyjnej z 10 listopada 2023 r., jak odpolitycznienie spółek skarbu państwa czy wzmocnienie kompetencji samorządów.

Łatka lewaka

15 stycznia 2025 r. marszałek Sejmu Szymon Hołownia wydał rozporządzenie o terminie wyborów prezydenckich; w tym samym dniu udzielił też wywiadu w TVN24, w którym przyznał, że dorobek koalicji po pierwszym roku rządów jest skromny. – Najwyższy czas, żeby spać ostrogi – oświadczył Hołownia, zaznaczając przy tym różnicę poglądów z rządem w kwestii planów związanych z inwestycjami kolejowymi.

Rozpoczynająca się właśnie kampania tylko pogłębi te spory, co dobrze wiadać na przykładzie ostatniej koalicyjnej

wojny, która wybuchła o edukację zdrowotną, czyli nowy przedmiot szkolny. Choć według wstępnych ustaleń miał on być obowiązkowy, to pod naciskiem PSL kierowany przez Barbarę Nowacką resort edukacji podjął – bardzo niechętnie – decyzję o dobrowolności przedmiotu. Tymczasem ma on sens tylko jako obowiązkowy, bo to dzieci z rodzin, w których dochodzi do przemocy czy molestowania seksualnego, najbardziej potrzebują takich lekcji.

Przyczyna rozwiązania sporu jest oczywista – w toku kampanii prezydenckiej KO nie chce, by jej kandydat Rafał Trzaskowski miał łatkę „lewaka”. Z kolei Władysław Kosiniak-Kamysz musi hołubić konserwatywnych wyborców (niechętnych obligatoryjnej edukacji seksualnej), więc niezgoda na uchwalenie projektu czy złośliwe komentarze Włodzimierza Czarzastego raczej mu nie zaszkodzą.

Podobny los czeka projekty dotyczące aborcji i związków partnerskich, choć w tej pierwszej sprawie szefowa nadzwyczajnej komisji Dorota Łoboda z KO próbuje szukać kompromisu: równoczesnego uchwalenia ustawy o depenalizacji aborcji i powrotu do kompromisu aborcyjnego, obecnego w projekcie Trzeciej Drogi. Politycy tego ostatniego ugrupowania uważają zarazem, że ustawa o związkach partnerskich jest źle napisana.

Wojna o resorty

Równie poważnym problemem są rozszarpujące rząd wewnątrzkoalicyjne spory w ministerstwach, w większości których wiceszefowie resortów pochodzą z innych ugrupowań niż to, które reprezentuje sam minister. To prawdziwa plaga niszcząca koalicję.

Wszystko zaczęło się w resorcie klimatu i środowiska, gdzie wyjątkowo kuleje współpraca między sojusznikami. Z minister Pauliną Hennig-Kłoską (Polska 2050) skonfliktowani są wszyscy jej zastępcy, a najbardziej liderka frakcji Zielonych w KO, Urszula Zielińska. Trzeba jednak przyznać, że obie panie nieco pogodził fakt, iż solidarnie oberwały po wrześnieowej powodzi.

Spory na wielu poziomach toczą się też w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz z Polski 2050 jest nie tylko mocno skonfliktowana ze swoim zastępcą Jackiem Karnowskim, posłem KO i byłym prezydentem Sopotu, ale jest też krytykowana przez innych koalicjantów: rzekomo tworzy „rząd w rządzie” i prowadzi własną politykę. W kwestii kredytu mieszkaniowego zero procent potrafiła nawet wejść w spór z samym Donaldem Tuskiem. A ostatnio (zwłaszcza w KO i PSL, którego przedstawiciel Dariusz Klimczak kieruje resortem infrastruktury) źle zostało przyjęte jej krytyczne stanowisko wobec rządowej koncepcji dotyczącej CPK.

Jednak sam wiceminister Jacek Karnowski bagatelizuje spory z Pełczyńską-Nałęcz. – Mamy jeden cel, wykorzystać jak najlepiej środki unijne. Z każdym bym się trochę potargał, gdybyśmy dłużej współpracowali, taka moja kaszubska natura – żartuje, starając się nie eskalować konfliktu w resorcie.

Wewnątrzkoalicyjny spór toczy też Ministerstwo Rozwoju i Technologii, kierowane przez Krzysztofa Paszyka z PSL, a chodzi w nim o budownictwo. Co prawda nadzorujący rządową legislację minister Maciej Berek prosił przedstawicieli ugrupowań koalicyjnych w rządzie, by unikali samodzielnego wychodzenia z inicjatywami poselskimi, jednak Polska 2050 tego nie przestrzega. W najbliższym czasie zamierza złożyć projekt nakładający na deweloperów obowiązek informowania klientów o faktycznych cenach mieszkań i innych związanych z nimi kosztach.

Głośny stał się również konflikt w resorcie rolnictwa – między ministrem Czesławem Siekierskim z PSL a jego zastępcą Michałem Kołodziejczakiem, formalnie posłem KO. Co gorsza, tłący się praktycznie od powołania rządu Tuska spór eskaluje w kluczowym momencie – gdy Polska rozpoczęła prezydencję w UE i ma większe niż wcześniej szanse uregulowania importu żywności z Ukrainy do UE i w ogóle dalszych losów Wspólnej Polityki Rolnej.

Jakby kłótni było mało, iskrzy też w Ministerstwie Sportu między ministrem Sławomirem Nitrasem a jego zastępcą z PSL Ireneuszem Rasiem, zresztą niegdyś politykiem PO. Nitras był ostatnio krytykowany również za to, że w kierownictwie nie znalazł miejsca dla kobiety.

Wieczorkowi się nie udało

Równie istotne są napięcia wynikające z faktu, że określone resorty przypadły koalicjantom, którzy niekoniecznie są do ich prowadzenia przygotowani. Ten ostatni problem ujawniły niedawne skandale w resorcie nauki.

Od wielu miesięcy widać, że oddanie lewicy tego ministerstwa nie było dobrym wyborem. Zdymisjonowany właśnie duet Dariusz Wieczorek–Maciej Gdula zdążył zjednoczyć przeciwko sobie prawie całe środowisko naukowe. Nie chodzi nawet o to, że minister zaliczył kilka wpadek dowodzących wysokiego poziomu kumoterstwa w Nowej Lewicy i w końcu musiał podać się do dymisji. Problemem stały się też sprawy programowe, zwłaszcza to, że rozwijająca się dzięki konkurencji nauka źle znosi zasadę „wszystkim po równo”, której hołduje lewica. Niewiele na razie też wskazuje, by inne od poprzedników pomysły miał nowy duet w resorcie – Marcin Kulasek i Karolina Ziolo.

Nie można również wykluczyć, że niedawne usunięcie przez USA Polski z grona zaufanych krajów, którym można sprzedawać nowoczesne półprzewodniki, to do pewnego stopnia echo innej afery w resorcie nauki – zdymisjonowania prezesa IDEAS NCBR Piotra Sankowskiego. Zostało ono wyjątkowo źle odebrane w środowiskach zajmujących się najnowszymi technologiami, więc w efekcie nie miał kto za nami lobbować.

Zapewne dla rozwoju polskiej nauki byłoby lepiej, gdyby na czele resortu stanął przedstawiciel innego ugrupowania, a lewica otrzymała np. kulturę. Skądinąd

przy tworzeniu rządu Czarzasty otrzymał ofertę kierowania właśnie tym ministerstwem – wołał jednak fotel wicemarszałka Sejmu. Gdyby podjął to wyzwanie, może nie doszłoby do błędów popełnionych przez Bartłomieja Sienkiewicza, który zbyt brutalnie i w sposób daleki od prawa dokonał czystek w mediach publicznych. Dopiero jego decyzja o postawieniu radia i telewizji w stan likwidacji miała odpowiednie podstawy prawne.

Sienkiewicz został ostatecznie wysłany do Parlamentu Europejskiego, ale jego następczyni Hanna Wróblewska też nie do końca sobie radzi. W końcu ubiegłego roku w bardzo tajemniczych okolicznościach do dymisji podał się wiceminister Andrzej Wyrobiec, na którym tak naprawdę opierało się zarządzanie resortem. Jego następcą ma być poseł KO Maciej Wróbel, były olsztyński dziennikarz, który nie ma rządowego doświadczenia.

W kampanii będzie gorąco

Truizmem jest stwierdzenie, że funkcjonowanie w koalicji skazuje na kompromisy. Jednak rok działania rządu Donalda Tuska pokazuje, że czasem kosztują one zbyt wiele. Czy wybory prezydenckie coś zmienią? Tak, na gorsze.

Posel Polski 2050 Mirosław Suchoń przyznaje, że jest oburzony rzekomo brutalnymi atakami „zaplecza medialnego Platformy Obywatelskiej” na Hołownię. – Apeluje do Rafała Trzaskowskiego, aby porozmawiał ze swoim najbliższym otoczeniem, które publikuje niesprawdzone informacje. Tego typu ataki nie poprawiają funkcjonowania koalicji – mówi.

Jego zdaniem tylko Hołownia jako prezydent może osłabić polaryzujący Polskę konflikt, a także zapewnić sterowność koalicji. Z kolei Dorota Łoboda z KO wierzy, że jeśli wygra Trzaskowski, to właśnie on będzie czynnikiem spajającym koalicję, a zarazem kimś, kto popchnie Polskę „w bardziej progresywną stronę”.

Problemów koalicyjnych nie było, gdy rządził PiS, szczególnie w pierwszej kadencji. Tyle że w efekcie nasze państwo do dziś nie jest w stanie uporać się z destrukcją w sądownictwie i Trybunale Konstytucyjnym, do jakiej doprowadzono dzięki absolutnej dominacji jednej siły politycznej. Może więc konflikty wewnątrzkoalicyjne nie są aż tak złe. Przynajmniej chronią Polskę przed politycznym szaleństwem. ©P

Ferie do odwołania

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Głosy za okrojeniem będącej PRL-owskim reliktem zimowej przerwy od szkoły przypominają prostą, choć wypartą prawdę. Sensu w polskiej szkole bywają pozbawione nie tylko nauka i praca, lecz także wypoczynek.

MUSZĘ PRZYSTANĄĆ W BIEGU, chociaż nigdzie nie dobiegłem. I odpocząć! Odpocząć za wszelką cenę!” – mówi napięty jak struna bohater „Dnia świra”, próbując przekrzyczeć szum polskiego morza. To jeden z najbardziej memotwórczych tekstów wygłaszanych w tym filmie przez znękanego belfra, odegranego przed ponad 20 laty przez Marka Kondrata.

Temat odpoczynku ponad pół miliona polskich pracowników oświaty oraz milionów uczniów wrócił przy okazji gdzieś tam trwających już, a w większości województw dopiero zbliżających się zimowych ferii. Odżyło też pytanie, dla kogo właściwie i po co są te dwutygodniowe wakacje, które tu i ówdzie rozpoczęły się dosłownie chwilę po – także dwutygodniowej – przerwie bożonarodzeniowej.

„Jestem zwolennikiem wprowadzenia przerwy jesiennej. W listopadzie i grudniu zarówno nauczyciele, jak i uczniowie ciągną już resztkami sił, z kolei dwa tygodnie zimą to przeżytek PRL, kiedy dzieci wyjeżdżały na dwutygodniowe zimowiska czy kolonie. Teraz nawet klasa średnia, jeśli wyjeżdża, to zazwyczaj na tydzień” – powiedział niedawno zakopiańskiemu dodatkowi „Gazety Wyborczej” Jarosław Pytlak, dyrektor jednej ze społecznych warszawskich podstawówek.

Ale choć także Ministerstwo Edukacji Narodowej dostrzegło potrzebę zmian, a podległy mu Instytut Badań Edukacyjnych powołał nawet – jak podaje w tym samym tekście „GW” – specjalny zespół rekomendujący zmiany, na razie korekty będą cokolwiek nieśmiałe. O ile do tego roku województwa dzielono na cztery grupy, wymieniałą się dwutygodnio-

wym odpoczynkiem z innymi „na zakładkę”, już od przyszłego roku grupy mają być trzy – a okresy ich pauzy nie mają na siebie nachodzić. Nie zmieni się rzecz zasadnicza: ferie zaczną się (dla jednych) w okolicach połowy stycznia i potrwają (dla innych) do początku marca. A zatem będzie, przynajmniej wedle krytyków, inaczej, ale nadal tak samo bez sensu.

Czy lepszym rozwiązaniem byłoby – jak proponuje Jarosław Pytlak – przeniesienie przynajmniej jednego z feryjnych tygodni na jesień? A może po prostu zabranie pięciu dni odpoczynku, skoro uczniowie dostali od nowej władzy „prezent” w postaci ograniczenia zadań domowych, nauczyciele zaś to grupa w stereotypowym odbiorze najwięcej ze wszystkich odpoczywająca?

Kłopot w tym, że prawda o obciążeniach polskiego ucznia, a tym bardziej pedagoga, jest dość daleka od stereotypu.

Jestem w proszku, w rozsypce

Od biedy dałoby się bronić jedynie tezy o relatywnie niewielkim obciążeniu obu grup w skali dwunastu miesięcy. 175-180 – mniej więcej tyle dni w tym roku szkolnym spędzą w klasach uczniowie i nauczyciele, z czego w prostym rachunku wynika, że polskie sale szkolne są nieznacznie częściej zamknięte niż otwarte (dni wolne to poza weekendami i dłuższymi przerwami wakacyjno-świątecznymi także święta państwowe



i tzw. dni dyrektorskie, do dyspozycji zarządzającego daną placówką). Ale i te dane są mylące: w końcu i uczniowie, i pedagodzy mają multum pracy w domu. Ci pierwsi przygotowują się choćby do sprawdzianów, a w ostatnich latach podstawówki i szkoły ponadpodstawowej szykują się do egzaminów końcowych, wokół których w polskim systemie edukacji wszystko się kręci.

Jeszcze trudniej byłoby dowiedzieć, że polska kadra szkolna oraz jej nieletni podopieczni pracują niewiele w skali tygodnia. Co prawda mityczne pensum, a więc tygodniowa pula czasu spędzonego przy tablicy wynosi dla większości nauczycieli osiemnaście godzin lekcyjnych, ale to tylko część obowiązków. Wedle przeprowadzanych ponad dekadę temu przez Instytut Badań Edukacyjnych pomiarów obciążenia pracą polskiego nauczyciela, jego przeciętne tygodniowe obłożenie zawodową aktywnością to czterdzieści kilka godzin. Tyle samo – a więc nawet nieco więcej niż standardowy etat – zdarza się spędzać w szkole albo nad książkami niektórym uczniom, np. tym z dwóch ostatnich klas podstawówek, zbliżających się do egzaminu ósmoklasisty.

Co innego jednak niż ta godzinowa buchateria jest istotą szkolnego obciążenia. „Zawód nauczyciela należy do grupy tzw. profesji pomocowych (*helping professions*) lub inaczej profesji zorientowanych na człowieka (*people-oriented professions*). (...) Zawody tej grupy, bez względu na to, czy zaliczają się do profesji medycznych (np. lekarz, pielęgniarz), szeroko rozumianej pomocy społecznej i administracji publicznej (...), czy wreszcie do grupy pracowników systemu oświaty (...), charakteryzują się pewnymi cechami wspólnymi” – pisze w książce „Psychospołeczne warunki pracy polskiego nauczyciela” pedagog poznańskiego UAM prof. Jacek Pyżalski, dodając, że cechy te to m.in. większe niż w innych profesjach zaangażowanie emocjonalne, a także znaczna dysproporcja między dawaniem a braniem. „Oznacza to, że symboliczne gratyfikacje wynikające z pełnienia ról zawodowych często nie są w stanie zbilansować kosztów ponoszonych przez pracownika” – dodaje prof. Pyżalski.

Wypoczynek zimowy w ośrodku narciarskim w Austrii. 15 stycznia 2025 r.

Wypalony, rozmontowany

Zapewne właśnie dlatego wskaźniki wypalenia zawodowego nauczycieli są – pomimo stereotypu pracy lekkiej, łatwej i kończącej się zwykle w okolicach godz. 14 – relatywnie wysokie. Gdy wskaźnik ten badał w 2010 r. łódzki Instytut Medycyny Pracy (pod kierunkiem prof. Pyżalskiego), jedną z trzech składowych wypalenia – czyli obniżone osobiste zaangażowanie w pracę – wykazywało ponad 27 proc. badanych. Drugi z czynników, a więc wyczerpanie emocjonalne, dotyczył niemal co dziesiątego nauczyciela, trzeci zaś (cynizm) mniej więcej co dwudziestego (4,47 proc.). W raporcie z badań IMP autorzy przytaczali też wcześniejsze pomiary Stanisławy Tucholskiej, „która stwierdziła pełnoobjawowy zespół wypalenia zawodowego u 20,7 proc. nauczycieli”.

Kłopot w tym, że – jak zaznacza prof. Pyżalski – przez półtora dekady aż do dziś nie było w Polsce reprezentatywnych badań nauczycielskiego wypalenia. W 2023 r. ogólnopolskie pomiary dobrostanu zawodowego tej grupy zawodowej zlecił Librus, ale choć przebadano ponad 7 tysięcy osób, nie zostały one dobrane losowo. Pomimo tego wskaźniki – pokazujące, że poszczególne cechy wypalenia widoczne są u ponad połowy nauczycieli – powinny dawać do myślenia.

– Gdybym na podstawie tych nielicznych pomiarów, którymi dysponujemy, miał dokonać jakiegoś ostrożnego uśrednienia, to powiedziałbym, że w populacji polskich nauczycieli wypaleni mogą stanowić kilkanaście procent – ocenia prof. Pyżalski.

Te kilkanaście procent to i tak dużo, bo oznacza nawet 100 tys. z armii 600 tys. polskich nauczycieli. – To także dużo w tym sensie, że wśród wypalonych mogą przecież być tacy, którzy w niemal stu procentach kształtują na co dzień życie uczniów – dodaje prof. Pyżalski. – Wyobraźmy sobie np. sytuację, w której cechy wypalenia wykazuje będąca z dziećmi przez cały dzień nauczycielka z klas 1-3 albo szkolna pedagogka.

Co może wpływać, poza cechami indywidualnymi, na wskaźniki przemęczenia i wypalenia polskich pedagogów? Na pewno nie pomaga ani utrzymująca się od lat zła atmosfera wokół szkoły, ani relatywnie niskie (choć od stycznia ub. roku wyższe o ok. 30 proc.) płace, ani tym bardziej brak stabilizacji, o który dbają

politycy wszystkich opcji – przez ponad trzy dekady III RP niemal żadna rządząca ekipa nie oszczędziła polskiej kadry pedagogicznej reform (bywało, że sprzecznych, jak powołanie, a później odwołanie gimnazjów, czy posłanie sześciolatków do szkół, a po latach wycofanie tej zmiany).

Jak do tego wszystkiego ma się specyfika nauczycielskiego wypoczynku? I jak się ta specyfika ma do resetu idealnego?

I śmiertelnie zmęczony

– Izraelscy naukowcy zbadali skuteczność wypoczynku, przyglądając się tym samym ludziom przez dłuższy czas – referuje prof. Pyżalski. – Badali poziom obciążenia pracą, a także stopień wypalenia w zależności od tego, na jaki wypoczynek mogli liczyć badani. Okazało się, że samo zbliżanie się dłuższego urlopu niosło ze sobą zmniejszenie natężenia stresu związanego z pracą, ale już w połowie trwania tej długiej przerwy na powrót się zwiększało, by krótko po zakończeniu paury powrócić do poziomu sprzed urlopu. Wniosek z tego, ale też z innych badań jest taki, że powinniśmy odpoczywać często, regularnie, a niekoniecznie zawsze długo.

Polski system edukacji to raczej antyteza tych idealnych warunków: nauczyciele i uczniowie odpoczywają zwykle długo, nieregularnie, w dodatku będąc – jak w okresie od września do grudnia – odcięci od możliwości resetu. W dodatku gdy przychodzi, jak w okresie grudzień-luty, kumulacja wakacji, jednych na nie zwyczajnie nie stać, a innych odstrasza tradycyjne feryjne tłumy w obleganych miejscach zimowego wypoczynku.

Może więc pora wreszcie na zmiany w szkolnym kalendarzu – odważniejsze niż te, które planuje od przyszłego roku rząd.

© P

Śródtytuły są cytatami z filmu „Dzień świra” w reżyserii Marka Koterskiego (2002).



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

A detailed illustration of a large, diverse crowd of people, mostly of Polish descent, dressed in winter clothing. The crowd is composed of men, women, and children of various ages. In the foreground, a man with grey hair and a mustache wears a dark brown coat, and a young man wears a blue puffer jacket with a green scarf. The background shows more people, some looking towards the camera and others looking away. The style is a soft, painterly illustration with a focus on human faces and textures of clothing.

DUMNI, ZMĘCZENI, WKURZENI

Jak to możliwe, że polska klasa średnia uważa się za głównego majstra na budowie nowego porządku po 1989 roku i zarazem za największego przegranego tej transformacji?

TEKST MAREK RABIJ

ILUSTRACJE KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

TRWAŁY WŁAŚNIE PRZYGOTOWANIA do obchodów 30. rocznicy obrad Okrągłego Stołu, gdy Polski Instytut Ekonomiczny zapytał przedstawicieli polskiej klasy średniej o ocenę bilansu tych trzech dekad. Aż 69 proc. ankietowanych odpowiedziało, że transformacja wyszła Polsce jednoznacznie na plus. Mniej więcej tyle samo, bo 65 proc. przedstawicieli tej grupy społecznej, widziało ją także w awangardzie zmian, jakie zaszły po roku 1989, podkreślając, że polskiego cudu gospodarczego nie byłoby bez pracowitej i odpowiedzialnej za kraj klasy średniej.

Pułapka własnej roboty

W tym samym czasie ten sam statystyczny polski średniak, pytany o ocenę własnej sytuacji bytowej, w odpowiedzi sypał najczęściej narzekaniami. W przeprowadzonym w 2019 r. badaniu Tomasa Kukołowicza z PAN blisko co drugi (45 proc.) przedstawiciel klasy średniej deklarował, że nie ma żadnych oszczędności. Niemal siedmiu na dziesięciu

poziom zaspokojenia potrzeb rodziny określiło jako wystarczający, ale tylko w odniesieniu do ludzi najgorzej sytuowanych.

W odpowiedzi na prośbę o ocenę własnego położenia w stosunku do osób o zbliżonej pozycji społecznej już tylko 14 proc. przedstawicieli polskiej klasy średniej uznało, że radzi sobie lepiej. Aż 40 proc. żywiło natomiast przekonanie, że nie dorównuje reszcie zarobkami i standardem życia.

Pandemia i wojna w Ukrainie uczyniły przyszłość jeszcze bardziej nieprzewidywalną, nic nie przemawia więc za tym, by obawy formułowane sześć lat temu straciły na aktualności. Budowniczości polskiej transformacji, jak lubi myśleć o sobie klasa średnia, nadal czują się więc

schwytni w pułapkę własnej roboty – co pokazują chociażby badania przeprowadzone w trakcie lockdownu przez socjologów z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Wysiłek włożony w projekt nowoczesnej Polski, zamiast obiecanej stabilizacji w jesieni życia, przyniósł im groteskową wersję duńskiej *flexicurity*, modelu rynku pracy łączącego elastyczność i stabilność zatrudnienia, który w polskim wydaniu kładzie akcent na elastyczność.

Jak widzi swoją przyszłość polski średniak? Na takie pytanie odpowiedziało kilkuset przedstawicieli tej klasy z doświadczeniem bezrobocia, którzy wzięli udział w badaniu przeprowadzonym przez socjologów Tomasza Szlendaka i Arkadiusza Karwackiego. Uczestnicy mieli opisać w formie pamiętnika perypetie z poszukiwaniem nowej pracy i okolicznościami utraty poprzedniej.

Niczym refren powraca w tych opowieściach wątek niestabilności, stresu przed utratą pracy i związanego z nią statusu, a także traktowania kompetencji jak towaru, który można po prostu przecenić w trudnej sytuacji rynkowej. Pracownicy dużych korporacji po utracie posady usuwają z CV adnotacje o międzynarodowych stażach i opanowanych językach obcych w nadziei, że życiorys w okrojonej wersji nie wystraszy rekruterów podczas ubiegania się o etat w instytucji kulturalnej. Świetnie wykształceni prawnicy od lat obijają się po kolejnych niskopłatnych stażach w kancelariach adwokackich. Utalentowani twórcy kultury grubo po trzydziestce, po kolejnym zleceniu w Warszawie wracają do rodzinnego domu gdzieś pod Łomżą, bo nieregularne dochody nie wystarczają im nawet na wynajem mieszkania w stolicy.

Bezrobocie i obawa o przyszłość nie są oczywiście zastrzeżone dla klasy średniej. Dlaczego zatem to właśnie ona tak boleśnie ich doświadcza? Prof. Tomasz Szlendak z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika podkreśla, że poczucie kruchości i tymczasowości, w którym funkcjonuje wielu przedstawicieli klasy średniej, bierze się także z tego, jak polscy średniacy oceniają siebie względem innych grup społecznych. – Dochody tej klasy nie muszą wcale spadać, wystarczy, że rosną wolniej niż tym, których klasa średnia w Polsce miała dotąd daleko za plecami – mówi w rozmowie z „TP”.

„Jak na Zachodzie”

W opublikowanej w 2012 r. „Polskiej klasy średniej” socjolog Henryk Domański szacował, że z tą grupą utożsamia się ok. 45 proc. społeczeństwa. Badanie CBOS przeprowadzone niemal dekadę później pokazało, że w klasie średniej – a ściślej, w którejś z jej trzech warstw – widzi siebie już niemal 77 proc. Polaków.

„Naszym celem jest Zachód” – pisał w 2012 r. Domański, zastanawiając się, czy na rodzimy grunt można przeszczepić tę niewidzianą tu wcześniej konstrukcję społeczną.

Cel uświęcał środki. Rytm polskiej transformacji wyznaczały w zasadzie kolejne decyzje, które miały doprowadzić do narodzin silnej klasy średniej, tradycyjnie utożsamianej z wykształconą inteligencją, zamożnymi przedstawicielami wolnych zawodów i z mikroprzedsiębiorcami. Gdy wiosną 1989 r. kończyły się obrady Okrągłego Stołu, w Polsce studiowało 378 tys. osób. W 2005 r. – już 1,95 mln, a dziś liczba Polaków z wyższym wykształceniem jest ponad trzykrotnie wyższa niż na początku transformacji.

Odsetek osób zatrudnionych w sektorze usługowym, mateczniku klasy średniej, pomiędzy rokiem 1991 a 2021 skoczył z 38,2 do 58,7 proc. Kolejny atrybut średniaka, czyli nieruchomości? W 1989 r. na 11,71 mln polskich gospodarstw domowych przypadało 10,9 mln mieszkań o przeciętnej powierzchni użytkowej 60,5 m kw. Dziś w całym kraju mamy niemal 15 mln lokali mieszkalnych i 14,1 mln gospodarstw domowych, a statystyczny metraż wzrósł do 74 m kw. Konsumpcja? Przeciętną polską pensję brutto można wymienić obecnie na ponad 1950 dolarów. W 1989 r. takie samo wynagrodzenie wystarczyłoby na zaledwie 108 dolarów.

Polska zarządzana pod klasą średnią powstawała oczywiście w oparciu o wzory i doświadczenia z krajów, w których ta grupa społeczna funkcjonowała od dekad. Szkopuł w tym, że autorzy tego przepisu nie wiedzieli jeszcze, że sprzedają Polsce pomysł już anachroniczny. Zaledwie dekadę wcześniej skończył się kryzys paliwowy, ale kresu dobiegło też coś znacznie istotniejszego, co historycy gospodarki wychylić dopiero kilkanaście lat później, grzebiąc w jak zawsze spóźnionych wobec rzeczywistości danych statystycznych.

→ Początek lat 80. wyznaczył w gospodarkach krajów wysoko rozwiniętych kres trwającej od końca II wojny światowej epoki, w której dochody z pracy wszystkich grup społecznych rosły mniej więcej w tym samym tempie, czyli proporcjonalnie do dynamiki PKB. W nowych realiach, narzuconych krajom rozwiniętym przez reguły liberalnej „reaganomiki”, która poluzowała m.in. kontrolę nad rynkami finansowymi i obniżyła podatki firmom, najzamożniejsi mieli bogacić się błyskawicznie. Nożyce dochodowe miały się otężyć rozchyłać coraz bardziej.

Efekt? Jeszcze w 1980 r. przeciętny dochód na osobę w amerykańskim gospodarstwie domowym był bliski medianie dochodów. 20 lat później statystyczny dochód wystrzelił już ponad 25 proc. ponad medianę, windowany przez zyski kapita-

łowe 10 proc. najzamożniejszych gospodarstw domowych.

Między sufitem a podłogą

36 lat po Okrągłym Stole jesteśmy w Polsce właśnie w takim momencie. Zdaniem dr. Michała Brzezińskiego, ekonomisty z Uniwersytetu Warszawskiego, przedstawiciele polskiej klasy średniej coraz częściej muszą boleśnie rewidować wyobrażenia o swojej przyszłości.

– W ostatnich dekadach nierówności w Polsce wyraźnie wzrosły i coraz trudniejszy do wykonania jest ostatni krok, czyli awans do klasy wyższej, którą za pomocą kryteriów czysto dochodowych definiowałbym jako tych, którzy zgromadzili dostatecznie duży majątek, by komfortowo żyć z dochodu pasywnego, czyli z odsetek, dywidend lub nieruchomości – mówi Brzeziński. – Do osiągnięcia

tego pułapu nie wystarczą już tylko wyzreczenia, ciężka praca, samodoskonalenie i inne pojęcia z katalogu cnót klasy średniej. Niezbędny staje się duży kapitał na start.

Dla najbogatszych banki i fundusze inwestycyjne mają dziś produkty oferujące zyski kapitałowe, o których przeciętny posiadacz lokaty bankowej może jedynie śnić. Kancelarie prawne doradzają im, jak sprawnie i legalnie „zoptymalizować” podatki i inne daniny publiczne. W trosce o zachowanie ich dziedzictwa rząd PiS stworzył instytucję fundacji rodzinnej, która nie tylko zabezpiecza kwestie spadkowe, ale też upraszcza zabawę w kotka i myszkę z fiskusem. W połowie 2024 r., nieco ponad rok po wejściu w życie przepisów powołujących je do życia, mieliśmy w Polsce już ponad 1,2 tys. zarejestrowanych fundacji rodzinnych

Czy jesteś w klasie średniej?

WEDŁUG KLASYFIKACJI Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) do klasy średniej należą gospodarstwa domowe, w których dochód na głowę wynosi od 75 do 200 proc. mediany zarobków w danym kraju. W Polsce – jak podał niedawno GUS – mediana wynagrodzeń w gospodarce wyniosła w ub. roku 6549,22 zł. Zgodnie z klasyfikacją OECD do klasy średniej zaliczają się zatem członkowie gospodarstw z dochodem brutto na głowę w przedziale od 4,9 tys. zł do 13,1 tys. zł. Dolne kryterium dochodowej przynależności do klasy średniej może więc w Polsce spełnić nawet bezdzietne małżeństwo, w którym jedna osoba zarabia pensję minimalną (4666 zł brutto), a druga inkasuje... 240 zł więcej.

STĄD TEŻ PRÓBY dookreślania klasy średniej za pomocą kryteriów innych niż tylko dochodowe. Część ekonomistów i socjologów przynależność do niej

uzależnia od charakteru wykonywanej pracy (pracownicy umysłowi kontra pracownicy fizyczni czy rolnicy), stanowiska zajmowanego w hierarchii organizacyjnej (pracownicy szeregowi, specjaliści, menedżerowie), a także od własności środków produkcji (przedsiębiorcy i samozatrudnieni oraz pracownicy najemni). Według takiej definicji do klasy średniej zaliczaliby się więc pracownicy korporacji, menedżerowie średniego szczebla oraz osoby prowadzące jednoosobowe działalności gospodarcze.

JESZCZE INNE UJĘCIE akcentuje kategorie kulturowe, zwłaszcza pojęcia kapitału kulturowego i kapitału symbolicznego, wypracowane przez Pierre'a Bourdieua. Francuski socjolog, klasyk badań nad klasą średnią uważał, że konstytuuje ją przede wszystkim zespół wspólnych wartości i wyobrażeń o świecie. Klasę średnią w tej definicji tworzyłyby zatem głównie osoby, które łączy wzajemne przekonanie o tym, że jadą na tym samym wózku, w dodatku jako partnerzy mający równie mocną legitymację do przebywania na tym samym pokładzie. © MR

6549,22

Mediana wynagrodzeń w gospodarce wyniosła w 2024 roku (brutto)

ADOBE STOCK

OBOK: KRÓL JAGIEŁŁO NA POLSKIM BANKNOTCIE. GRAWIURA WG PROJ. ANDRZEJA HEIDRICHA





44 proc.

o tyle wzrosły w latach
2000-2020 realne dochody
przeciętnego polskiego robotnika.

2,4 proc.

o tyle spadła w tym samym
czasie realna wartość portfela
statystycznego Polaka z klasy
średniej.



i przeszło dwa tysiące wniosków na etapie weryfikacji.

Jednocześnie na polską klasę średnią naciska klasa robotnicza. W opublikowanym we wrześniu ub. roku badaniu Jad Moawad i Daniel Oesch z Uniwersytetu Oksfordzkiego na podstawie danych z lat 2000-2020 szacują, że dochody wyższej klasy średniej w Polsce rosły we wspomnianym okresie w średnim tempie 3,5 proc. rocznie. W przypadku pozostałych polskich średniaków wzrosty sięgnęły 2,6 proc. rocznie. W tym samym czasie zarobki najlepiej wykwalifikowa-

nych robotników – techników, operatorów maszyn – rosły jednak w średnim tempie 4,4 proc. rocznie. Jeszcze szybszym wzrostem dochodów, na poziomie aż 5,3 proc. rocznie, cieszyli się robotnicy o niskich kwalifikacjach.

Przemysłowy boom, którego Polska doświadczyła po wejściu do Unii, stając się fabrycznym zapleczem Niemiec, poskutkował więc nominalnym podwojeniem dochodów przeciętnego polskiego robotnika w ciągu zaledwie 20 lat. W tym samym czasie typowy przedstawiciel zawodów kojarzonych z dolnymi rejestrami klasy średniej – jak urzędnik czy biurowy pracownik korporacji – musiał zadowolić się podwyżką o 52 proc. Gdyby urealnić te dochody o skumulowaną inflację, okaże się, że siła nabywcza przeciętnego robotnika wzrosła we wspomnianym dwudziestolecu o ponad 44 proc., podczas gdy portfel statystycznego średniaka stracił na wartości o 2,4 proc.

Co przyniesie jutro

Trafnie identyfikując napięcie, które na tym gruncie narasta między polską klasą średnią a resztą społeczeństwa, media lubują się więc w opowieści o niej jako grupie, która najgorzej kwestionuje sens polityki społecznej, zwłaszcza transferów socjalnych. Dla większości publicystów biorących pod lupę polskich średniaków to prosta funkcja wartości przyświecającej tej grupie, wśród których wysoko plasuje się poczucie własnej sprawczości i odpowiedzialności za siebie.

Łapią się na to także politycy – by przypomnieć choćby ostatnią „rejtanadę” Ryszarda Petru, gotowego zerwać koalicję rządową dla obrony postulatu obniżenia składki zdrowotnej dla mikroprzedsiębiorców. Tego typu incydenty są dziś jednak stosunkowo rzadkie, bo klasa średnia, rozdrobniona i trudna w definicji (patrz sidebar), z rzadka gości w agendzie partii politycznych. Ostatnim dedykowanym jej projektem była „ulga dla klasy średniej”, którą PiS usiłował reanimować swoją reformą podatkową. Jak mówi politolog Jarosław Flis, politycy wolą pozyskiwać dla siebie jej przedstawicieli docierając z propozycjami do konkretnych grup zawodowych, np. lekarzy.

W rzeczywistości – jak podkreślają autorzy badania przeprowadzonego przez Polski Instytut Ekonomiczny – klasa średnia w Polsce nie jest „szczególnie

przeciwna realizowaniu programów socjalnych”. Owszem, ankieta potwierdziła korelację między dochodami w gospodarstwie domowym badanych a ich poziomem akceptacji dla szeroko rozumianych wydatków społecznych i socjalnych (im wyższe, tym mniejsze poparcie), lecz pod tym względem polska klasa średnia nie różniła się ani od biedniejszych od siebie, ani bogatszych. W swoim stosunku do „działania mechanizmów redystrybucyjnych jest wręcz zbliżona do klasy niższej” – piszą autorzy badania.



Pewne różnice w podejściu do socjału zaobserwowano natomiast w obrębie grupy Polaków uważających się za przedstawicieli klasy średniej. Wśród respondentów, którzy zaliczyli siebie do niej wyłącznie w oparciu o kryterium dochodowe, odsetek krytycznych ocen wobec polskiego systemu transferów społecznych był niższy niż wśród tych, którzy opisywali siebie jako klasę średnią za pomocą kryteriów społecznych – wykształcenia czy zajmowanego stanowiska. W pierwszej grupie 21 badanych zgodziło się ze stwierdzeniem, że krajowy system świadczeń społecznych zapobiega biedzie. W drugiej – 18 proc. Pod tezę, że socjał rozleniwia beneficjentów, podpisałoby się z kolei 27 proc. ankietowanych z pierwszej grupy i 29 proc. z drugiej.

Tomasz Szlendak: – Te różnice są niewielkie, ale pokazują, czego polska klasa średnia obawia się bodaj najbardziej. Tym lękiem jest perspektywa utraty statusu społecznego osiągniętego ciężką pracą i latami wyrzeczeń.

Jeśli to prawda, to znaczy, że grupa społeczna, która rozdziła się w Polsce jako symbol nadziei na lepszą przyszłość, dziś jest głównie wyrazicielem strachu o to, co przyniesie jutro. © MAREK RABIJ

KORONY NASZEGO KRÓLESTWA

Niewiele zostało monarszych pamiątek z czasów, gdy byliśmy królestwem – większość przepadła, rabowana i niszczona. Tym ważniejsze jest dla nas odkrycie trzech koron jagiellońskich władców i władczyń w katedrze w Wilnie. Pójdźmy ich tropem.

MAGDALENA ŁANUSZKA

TYSIĄC LAT TEMU, WIOSNĄ ROKU 1025, syn Mieszka I oraz Dobrawy, książę Bolesław z dynastii Piastów, został koronowany na pierwszego króla Polski. Tym samym państwo polskie stało się jednym z europejskich królestw w ramach cywilizacji łacińskiej.

Królewska władza była święta, a jej wizerunek przez kolejne stulecia budowały liczne symbole i ceremoniały. W tym koronacja, a po śmierci pogrzeb namaszczonego władcy. Także dlatego jakiekolwiek zachowane przedmioty, stanowiące świadectwo splendoru Królestwa Polskiego i połączonego z nim unią Wielkiego Księstwa Litewskiego, są dziś niezwykle cenne i dla Polaków, i dla Litwinów.

Niedawno ogłoszono, że w katedrze w Wilnie udało się odnaleźć insygnia grobowe króla Aleksandra Jagielloń-

czyka i dwóch żon Zygmunta Augusta. Ukryto je we wrześniu 1939 r., po wybuchu II wojny światowej, a wydobyto dopiero teraz.

Co to właściwie za przedmioty? Jakie są ich dzieje? Jaką historię nam opowiadają?

Co wkładano do grobu

Pogrzeb władcy to było (i jest) wydarzenie państwowe, podobnie jak jego koronacja – w niektórych krajach Europy katedra koronacyjna i nekropolia królewska to dwa różne miejsca. W Polsce od czasów Władysława Łokietka (zmarł w 1333 r.) obie te funkcje połączono w katedrze na Wawelu.

Króla (i ewentualnie też królową) należało pochować z insygniami – jednak nie tymi, które służyły do koronacji, ale z wykonanymi specjalnie na tę okazję. Wprawdzie wypadało ciało monarchy

czy monarchini ubrać w bogate szaty, jednak zdawano sobie sprawę, iż grobowe insygnia mają charakter symboliczny i można je zrobić z tańszych materiałów.

Przykładowo, korona grobowa Kazimierza IV Jagiellończyka (zmarł w 1492 r.) była wykonana z pozłacanej skóry. Podobnie było (prawdopodobnie) w przypadku królowej Jadwigi – przy jej szczątkach znaleziono fragmenty złoczonej skóry, które mogły być resztkami po niezachowanej koronie. Przetrwały natomiast inne insygnia grobowe Jadwigi (zmarła w 1399 r.), czyli berło i jabłko, zrobione z pozłacanego drewna (dziś do oglądania w katedrze na Wawelu).

Prawdopodobnie na decyzję o wyborze materiałów, z których tworzone insygnia grobowe, miał też wpływ czas potrzebny na ich wykonanie – akurat Jadwiga An-



VALDEMAR DOVEIKO / PAP

Królewskie regalia grobowe władców Polski i Litwy zaprezentowane w Muzeum Dziedzictwa Sakralnego w Wilnie, 6 stycznia 2025 r.

degaweńska została pochowana już dwa dni po śmierci.

Ceremoniał ściśle planowany

To jednak rzadkość. Pogrzeby jagiellońskie były już planowane znacznie dłużej, co tylko w niektórych przypadkach związane było z koniecznością przetransportowania ciała do Krakowa. Na przykład Kazimierz IV Jagiellończyk, młodszy syn Jagiełły, zmarł w czerwcu 1492 r. w Grodnie, a pochowano go na Wawelu ponad miesiąc później. Zaś jego syn i następca na tronie, Jan Olbracht, skonał w czerwcu 1501 r. w Toruniu; pogrzeb w Krakowie odprawiono pod koniec lipca.

Kolejny król, Aleksander Jagiellończyk, zmarł w Wilnie i tam został pochowany. Ale już następny, Zygmunt I Stary, zakończył życie w zamku na Wawelu 1 kwietnia 1548 r., a pogrzeb i tak wyznaczono dopiero na 26 lipca. Pozwoliło to na staranne zaplanowanie trzydniowego ceremoniału pogrzebowego i dało czas na przybycie znamienitych gości.

Korona grobowa, wedle tradycji należąca właśnie do Zygmunta Starego, wykonana z pozłacanego srebra, dziś znajduje

się w muzeum Dom Jana Matejki – malarz miał ją otrzymać od anonimowego darczyńcy.

Odkryte grobowe korony z katedry wileńskiej również są z pozłacanego srebra. Ponadto znaleziono tam tabliczki grobowe – zwyczaj umieszczania ich w pochówkach stał się popularny wśród ostatnich Jagiellonów, począwszy od Zygmunta Starego.

Trudno powiedzieć, czemu dokładnie miały służyć te tabliczki – czy przewidywano wówczas, że w przyszłości ktoś będzie chciał ustalić, do kogo należały poszczególne szczątki? Drewniane trumny z czasem butwiały, zatem liczono się z tym, że w pewnym momencie każda krypta stanie się po prostu składem leżących na posadzce kości.

Najczęściej bowiem znajdujące się w kaplicach nagrobki władców, możnowładców czy kościelnych dostojników były jedynie wizualnym upamiętnieniem osoby zmarłego, zaś samo ciało składano w krypcie pod posadzką. Krypty te często mieściły więcej szczątków, jako że żony i zmarłe w dzieciństwie dzieci w wielu przypadkach nie miały własnych nagrobków.

Czaszki w koronach

Cofnijmy się teraz do wiosny 1931 r. Powódź, która zalała wtedy Wilno, okazała się katastrofalna dla katedry – woda podmyła fundamenty, mury popękały, fragmenty posadzek się zapadły. Okazało się, że część świątyni była osadzona na drewnianych palach – aby uratować budynek, trzeba było przeprowadzić zakrojone na szeroką skalę prace naprawcze; m.in. fundamenty wzmocniono za pomocą ponad 270 pali żelbetowych.

Przy okazji trzeba było dostać się do krypt pod kaplicami i nawami. Jak zanotował biorący udział w eksploracjach inżynier Kazimierz Wilkus, większość krypt była pełna zniszczonych trumien i kości, porzrzucanych w nieładzie; efekt działania wody, a może i grabieży.

Zaskoczenie czekało w zamurowanej krypcie pod prezbiterium. Tu nie dotarli żadni złodzieje. Przy wejściu leżała czaszka w koronie. Druga korona leżała na wystającym z muru kamieniu, zaś w pobliżu spoczywały kości. Kolejna czaszka w koronie leżała nieopodal.

Czarny osad na ścianach do wysokości 35 cm świadczył o tym, że do takiego poziomu w którymś momencie sięgała

→ tam woda. Trumny, w których pierwotnie znajdowały się szczątki, nie zachowały się.

Z kaplicy do prezbiterium

Badania, które wówczas przeprowadzono, pozwoliły ustalić, że najbliżej wejścia leżały kości króla Aleksandra Jagiellończyka (zmarł w 1506). Dalej zaś – szczątki dwóch żon ostatniego z Jagiellonów, króla Zygmunta II Augusta: Elżbiety Habsburżanki (zmarła w 1545 r.) i Barbary Radziwiłłówny (zmarła w 1551 r.).

Odkrycie szczątków królewskich w krypcie pod prezbiterium było tym bardziej zaskakujące, że wedle źródeł nie powinny one były tam się znaleźć.

Aleksander Jagiellończyk został pochowany w kaplicy, w której spoczywały już szczątki jego brata Kazimierza, który nie zdążył zostać królem – zmarł na gruźlicę w 1484 r. w Grodnie, w wieku 25 lat (w 1602 r. Kościół katolicki ogłosił go świętym).

Wiemy także, że Zygmunt August zdecydował się na tymczasowe złożenie w tej samej kaplicy swoich dwóch kolejnych żon, z zamiarem późniejszego przeniesienia ich do mauzoleum rodzinnego przy zamkowym kościele świętych



Korona królowej Elżbiety w krypcie katedry wileńskiej, 1931 r.

Anny i Barbary. Jednak nie zostało to zrealizowane.

Prawdopodobnie w pierwszej ćwierci XVII w., gdy kaplica św. Kazimierza była przebudowywana, roboczo trumny przeniesiono do krypty pod prezbiterium. Ktoś podjął decyzję o zamurowaniu tej krypty, prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa – same insygnia zmarłych były na tyle warto-

ściowe, że należało spodziewać się prób rabunku.

Zignorowana wola Aleksandra

Z czasem zapewne zapomniano, że szczątki króla i dwóch królowych w ogóle się tam znalazły. Kim oni byli?

Najpierw Aleksander: zasiadłszy na tronie po przedwczesnej śmierci swego brata Jana Olbrachta, zmarł on bezpotomnie

Wspólne dziedzictwo

Odkrywano je dwa razy: po raz pierwszy w roku 1931, a ponownie teraz.

Odnaleziona skrytka z insygniami pogrzebowymi Aleksandra Jagiellończyka, Elżbiety Habsburżanki i Barbary Radziwiłłówny przypomina o wspólnym dziedzictwie Polski i Litwy.

ODNALEZIONA skrytka z jagiellońskimi insygniami przypomina także o długiej tradycji litewskiej państwowości.

„W tym roku Trzej Królowie przynieśli nam w prezencie trzy korony” – mówił metropolita wileński Gintaras Grušas na konferencji prasowej, którą w Muzeum Dziedzictwa Kościelnego archidiecezja wileńska zwołała 6 stycznia. Tym-

czasem, jak wyjaśnił Grušas, skrytkę znaleziono już trzy tygodnie wcześniej i można odnieść wrażenie, iż władze kościelne czekały z ogłoszeniem odkrycia do święta Objawienia Pańskiego, by nadać mu większą symbolikę.

INSYGNIA to „symbole długiej tradycji państwowości litewskiej, znaki Wilna jako stolicy” – ocenił Grušas. Także litewscy historycy zwracają uwagę na ten fakt, podkreślając rangę Wilna jako stolicy równorzędnej Krakowowi. „Ze względu na pogrzeb Aleksandra, Wilno i katedra wileńska zrównują się symbolicznie z Krakowem i Wawelem jako miejsce, w którym pochowani są

wspólni już wówczas władcy obojga państw” – mówiła dr Gitana Zujienė z Instytutu Historii Litwy w rozmowie z nadawcą publicznym LRT.

SKARBIEC katedry ukryto w 1939 r. – z obawy, że może wpaść w ręce okupantów niemieckich lub sowieckich – tak solidnie, że pierwszą jego część (zawierającą m.in. naczynia liturgiczne) ujawniono dopiero w 1985 r., w ostatnich latach istnienia Związku Sowieckiego. W katedrze działała wtedy jeszcze galeria obrazów – zwrócono ją wiernym na fali pierestrojki w 1989 r. Natomiast poszukiwania pozostałej części skarbcza, tej z insygniami, kontynuowano po odzyskaniu przez Litwę niepodległości w 1991 r., ale bez skutku.

Dopiero teraz udało się znaleźć skrytkę – jak podają litewskie media, po przeprowadzeniu badań przy użyciu kamery endoskopowej, a także na podstawie archiwalnych relacji świadków i badań historycznych.

TAKŻE dla polskich historyków to wielkie wydarzenie, które przypomina o wspólnym dziedzictwie państwa polsko-litewskiego. „To sensacyjne odkrycie” – mówił w Polskim Radiu prof. Andrzej Betlej, dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu, podkreślając, iż pokazuje ono, że „katedra wileńska to nekropolia naszych wspólnych władców”.

© DOMINIK WILCZEWSKI

Więcej o litewskich głosach na temat odkrycia na stronie internetowej „TP”.

19 sierpnia 1506 r., w wieku 45 lat. Choć jego małżeństwo z Heleną (córką księcia moskiewskiego Iwana III) należało do udanych, jasne było, iż król i królowa nie spoczną w tym samym miejscu, gdyż Helena nie zdecydowała się odejść od prawosławia (po śmierci – zmarła w 1513 r. – spoczęła w cerkwi).

W testamencie Aleksander wyraził nieznacznie, że życzy sobie być pochowanym w katedrze na Wawelu – obok dziada, ojca i brata (tj. Jagiełły, Kazimierza Jagiellończyka i Jana Olbrachtę) – swoim spadkobiercą i następcą mianując młodszego brata Zygmunta.

Możnowładcy litewscy zignorowali jednak to pierwsze życzenie zmarłego – uznali, że skoro był on także wielkim księciem Litwy, ciało powinno pozostać w Wilnie, w pobliżu pochówku Witolda Kiejstutowicza (brata Jagiełły, który na chrzcie przyjął imię Aleksander).

Tak się stało, pogrzeb odbył się 11 października 1506 r.

Zauszniki jak amulety?

Jak wspomniano, wchodząc do krypty pod prezbiterium wileńskiej katedry w 1931 r., Kazimierz Wilkus najpierw natrafił na czaszkę Aleksandra Jagiellończyka. Zdobila ją srebrna pozłacana korona z inskrypcją, co od razu pozwoliło zidentyfikować króla.

W pobliżu leżał też miecz żelazny w skórzanej pochwie – pochwa zbudowana, miecz zarzewiał. Natomiast pozostałe kości władcy woda rozniosła po krypcie i w dużej mierze uległy one zniszczeniu.

Przy czaszce znaleziono także dwa złote pierścienie o przerwanych obwodzie, być może będące kolczykami. Mieczysław Limanowski, opisując znalezisko w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” (nr 237 z 26 listopada 1931 r.) zasugerował, że owe pierścienki „podobne do zauszników słowiańskich” miały być odstraszającymi złe moce amuletami, i że mogła je do trumny włożyć królowa Helena, podążając za wschodnim ludowym zwyczajem.

Ale to tylko hipoteza.

Elżbieta z Habsburgów

Kolejne kości, złożone przy ścianie krypty, należały do Elżbiety Habsburganki, pierwszej żony Zygmunta Augusta. Częściowo związały się one z mu-



Jerzy Hoppen, Szczątki Barbary Radziwiłłówny w Katedrze Wileńskiej, 1933 r.

rem, gdy woda weszła w reakcję z wapnem, którym zasypano jej ciało w trumnie.

Elżbieta zmarła młodo (nie miała ukończonych 19 lat) w wyniku nasilonych ataków epilepsji, która miała być zresztą jednym z powodów niechęci Zygmunta do małżonki. Ponadto, już kilka miesięcy po ślubie z Elżbietą, w październiku 1543 r., podczas pobytu na Litwie August poznał Barbarę Radziwiłłównę...

Zygmunt przedłużył wtedy swój pobyt w Wielkim Księstwie tak, aż wreszcie Elżbieta udała się za nim do Wilna. Pozostała tu, gdy w maju 1445 r. Zygmunt wrócił do Krakowa, by odebrać przesłany z Wiednia posąg żony. I tu, w Wilnie, Elżbieta zmarła nagle w połowie czerwca. Czas był upalny, z pochówkiem należało czekać na Zygmunta, ciało jej zasypano więc wapnem.

Pogrzeb odbył się 24 października 1545 r. Pozłacana korona Elżbiety i jej tabliczka pośmiertna były wykonane ze srebra. Przedmioty te, a także złoty łańcuszek, leżały na wystającym z muru krypty kamieniu. To może świadczyć, iż jej trumna rozpadła się już przy przenoszeniu szczątków w XVII stuleciu i ktoś te najcenniejsze przedmioty odłożył.

W 1931 r. przy szczątkach znaleziono ponadto pozłacany medalion z wizerunkami Zygmunta Augusta i Zygmunta Starego (teścia Elżbiety), pierścionki z czterema diamentami oraz dodatkową tabliczkę z herbem Habsburgów.

Barbara z Radziwiłłów

Barbara, druga żona Zygmunta Augusta, była jego ukochaną – poślubił ją w 1547 r. wbrew woli swych rodziców i ku oburzeniu poddanych, bo małżeństwo z wdową po wojewodzie Stanisławie Gasztołdzie postrzegano jako mezalians.

Po śmierci Zygmunta Starego w 1548 r., już jako samodzielny władca Zygmunt August doprowadził do koronacji Barbary na królową. Jednak pięć miesięcy później, 8 maja 1551 r., Barbara zmarła, być może wskutek raka szyjki macicy.

W Krakowie królowa czuła się znienawidzona – przed śmiercią poprosiła męża, by pochował ją w ojczystym Wilnie. Król spełnił wolę ukochanej.

Kości Barbary, znalezione w krypcie w 1931 r., były w niezłym stanie, ponieważ chroniła je wapienna skorupa. Oprócz korony, berła i jabłka, królowa została pochowana ze złotym łańcuchem i aż trzema złotymi pierścieniami.

Warto może zauważyć, że korona grobowa Elżbiety była wykonana ze srebra niższej próby niż ta, która trafiła na głowę zmarłej Barbary. Dwór drugiej żony Zygmunta Augusta (zwyczajowo rozwiązany po jej śmierci) dostał też znacznie wyższą odprawę niż dwór tej pierwszej, co zapewne odzwierciedlało uczucia króla-wdowca.

Jednocześnie fraucymer Barbary nie otrzymał jej szat, biżuterii czy innych osobistych przedmiotów – te Zygmunt August zachował dla siebie i trzymał we własnym skarbcu do końca swego życia (zmarł w 1570 r.; był to koniec dynastii).

Wyznanie miłości

Jak powiedziano, Barbara, choć zmarła w Krakowie, została przewieziona na pochówek do Wilna. Było to czasochłonne i wymagające.

Wiemy, że ciało Barbary – ubrane w czarne atlasowe szaty, ze srebrnymi pozłacanymi insygniami – przez dwa tygodnie wystawiono na Wawelu, a przy marach trwały ceremonie. Tymczasem kucharze królowej dostali zlecenie na uwarzenie mieszanek wapiennej z popiołem, którą obłożono jej całun.

Do sukni na piersi królowej przypięto jedną tabliczkę z herbami i inskrypcją (mówiącą m.in., że zmarła nie ukończyła jeszcze 28 lat), a drugą umieszczono na jej trumnie. Na tej ostatniej znalazło się wzruszające wyznanie miłości: że odeszła →



IAN BUEHAK / MATERIAŁY PRASOWE MNW

Czaszka Aleksandra Jagiellończyka, wewnątrz krypty królewskiej w katedrze w Wilnie. 1931 r.

→ przed czasem, ale choćby była staruszką, to i tak Zygmunt powiedziałby, że odeszła przed czasem.

W końcu kondukt ruszył w niemal miesięczną podróż do Wilna – z licznymi przystankami, w czasie których odprawiano żałobne msze. W Wilnie zaś ceremonie pogrzebowe trwały trzy dni, a ściany w kościołach oraz na zamku wielkokszyjącym udekorowano czarnymi tkaninami.

Zachował się rachunek świadczący, że złotnik Jan Gunt otrzymał cztery dukaty za pozłocenie korony użytej w czasie ceremonii pogrzebowych. To jednak nie była korona grobowa, która spoczęła na głowie Barbary i została odnaleziona w 1931 r. – tę bowiem wykonano w Krakowie i złożono do trumny wraz z zasy-

panym wapnem ciałem. Trumna zaś musiała pozostać zamknięta – było lato, a od śmierci królowej do pogrzebu minęło półtora miesiąca.

Artyści uwieczniają Barbarę

Wtedy, w roku 1931, spośród kości odkrytych w Wilnie malarze, graficy i fotograficy najchętniej uwieczniali szczątki Barbary – nie tylko były najlepiej zachowane i zdobione największą liczbą drogocennych przedmiotów, ale należały do postaci najbardziej intrygującej. Ukochana Zygmunta Augusta budziła większe zainteresowanie niż jego pierwsza żona, nieśmiała i niekochana, albo jego stryj, który panował jedynie pięć lat.

Poddane wówczas konserwacji, kości Aleksandra, Elżbiety i Barbary przykryto

następnie purpurowymi całunami i złożono w 1933 r. w mauzoleum pod katedralną kaplicą św. Kazimierza – czyli tam, gdzie spoczywały do wieku XVII.

Natomiast insygnia, łańcuchy i pierścienie (oraz grosz srebrny z czasów Aleksandra, znaleziony po powodzi w gruzie pod nawą główną) wyeksponowano w gablotach w zakrystii katedralnej.

Zaginione, odnalezione

Gdy zaczęła się II wojna światowa, nie tylko w Wilnie, ale w wielu świątyniach i muzeach II Rzeczypospolitej cenne skarby i pamiątki chowano naprędce do skrytek.

Tak się złożyło, że jagiellońskie insygnia grobowe schowano na tyle skutecznie, że po II wojnie światowej, gdy Wilno stało się stolicą sowieckiej republiki, jakoś nikt nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się właściwie podziały. Tak jak wcześniej królewskie kości, w XVII w. złożone „tymczasowo” pod prezbiterium, popadły w zapomnienie na trzy stulecia, tak po roku 1939 insygnia uznano za zaginione.

Na szczęście nie trzeba było katastrofalnej powodzi, aby je odkryć na nowo: 16 grudnia 2024 r. udało się w końcu zlokalizować skrytkę. Skarby zawinięte były w przedwojenne polskie gazety.

Insygnia, tabliczki i biżuteria mają zostać wkrótce udostępnione w wileńskim Muzeum Dziedzictwa Kościelnego. Można się spodziewać, że zainteresowanie nimi będzie duże – i wśród Polaków, i Litwinów. W końcu to nasza wspólna przeszłość. © MAGDALENA ŁANUSZKA

Nasza pomoc dla walczącej Ukrainy

Trafity do ukraińskich obrońców, w tym także do kilkunastu szpitali polowych oraz do wojskowych służb medycznych wzdłuż całego frontu: od obwodu sumskiego przez Charków, Donbas i Zaporże po obwód chersoński – agregaty prądotwórcze, stacje zasilania i materiały medyczne podarowane przez czytelniki i czytelniczki „Tygodnika”, które zawieźliśmy w grudniu na Ukrainę. Łącznie były to trzy tony pomocy. W tym jeden potężny agregat o mocy 85 kVA, który dziś służy w obronie przeciwlotniczej we wschodniej Ukrainie (relacja o naszej akcji: powszech.net/pomoc-dla-ukrainy).

„Dziękujemy, że jesteście z nami” – to zdanie powtarzało się w rozmowach. Wraz z prośbą, aby to podziękowanie przekazać dalej. „Dziękujemy za Wasze braterstwo” – napisał starszy sanitariusz z frontu chersońskiego (jego szpital polowy otrzymał agregat). Wojna trwa, Ukraina broni się nadal – trwa więc także nasza akcja.

Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.

Numery kont:

– w złotych:

20 1090 2590 0000 0001 5044 0623

– w euro:

64 1090 2590 0000 0001 5044 0898

Odbiorca:

Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.

<https://inicjatywasasiedzka.org>

Dziękujemy!

„Tygodnik Powszechny”

i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka

TOMASZ

Stawiszyński:

Oferta sensu



PAMIĘTAM, KIEDY NA POCZĄTKU LAT 2000., w epicentrum transformacyjnego optymizmu, dziewięć miesięcy przed atakami na WTC, kilka lat przed kryzysem finansowym, oglądałem w telewizji urywki z moskiewskiej zabawy sylwestrowej. Jakiś

zachodni dziennikarz dopytywał rozbawionych młodych ludzi, z czego się tak cieszą, skoro w Rosji nie ma demokracji. „A na ch... nam demokracja!” – odparł ktoś bezpretensjonalnie.

Został mi ten obraz w głowie na lata. „Ot, rosyjska mentalność” – myślałem. Tymczasem opublikowane niedawno badania przeprowadzone przez FGS Global Radar pokazują, że w grupie obywateli brytyjskich w wieku 18-45 lat co piąta ankietowana osoba uważa, że najlepszym rozwiązaniem politycznym jest „silny lider, który nie przeprowadza wyborów”. Do tego 23-35 proc. badanych (różnice są w grupach wiekowych) uznaje, że głosowanie w wyborach nie ma żadnego znaczenia.

O czym to świadczy? Być może wyłącznie o młodzieżowym radykalizmie. Jeśli jednak rzucimy to na szerszy plan europejskiej i amerykańskiej sceny politycznej – poszczególne elementy wydają się niepokojąco do siebie pasować. Również opracowany pięć lat temu przez Bennett Institute for Public Policy przy Uniwersytecie w Cambridge raport o postawach politycznych młodych ludzi ze 160 krajów pokazuje analogiczny trend, nie tylko w USA i Europie, ale też np. w Ameryce Łacińskiej.

Cóż, wiele wskazuje na to, że czasy liberalnej demokracji jako domyślnego systemu operacyjnego zachodniej kultury nieuchronnie dobiegają końca. Jak to się stało? Co jest tego fundamentalną przyczyną, a co aspektem dodatkowym? Czy kluczowa okazała się pycha i krótkowzroczność pogrążonych w samozadowoleniu elit, niezdolnych do zrozumienia motywacji, potrzeb, aspiracji i światopoglądu „zwykłych ludzi”? Czy też fałszywa, naiwna antropologia, owo charakterystyczne dla pogodnie usposobionych demokratów przekonanie, że ludzie są z natury dobrzy, sympatyczni i chcą dla siebie jak najlepiej? Przekonanie zderzające się co najmniej od dwóch dekad z coraz większą frustracją i resentymentem tych, którzy doświadczyli ze strony Zachodu niemal wyłącznie okrucieństwa i cynizmu. I tych, którym zaszczerpiono te postawy poprzez umiejętnie stosowaną propagandę. Czy zatem to właśnie miało decydujący wpływ na erozję świata, o którym sądziliśmy jeszcze niedawno, że na erozję jest odporny? Jakby zapominając, że w żadnym ustroju politycznym nie ma nic niezmiennego i koniecznego. Każdy może zostać zastąpiony, każdy może odejść w przeszłość.

Brytyjski filozof John Gray twierdzi w najnowszej książce, że na miejscu liberalnej demokracji pojawiają się dziś „nowe lewiatany”. Systemy władzy, które tym się różnią od swojej dobroduskiej koleżanki, że obiecują nie tylko bezpieczeństwo oraz stabilność, ale sprawnie zagospodarowują również jedną z najistotniejszych ludzkich potrzeb. Mianowicie – potrzebę sensu. Niedocenianą ostatnimi czasy, marginalizowaną, redukowaną do urządzeń ekonomicznych czy społecznych (w duchu tych teorii, które starają się wszelką ludzką aktywność sprowadzić do kwestii klasowo-materialno-tożsamościowych). Tymczasem – autonomiczną, żywą i... niezaspokojoną.

Doskonale – niestety – rozumie to Władimir Putin, który, co lekceważy wielu analityków nadto skupionych na wątkach geopolitycznych, bardzo świadomie posługuje się doktryną „ruskiego miru” czy apokaliptycznego prawosławia. Doskonale rozumieją to Chińczycy ze swoim spójnym, nastawionym na ekspansję i rozwój autorytaryzmem, w którym jednostka podporządkowana jest ściśle państwowo-biznesowej machinie. Wreszcie, doskonale rozumieją to Donald Trump i Elon Musk, wytwarzający wokół siebie nie tylko aurę pragmatyzmu i sprawczości – czego szumne zapowiedzi dotyczące Grenlandii są tylko jednym z przejawów – ale także odwołujący się do niegdysiejszego amerykańskiego etosu, wartości chrześcijańskich, wizji życia podporządkowanego wyższemu celom.

Ich sukces, ich umiejętność docierania do coraz większej liczby ludzi, wskazują, że bodaj najważniejsza w polityce jest dziś nie tyle oferta ekonomiczna, ile raczej, nazwijmy to, oferta sensu. Na ile ten sens jest rzeczywisty, a na ile jest to wyłącznie mimikra czy powidok – to sprawa zupełnie osobna. Na ile także w pakiecie z sensem oraz bezpieczeństwem i jednoznacznością niepostrzeżenie przychodzi autorytaryzm – to również inna rzecz. Problem w tym, że dla rosnącej grupy wyborców te autorytarne „nowe lewiatany” – w tej swojej nowoczesnej, nie-totalitarnej formie (a przynajmniej nieprzypominającej na pierwszy rzut oka tego, co nam się z wielkimi XX-wiecznymi totalitaryzmami odruchowo kojarzy) – zaczynają jawić się, także z powyższych powodów, jako oferta wysoce atrakcyjna.

Znowu – o czym to świadczy? Na pewno o tym, że obowiązujące dotąd ideały i paradygmaty polityczne już nie działają. Częściowo – z pewnością – wskutek zaniku świadomości, że utrata tak starannie wypracowanych dóbr, jak wolność myślenia i słowa, pluralizm, równouprawnienie czy prawa człowieka, może się wydarzyć w każdej chwili. I niepostrzeżenie. Częściowo jednak dlatego, że mieszkańcy zachodniego świata doświadczają dziś głębokich deficytów sensu, a projekt liberalnodemokratyczny okazuje się wobec tego dojmująco bezradny. Kto będzie umiał sprawnie ten deficyt zaspokoić – a w każdym razie: wytworzyć wrażenie, że zaspokoić go potrafi – ten dostanie rząd dusz.

©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.

WIARA



WIOSKI CZAROWNIC

Ratują życie kobiet uznanych za czarownice,
ale czynią z nich wykorzystywane pracownice.
Jak walczyć z wiarą w czary?

ANNA NIEDŹWIEDŹ



ROBIN HAMMOND / PANOS PICTURES / FORUM

*Oskarżona o czary
matka trójki dzieci więziona
w celu uzdrowienia
w obozie modlitewnym.
Obozy takie bywają
prowadzone przez
niektóre Kościoły nurtu
neopentekostalnego.
Listopad, 2019 r.*

O HISTORII WIKTORII BARDZO CIĘŻKO pisać w czasie przeszłym. Stoi przed moimi oczyma – piękna, dumna, postawna, obdarzona nieprzeciętnym głosem oraz wprost genialną muzykalnością. Gdy wchodziła w krąg osób zasiadających na hucznie celebrowanych w Ghanie pogrzebach czy gdy pojawiała się podczas religijnych spotkań w parafii katolickiej w centralnej części kraju – gdzie przez kilka lat pełniła funkcję „prezydenta kościoła” (jak miejscowi potocznie nazywają przewodniczącego rady parafialnej) – natychmiast skupiała na sobie uwagę wszystkich zebranych. Wydawało się, że jej niespożyta energia i charyzmatyczna osobowość zapewnią jej długie, spełnione życie i szacunek całego miasteczka.

„Nasza Mama” czy „Ciocia Wiki” – jak o niej mówiono – we wtorki przez cały dzień sprzedawała plastikowe naczynia i metalowe garnki na miejscowym cotygodniowym targu, wieczorami prowadziła próby parafialnego chóru, w soboty – ubrana w tradycyjny strój ludu Akan, z którego się wywodziła – często jechała reprezentować swój królewski ród podczas rozmaitych lokalnych wydarzeń i uroczystości w regionie. A w niedziele, wcześniej rano przed rozpoczęciem mszy, pojawiała się na placu budowy parafialnego kościoła, aby przypilnować, czy rozstawione są plastikowe krzesła i rozpięte brezentowe baldachimy, które podczas wielogodzinnego rozśpiewanego i roztańczonego nabożeństwa miały chronić wiernych przed skwarem słońca (w porze suchej) lub gwałtownymi opadami (w porze deszczowej).

Gdy przed paru laty po kilku miesiącach nieobecności w Ghanie podróżowałam z Akry do środkowej części kraju, aby kontynuować badania etnograficzne, ze ściśniętym sercem dowiedziałam się, że „wracam w sam raz na pochówek Wiktorii”. Szokująca okazała się nie tylko jej nagła śmierć, ale też po cichu i z trwogą powtarzane pogłoski o tym, że „okazała się czarownicą”.

Rodzinne posądzania

O czary kilka tygodni wcześniej publicznie oskarżył ją jej niedomagający brat, który wkrótce zmarł – jak podkreślali moi rozmówcy – tuż przed pobraniem swojej pierwszej emerytury z dobrej państwowej posady. Co gorsze, najstarszy syn

Wiktorii, który wstawił się za nią podczas rodzinnej debaty, zginął w tragicznym wypadku, jadąc na motorze do nieodległej wioski, gdzie był nauczycielem. Ten ciąg dramatycznych zdarzeń szybko został zinterpretowany jako dowód na działanie czarów.

Nagłą śmierć Wiktorii część osób przyjęła z ulgą, zakładając, że oznacza to koniec złych zdarzeń w rodzinie i sąsiedztwie. Niektórzy jednak nie dowierzali w opowieści o tym, że przed śmiercią Wiktorii miała przyznać się do czarownictwa. – Wiesz, starsi rodu i cała rodzina zabrali ją do lokalnego kapłana [religii tradycyjnej] i ona tam miała wyznać, że w dzieciństwie, gdy miała około dziesięciu lat, stary dziadek przekazał jej moc czarów – powtarzane przez ludzi historii przytoczył Salomon, jeden z moich znajomych, nauczyciel z sąsiedniego miasta, w którym mieszkają liczni krewni Wiktorii. To dzięki czarom Wiktorii miała zająć tak daleko, mimo iż porzucił ją mąż i samotnie wychowywała dzieci. – Ale tego nigdy nie wiesz, czy tak było, z tym przyznaniem się u kapłana. Bo rodzina może specjalnie mówić takie rzeczy, gdy jest z tobą w konflikcie – dodał Salomon.

Fenomen oskarżeń o czary rozpowszechniony w całej Ghanie oraz w wielu innych krajach Afryki Subsaharyjskiej wydaje się pełen sprzeczności. Jak bowiem wyjaśnić to, że w kulturach, w których relacje rodowe i rodzinne oraz wspólnotowe formy egzystencji są bardzo intensywnie celebrowane i pozytywnie wartościowane, oskarżenia o czary z reguły dotyczą członków najbliższej rodziny czy mieszkańców domostwa?

Antropologowie i socjologowie, często afrykańscy, a zatem głęboko osadzeni w rodzimych wyobrażeniach filozoficznych oraz kulturowych, podkreślają wagę relacyjności, solidarności i wzajemności w dominujących na kontynencie koncepcjach osoby. Jestem – bo jestem spokrewniony, jestem – gdyż jestem częścią określonej grupy: to nadal bardzo mocne przekonania, które znajdują odzwierciedlenie w życiu codziennym wielu współczesnych Afrykanów. Stąd taka popularność rozlicznych oddolnie zakładanych stowarzyszeń i grup – sąsiedzkich, religijnych, zawodowych oraz szacunek dla tradycji rodowych i etnicznych. To na nich opierają się →

→ rozbudowane systemy wymiany pieniędzy i usług.

Można powiedzieć, że z jednej strony grupa daje siłę – bo wspiera w sytuacji kryzysu. Lecz z drugiej strony grupa ma moc kontroli swoich członków. Ostracyzm i wykluczenie ze wspólnoty to nie-rzadko śmierć nie tylko społeczna, lecz również po prostu ekonomiczna i biologiczna, bo związana z podstawami egzystencji. Czy Wiktorina okazała się zbyt niezależna z punktu widzenia jej rodu? Czy jej zaangażowanie w wiele różnych grup i relacji – kościelnych, handlowych, społecznych – stanowiło mogło transgresję rodzinnych reguł i hierarchii?

Trudno tu o jednoznaczną odpowiedź. Wśród Akanów – gdzie obowiązuje matrylinearny system dziedziczenia, rola kobiet jest stosunkowo wysoka, a sukces osoby z danego rodu przynosi splendor wszystkim jego członkom. Wielu badaczy wskazuje jednak, że to właśnie rodzinna zażyłość i intymność staje się często polem narastania bolesnych konfliktów, kłótni i zawiści wśród najbliższych. Dodatkowo, współczesna dynamika i szybko zmieniające się warunki życia w Ghanie, rosnąca populacja, pogłębiające się ekonomiczne nierówności, ograniczona przepustowość ścieżek awansu społecznego – wzmagają napięcia pomiędzy „tradycyjnymi” a „nowoczesnymi” ideałami i wartościami. Wbrew oczekiwaniom niektórych obserwatorów życia społecznego, postępująca globalizacja bynajmniej nie zakończyła fenomenu oskarżeń o czary w Afryce.

Obozy czarownic

Współczesne debaty i pytania o czarownictwo najwyraźniej widać i słyszać na północy kraju. To zdecydowanie biedniejsza część Ghany, o słabszej infrastrukturze i suchszym, zbliżonym do obszarów Sahelu klimacie. Tamtejsze wioski zamieszkują rolnicy i hodowcy bydła z kilkunastu grup etnicznych. Mimo wielkiej różnorodności etnicznej dominuje dziedziczenie w linii męskiej, a w patriarchalnych rodach zdarza się, że nadal stosuje się tzw. płatności małżeńskie – czyli system posagu w formie „wykupu żony” przez rodzinę męża za krowy lub równowartość kilku lub kilkunastu zwierząt w pieniądzu.

W tradycyjnym systemie przyjęło się, że po zawarciu małżeństwa kobiety za-

sadniczo przenosiły się do rodziny męża. W razie konfliktu, rozwodu czy wdowieństwa ich powrót do własnych krewnych bywał niemiły widziany, gdyż wiązałyby się z komplikacjami dotyczącymi rozliczenia „posagu” oraz koniecznością pozostawienia dzieci przy rodzinie biologicznego ojca. Niektórzy badacze właśnie w tych tradycyjnych układach rodowych i ekonomiczno-społecznych dopatrują się przyczyn powstania – prawdopodobnie nawet ponad sto lat temu – specjalnych „osad dla czarownic”.

„Osady” to miejsca, do których rodziny z północnej części Ghany cały czas przywożą podejrzane o czary osoby – w dużej mierze są to kobiety, nierzadko gorzej sytuowane wdowy. Dziś szacuje się, że w kilku takich osadach ulokowanych głównie w północno-wschodniej części kraju mieszka około tysiąca osób, najczęściej pochodzących z dominujących na tym obszarze grup etnicznych Dagombów i Konkombów. Schemat oskarżenia zawsze jest zbliżony – nagła śmierć członka rodziny, nieszczęście wśród sąsiadów, susza, epidemia są tłumaczone jako wynik działania czarów. Czarownika lub – najczęściej – czarownicę trzeba wskazać, wyeliminować z grupy i pozbawić mocy.

To właśnie możliwe jest poprzez wywiezienie do „obozy”, gdzie po złożeniu ofiary i „odczarowaniu” przez lokalnego kapłana czarownica ma tracić swoją moc – gdyby chciała jej użyć, sama od razu by umarła. – Dla nas, Afrykanów, każde zdarzenie ma swoją przyczynę, która powinna zostać poznana i wyjaśniona, by świat wrócił do harmonii – tak jeden z ghańskich znajomych tłumaczy mi szerszy ideologiczny kontekst mechanizmów sprzyjających obwinianiu o czary.

Wykorzystywane

We współczesnej debacie publicznej na temat osad, czy też jak się mówi: „obozów dla czarownic”, dominuje dyskurs o łamaniu praw człowieka, zacofaniu i przesadach. Międzynarodowe organizacje pomocowe prezentują te miejsca niemal jako więzienia, w których o losie oskarżonych decyduje składana u lokalnego kapłana ofiara z kurczaka oraz sposób, w jaki zwierzę ułożono się przed śmiercią. Przykładem takiej opowieści jest choćby dobrze znany i pokazywany także w Polsce film dokumentalny „Cza-

rownice z Gambagi” („The Witches of Gambaga”, 2011). Jego autorka, ghańsko-brytyjska dziennikarka, skupia się na tym, iż oskarżone o czary kobiety przywożone do Gambagi żyją bardzo biednie i by przetrwać ekonomicznie, zmuszane są do pracy na rzecz lokalnego wodza, wykorzystującego fakt ich bezbronności. W takim kontekście pojawiają się apele o zamknięcie „obozów”, które co jakiś czas wystosowują organizacje broniące praw człowieka, niektórzy ghańscy politycy, działacze społeczni, a nawet miejscowi katolicy biskupi.

Tymczasem, jak mówi mi o. Phanuel Myers Agudu, ghański werbista pracujący wśród osób posądzonych o czary, „problemem nie są obozy, lecz oskarżenia”. To oskarżenia powodują, że ludzie muszą uciekać ze swoich domów lub są wywożeni ze swoich wiosek, aby uniknąć prześladowania, a nawet śmierci. – O obozach należy myśleć raczej w kategorii obozów dla uchodźców, a nie więzienia, to coś na kształt schronienia, w którym oskarżone osoby ratują swoje życie.

Wtórę mu Saibu Mutaru, antropolog z Uniwersytetu w Cape Coast. W swojej pracy doktorskiej, którą napisał sześć lat temu na podstawie wielomiesięcznych badań etnograficznych wśród „starszych pań” (ang. old ladies) – jak eufemicznie określa się „czarownice” – zauważa, że rozpowszechniony w dyskursie publicznym i międzynarodowym angielski termin *camp* (obóz) nie oddaje znaczenia lokalnych nazw. Miejscowe języki wskazują raczej na „osadę”, „dzielnice” czy „wioskę”.

Obydwaj moi rozmówcy przyznają, że oskarżone mają rzeczywiście trudne warunki ekonomiczne – wyrwane ze swoich dużych rodzin, często niemłode i nie w pełni sprawne, z reguły muszą pracować ponad siły za zaniżone wynagrodzenie dla przyjmujących je wodzów, kapłanów czy sąsiadów z miejscowości, w których ulokowane są „osady”. Jednak w nowych domach towarzyszą im wnuki lub inne dzieci z rodziny – pomagające przy przynoszeniu wody czy gotowaniu, a same „czarownice” chodzą na miejscowe targi, do kościołów, a nawet jeżdżą w odwiedziny do swoich rodzinnych wiosek (gdzie mają status tymczasowych gości, a nie stałych domowników).

– Oskarżone kobiety nie chcą zamknięcia obozów – podkreśla o. Phanuel i do-

daje: – Dobrze wiedzą, że powrót na stałe do ich społeczności bez zapewnienia odpowiedniej ochrony oznaczałby dla nich śmiertelne niebezpieczeństwo. Jak same mówią, musiałyby się modlić, by nikt nie umarł ani nie zachorował, by nic złego nie stało się w okolicy... Każda choroba, śmierć, wypadek w wiosce od razu byłby im przypisane.

Jak zauważają moi ghańscy rozmówcy, osoby, które mówią o likwidacji obozów, nie rozumieją całego systemu – często są to obcokrajowcy patrzący z zewnątrz i widzący ubóstwo, z którym zmagają się old ladies. Z kolei miejscowi politycy, postulując likwidację „obozów”, w łatwy sposób chcą poprawić wizerunek Ghany jako „cywilizowanego” kraju. – Ale to działanie na skróty – mówi ojciec Phanuel. – Zamknięcie obozów nie rozwiąże problemu. Bez dodatkowych działań jedynie ukryje go w wioskach i w rodzinach, gdzie osoby oskarżone będzie czekać prześladowanie, a nawet śmierć.

Edukować, ale jak?

Co zatem można zrobić? Pytając, sięgam do moich obserwacji i doświadczeń z centralnej części Ghany oraz wiedzy o południu kraju. Nie ma tu „obozów dla czarownic”, a postęp gospodarczy widać niemal na każdym kroku. Tymczasem internet, radio, telewizja pełne są opowieści o czarach. W popularnych ghańskich produkcjach serialowych z nurtu tzw. Ghallywood („ghańskie Hollywood”) nieustannie pojawia się postać „złej czarownicy” – kogoś, kto w sekretny sposób szkodzi innym. Na grupach whatsappowych ludzie wzajemnie ostrzegają się, by nie odbierać pewnych numerów telefonów – mają należeć do czarownic, które w ten sposób szukają nowych ofiar – nie tylko wśród Ghańczyków na miejscu, lecz również wśród tych, którzy wyjechali do Europy czy Ameryki.

Na powszechną opowieść o czyhającym złu i na potrzebę jego demaskacji, nazwania, poradzenia sobie z nim – zdaje się odpowiadać gigantyczny wprost rozwój charyzmatycznego i pentekostalnego chrześcijaństwa. W przeciwieństwie do historycznych Kościołów, które unikały jakichkolwiek skojarzeń z „pogańskością” i lokalnymi wierzeniami, współczesne afrykańskie chrześcijaństwo zdaje się adaptować rodzime wyobrażenia o złu. Egzorcyzmy, myślenie o praktykach reli-



PHANUEL MYERS AGUDU

Obejście w osadzie dla „czarownic” oświetlone lampą solarą zainstalowaną w ramach projektu pomocowego, Gushiegu, północna Ghana. Listopad 2022 r.

gijnych jako ochronie przed „Szatanem” oraz o przedmiotach materialnych (ubraniach, oliwie, wodzie) jako o amuletach i zabezpieczających substancjach to tylko niektóre elementy charakterystyczne dla licznych Kościołów neopentekostalnych, ale też dla nurtów charyzmatycznych w Kościołach postmijonarskich, takich jak katolicki, prezbiteriański czy metodystyczny.

– Na południu kraju nie ma obozów dla czarownic, za to są obozy modlitewne – zauważa o. Phanuel.

Rzeczywiście, niezwykle popularne w całej Ghanie „obozy modlitewne” – prowadzone przez rozmaite Kościoły, a czasem po prostu przez pojedynczych pastorów czy pastorki obdarzonych „mocą Ducha” – to miejsca, gdzie rodziny przywożą osoby, których choroba określana jest jako „duchowa”. Często trafiają tu też ci, których wprost lub w szep-tanych plotkach oskarżono o czary. Egzorcyzmy, modlitwy nad taką osobą nie tylko mają pomóc oskarżonemu, lecz są także postrzegane jako zabezpieczenie innych przed negatywnymi skutkami czarów.

Obserwując taką religijność i widząc w niej źródło „nieracjonalności”, Leo Igwe, nigeryjski działacz na rzecz praw człowieka, bardzo mocno opowiada się za świeckim światopoglądem jako jedynym rozwiązaniem problemu oskarżeń o czary w Afryce. Jednak wielu moich rozmówców w Ghanie jest sceptycznych wobec tej propozycji. W rozmowach z ghańskimi przyjaciółmi słyszę, że „my, Afrykanie, mamy inne niż wy w Europie spojrzenie na duchowość” i trudno zakładać szybki światopoglądowy prze-wrót. W Ghanie – zresztą podobnie jak w Nigerii i innych krajach regionu – to, co „kulturowe” i „społeczne”, ściśle za-zębia się z tym, co „religijne”, a same definicje tych obszarów i pojęć są bardzo niejasne. Czarownictwo to element szerokiego systemu wyobrażeń duchowo-religijnych pochodzących i z rodzimych religii, i z chrześcijaństwa, niekiedy też z islamu, oraz ściśle związanych z miejscowymi kulturami i systemami społeczno-rodzinnymi.

Poszukując rozwiązań, o. Phanuel mówi raczej o potrzebie długofalowej edukacji związanej z zaangażowaniem i współpracą różnych grup osób – młodzieży, starszych wiosek, kobiet i mężczyzn. Przyjęcie zasady „nie szkodzić” i dostrzeżenie krzywdy posądzonych oraz zgoda na to, by osobiście nie oskarżać, to pierwsze kroki powolnego procesu. Ważne, by stworzyć poczucie, że można myśleć poza formatem oskarżeń o czary i że różne grupy w społeczności są w stanie to zaakceptować. – Jeżeli tego nie zrobimy, to dzisiejsza mała dziewczynka jutro może stać się kolejną oskarżoną o czary starszą kobietą – zauważa ojciec Phanuel.

© ANNA NIEDŹWIEDŹ

Autorka jest etnografką i antropolożką kulturową, zatrudnioną jako profesor na UJ, obecnie pełni funkcję dyrektora Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej. Z Ghaną związana od 2009 r. Tekst powstał w wyniku projektu „Pomiędzy marginalizacją a umocnieniem. Kobiety w katolicyzmie afrykańskim (przypadek Ghany)”, finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki (nr grantu 2018/31/B/HS3/03863).

Imię głównej bohaterki zostało zmienione ze względu na wrażliwość tematu. Mimo tej zmiany, tekst dedykowany jest jej pamięci.



ARCHIWUM PRYWATNE

Szkoła medytacji w klasztorze Sogenji w Okayamie, Japonia, 2024 r.

Jesteśmy tym, co myślimy

ROBERT WISZOWATY, PRZEDSIĘBIORCA PRAKTYKUJĄCY ZEN:

Ćwicząc, możemy doprowadzić naszą świadomość do stanu, w którym jesteśmy obecni na bieżąco. A wtedy przestajemy „być” naszymi myślami.

MARCIN WÓJCIK: Każdego roku spędzasz miesiąc w japońskim klasztorze zen o nazwie Sogenji w Okayamie, żyjąc jak mnich.

ROBERT WISZOWATY: W 2008 roku wyjechałem po raz pierwszy do Japonii na trzy miesiące. I wydawało mi się, że to będzie na tyle dużo, że się tam oświecę.

Udało się?

No wiesz, nawet na nauczanie się języka angielskiego trzy miesiące to za krótko. A zmiana sposobu myślenia, pracy umysłu, jest dużo trudniejsza niż nauka języka. W te trzy miesiące może nie osiągnąłem oświecenia, ale moja koncentracja się poprawiła, chciałem więcej. No i ułożyłem sobie plan roczny. Robię to już prawie dwadzieścia lat.

Po co tam jeździsz?

Jeżdżę do mojego nauczyciela. Japonia jest dla mnie fascynująca i uwielbiam

tam być, ale celem jest miesiąc treningu i gdziekolwiek by on był, pojechałbym. To jest chyba jedyny klasztor w Japonii poświęcony nauczaniu wyłącznie ludzi z Zachodu. Kobiet i mężczyzn. Mamy inną mentalność i próby praktyki z Japończykami po prostu się nie sprawdziły. Czterdzieści lat temu nauczyciel naszego nauczyciela powiedział Roshiemu Haradzie, że ma uczyć ludzi z Zachodu. Harada nie miał wówczas żadnej styczności z kulturą zachodnią, nie znał języka, był załamany. Dzisiaj na stałe żyje i trenuje u niego grupa dwudziestu kilku osób. Są też takie osoby jak ja, które przyjeżdżają tylko na miesiąc czy dwa. W sumie około trzydziestu osób.

Jak wygląda klasztorne życie?

Każdy miesiąc jest zrutyinizowany. Jeden tydzień w miesiącu jest poświęcony intensywnemu treningowi medytacji. Po budka o trzeciej trzydzieści. O czwartej są

recytacje sutr, potem dwugodzinna medytacja w blokach dwudziestopięciominutowych z przerwami. O siódmej śniadanie, potem godzina pracy, czyli rodzaj medytacji podczas prostych czynności. Kolejny dwugodzinny blok medytacyjny. Potem obiad, odpoczynek, mowa nauczyciela, która ma za zadanie przekazanie wiedzy, ale też motywuje do wysiłku. Kolejne bloki medytacji, kolacja. Tak do dziesiątej. Pięć i pół godziny snu i od nowa. W pozostałe trzy tygodnie miesiąca trzeba pracować, dbać o ośrodek. Wtedy medytujemy od czterech do sześciu godzin dziennie, w zależności od tygodnia.

Te dwadzieścia osób pełni różne funkcje. Jest osoba odpowiedzialna za zaopatrzenie kuchni, za naprawy. Inna troszczy się o ogród, ktoś odpowiada za uroczystości. Buddyzm jest w Japonii religią państwową, trzeba więc także dbać o obрядki, o nauczyciela. Jest osoba, która odpowiada za to, żeby mu pomagać. Ja naprawiam rowery. Wszystkie elementy życia w klasztorze mają służyć praktyce.

Chodzisz z mnichami na zebry do miasta. Śpisz w nieogrzewanym pomieszczeniu. Cemu to służy?

Klasztor jest nieskanalizowany. Mnisi wynoszą i zakopują odchody szuflami, żeby pamiętać o nieprzyjemnej stronie życia. Z żebraniem jest podobnie. Świątynie są dosyć bogate, bo japońskie społeczeństwo jest bogate, ale kilkaset lat

temu żeby były kluczowe dla utrzymania i wyżywienia świątyni. Teraz ma to charakter symboliczny. Wyjście w miasto w strojach żebraczych ma pokazać, że buddyzm dalej istnieje, jest żywy. Drugim elementem jest danie możliwości spełnienia dobrego uczynku innym. To trudne – gdyby było łatwe, to niewiele by zmieniło. Żeby ego rzeczywiście mogło trochę odpuścić, trzeba mu dać w kość.

Jak trafieś do Sogenji? Od czego się zaczęło?

Jestem przypadkiem klasycznym. Prowadziłem biznes, dobrze mi się wiodło, wyjeżdżałem w różne miejsca, gdzie był alkohol, przygodne związki. Wiodłem takie życie jak moje środowisko i wydawało mi się, że to normalne. Żona ode mnie odeszła. Mamy dziecko. Cierpiałem tak bardzo, że zacząłem szukać zrozumienia tego, co się stało, dlaczego taki fajny facet został opuszczony. Ból stał się motywacją do poszukiwania. No i wtedy spotkałem człowieka, który okazał się budystą. Podsunął książkę, potem drugą, w których zobaczyłem siebie, zobaczyłem ten swój uwarunkowany pęd do zaspokojenia wyłącznie własnych potrzeb. Szukając, trafiłem na nauczyciela i pojechałem za nim.

Czego się tam nauczyłeś?

Dogen, wielki mistrz zen powiedział, że jeżeli jesteś na drodze rozwoju duchowego, musisz poznać siebie. A żeby poznać siebie, musisz zapomnieć o sobie.

Co to znaczy?

To, co nazywamy „ja”, z perspektywy buddyjskiej jest zbiorem nawyków. Jako dzieci jesteśmy podatni na wzorce, kopiujemy je i powoli stają się naszymi. W dorosłym życiu rośnie z tego zbiór wielu nawyków i uwarunkowań, które wcześniej miały służyć temu, żeby się przystosować, być bardziej kochanym, akceptowanym. Wszystko to staje się naszą osobowością, kształtuje sposób, w jaki myślimy i rozumiemy świat. I często staje się przeszkodą, bo dziedziczymy także lęki, traumy, ból. Nie trzeba być psychologiem, żeby widzieć, że rzeczy, które wydarzały się pokolenie, dwa wstecz, mają wpływ na nasze zachowanie i sposób myślenia. Nasze myśli nie są więc spontaniczne i bez powodu, ale wynikają głównie z tego, co było. Czasami miesza się to z projekcją tego, co by-



ANNA KILYK-WISZOWATA / ARCHIWUM PRYWATNE

ROBERT WISZOWATY jest jednym z liderów grupy OneDropZen w Szczecinie, uczniem japońskiego mistrza Roshiego Shodo Harady, ojcem trojga dzieci, a także znanym w Szczecinie przedsiębiorcą.

śmy chcieli, żeby było. Gdyby tak szczerze się zastanowić, to my jesteśmy tylko tym, co myślimy. I jeżeli myśli są niezależne od naszej świadomości, po prostu nawykowe, to nami kierują. Jeżeli natomiast jesteśmy obecni, świadomi myśli i odczuć, to one przestają nami powodować automatycznie, mamy wybór. Dla mnie stało się to pewnym rodzajem wyzwania. Nie chcę być osobą reaktywną, ponieważ to doprowadza mnie do cierpienia.

Mówisz, że postrzegamy świat przez pryzmat naszej historii, nawyków i że da się od tego uwolnić i patrzeć na świat świeżo. Tylko po co to robić? W doświadczeniu tkwi przecież także mądrość, którą warto ze sobą nieść.

Nie chodzi o to, żeby pozbyć się tej mądrości. Jeżeli uczysz się intensywnie języka hiszpańskiego czy angielskiego, to nie znaczy, że utracisz umiejętność posługiwania się językiem polskim. Po prostu uzyskasz nową kompetencję, nie stracisz tego, co miałeś. Uważność pozwala unikać dyskomfortu bycia związanym z niezrealizowanymi oczekiwaniami. Ego jest skupione na brakach, czyli na uzupełnianiu, zdobywaniu tego, czego, jak nam się wydaje, nam brakuje. A nasze oczekiwanie tworzą się z deficytów z przeszłości, ale również z pewnej kreacji rzeczywistości tworzonej przez media, kulturę, środowisko, w którym ży-

jemy. Chcemy mieć lepszy samochód, lepszy dom, być bardziej uznani, doceniani. Te oczekiwania powodują, że jesteśmy nieszczęśliwi, bo często nie da się ich zrealizować. Chcę się od tego uniezależnić. Chcę wybierać, co jest tym zewnętrznym elementem, który mnie pcha do jakiegoś działania, a co tym, czego rzeczywiście potrzebuję.

Jak to osiągnąć?

To bardzo proste: trzeba ćwiczyć. Tak jak sportowiec zaangażowany w swój trening, czy artysta, gdy tworzy coś nowego. Wystarczy, że to będzie obserwacja oddechu, że to będzie obserwacja kropli wody, która spływa po szybie, uważne słuchanie szumu wiatru. Jeżeli jesteśmy w stanie poświęcić temu naszą uwagę i znaleźć coś, co może być naszym obiektem treningowym, a takim obiektem w zen jest oddech, to możemy rozwijać umiejętność obserwacji, a przez to bycia w chwili. Jeżeli poświęcamy temu wystarczająco dużo czasu, możemy doprowadzić naszą świadomość do stanu, w którym jesteśmy obecni na bieżąco. A wtedy myśli zmieniają swój charakter, ponieważ przestają być „być” naszymi myślami.

Moje minimum w domu to godzina medytacji dziennie, w postaci obserwacji oddechu. Mamy też wspólne medytacje w ośrodku dwa razy w tygodniu. Głównym narzędziem treningowym są jednak odosobnienia, w których grupa ludzi może trenować bycie obecnymi.

Przeciętny przedstawiciel klasy średniej w Polsce, który ma dzieci, kredyt i pracę, raczej nie może sobie na to pozwolić.

Wszystko zależy od motywacji. Jeśli to dla ciebie ważne, to nawet pracując na etacie, wygospodarujesz ten czas dla siebie.

Nauczyciel Twojego nauczyciela, Roshi Yamada Mumon, usłyszał kiedyś sentencję Konfucjusza, który powiedział, że „lepiej niż być prawnikiem, jest budować taki świat, który nie potrzebuje prawników” i w efekcie zrezygnował z kariery. Został mnichem, a potem słynnym nauczycielem duchowym. Z czego Ty musiałeś zrezygnować?

To jest paradoksalnie główne zagadnienie, które ukształtowało moją praktykę. Na jednym z pierwszych wyjaz- ➔

→ dów miałem rozmowę z nauczycielem, podczas której zapytałem go, co robić, żeby ten stan umysłu przenieść tam, gdzie żyję, żeby zachować spokój i perspektywę. On się uśmiechnął i powiedział: upraszczaj swoje życie, rezygnuj z rzeczy zbędnych i nie upieraj się przy swoim zdaniu. Najtrudniej było porzucić spotkania z dawnymi kolegami, które były reliktem biznesowej przeszłości. Kiedy nie odbierasz telefonu, albo nie dzwonisz, to jest dla kogoś przykre. Zrezygnowałem z tego. Zacząłem się zajmować ogrodem, więcej medytować, organizować życie pod tym kątem. Co do upierania się przy swoim zdaniu, z czasem nauczyłem się odpuszczać, bo widzę, że to nie ma sensu. Moje przekonania wynikają z mojego doświadczenia. Podobnie jest z innymi. Zmiana przekonania musi wynikać z własnego doświadczenia.

Leonard Cohen przez długi czas praktykował zen. Tuż przed śmiercią powiedział jednak, że umiera jako żyd. Czujesz się bardziej katolikiem czy buddystą, gdy uczciwie przyglądasz się sam sobie?

Są różni katolicy, różne podejścia do wiary. W grupie zen w Szczecinie mamy wykładowcę teologii, człowieka bardzo wierzącego. Medytacji używa jako narzędzia, podobnie jak niektórzy dominikanie. Ja lubię słuchać teologa Marcina Majewskiego, który stara się mówić o Biblii w sposób naukowy. Traktuje Biblię jako dzieło literackie, choć natchnione, w którym używa się metafor, przeniesień. Jeżeli spojrzeć na religię przez pryzmat historii i archeologii, nie oddzielając wiary od nauki, to widać, że jedno nie przeszkadza drugiemu, że mogą współistnieć. Takie podejście jest mi bliskie. Chciałbym,

żeby w taki sposób uczono moje dzieci na lekcjach religii.

Wierzysz w Boga?

Nie wierzę w Boga osobowego, ale jeżeli Bóg jest tajemnicą, to nie przeszkadza mi wierzyć. Kiedy czytam o praktykach w klasztorach katolickich, to jestem przekonany, że modlitwa jest formą medytacji. Doświadczenie świadomego umysłu może nastąpić poprzez medytację chrześcijańską. Buddysta nazwie to wglądem, katolik połączeniem z Bogiem.

Postawę Chrystusa i jego nauki odczytuję jako świadome poświęcenie dla dobra innych. Uważam, że jeśli mi się powiodło, że jeśli, być może, coś zrozumiałem w sensie duchowym, to moim obowiązkiem jest zadbać, żeby sąsiadom, bliskim i ludziom wokół również się powiodło. Innymi słowy, warunkiem bycia szczęśliwym jest dbanie o szczęście innych. Myślę, że religia ma u korzeni dobroć i miłość. I jeśli skupić się na wartościach religijnych w tym sensie, to wtedy życie staje się poszukiwaniem dobroci i miłości w sobie i ludziach wokół.

Jesteś ojcem, mężem, przedsiębiorcą budowlanym. Jak godzisz ideały z rolą biznesmena, który ma rodzinę na utrzymaniu?

Dla mnie to jest to samo życie. Myślę, że jak mam umysł, który jest bardziej obecny, bardziej osadzony w tym, co się dzieje wokół, to moje decyzje są bardziej adekwatne. Lepiej rozumiem, jak się zachować, co jest etyczne, jak prowadzić biznes, żeby on nie był krwiożerczy, żeby był połączony ze społeczeństwem, w którym buduję domy. Chcę się czuć człowiekiem żyjącym w tym społeczeństwie w sposób świadomy i staram się przyczyniać pracą do tego, żeby moje miasto i otoczenie się rozwijały.

Czy to jest w ogóle możliwe?

Rywalizować na polskim drapieżnym rynku budowlanym w sposób zupełnie uczciwy?

Ja się nie zastanawiam, czy się da. Podejmuje decyzje w taki sposób, żeby po fakcie czuć się dobrym człowiekiem i mieć satysfakcję z tego, co zrobiłem. Nie chodzi przecież o to, żeby rozdać majątek, który się ma. Bo co potem? Chodzi o to, żeby współistnieć z innymi w sposób zrównoważony, uczciwy i ciągły.

© Rozmawiał MARCIN WÓJCİK

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Mamy naszej Koleżanki Agnieszki Iskry

Agnieszce i jej Rodzinie składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

Łączymy się z Wami w bólu i modlitwie.

PRZYJACIELE Z Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
I FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO

POŻEGNANIA

Ze smutkiem zawiadamiamy,

że w dniu 13 stycznia 2025 roku odeszli do Pana

Maria Łuczyńska-Bruzda (lat 91)

i Jan Bruzda (lat 94),

kochani rodzice, dziadkowie i pradiadkowie,

zasłużeni profesorowie architektury,
związani z Politechniką Krakowską od 70 lat,

członkowie Sodalicii św. Jadwigi Królowej.

Przeżyli w zgodnym małżeństwie ponad 66 lat.

Ludzie głębokiej wiary, kochający piękno sztuki, architektury i przyrody.

Razem żyli, razem umarli.

CÓRKI MAGDALENA I KATARZYNA Z RODZINAMI



Brian i Samantha Williams ze swoją córką L.W. przed Sądem Najwyższym USA w dzień przesłuchania przez sędziów w sprawie zmiany płci. Waszyngton, 2 grudnia 2024 r.

Batalia o korektę płci

MARTA ZDZIEBORSKA

Kościół katolicki jest jednym z głównych uczestników tego światopoglądowego sporu. Oliwy do ognia dolewa Donald Trump.

TRANSPLCIOWA MIESZKANKA STANU Tennessee L.W. pierwszą ważną decyzję podjęła w wieku trzynastu lat. Chcąc zatrzymać tymczasowo zmiany związane z dojrzewaniem płciowym, za zgodą rodziców i lekarzy zaczęła brać leki. Paraliżowała ją myśl, że jeśli się z tym nie pospieszy, niebawem przejdzie mutację głosu, a jej twarz pokryje zarost. Kolejnym ważnym krokiem w życiu L.W. była terapia hormonalna, dzięki której jej ciało zaczęło przechodzić zmiany typowe dla dojrzewających nastolatków.

Amerykanka mogła to wszystko zrobić, bo w stanie Tennessee nie obowiązywał wtedy zakaz korekty płci u nastolatków. O tym, czy L.W. będzie mogła znów korzystać z takiej opieki w swoim rodzinnym stanie, zadecyduje Sąd Najwyższy USA,

przed którym toczy się dziś jedna z najsławniejszych batalii światopoglądowych.

Boży porządek

Pierwsza odsłona sporu w Waszyngtonie, gdzie znajduje się siedziba sądu, miała miejsce 4 grudnia. Dziewięcioro sędziów przysłuchiwało się argumentom prawników reprezentujących m.in. rodziców L.W. oraz administrację Bidena, która złożyła w tej sprawie osobny pozew. Obie strony przekonują, że ustawa podpisana przez gubernatora Tennessee w marcu 2023 r. dyskryminuje ze względu na płeć, co narusza amerykańską konstytucję. Prawnicy podkreślają, że przepisy są niekonsekwentne. Transplciowi nastolatkowie nie mogą dostawać leków obniżających poziom hormonów płciowych, ale ich rówieśnicy, którzy rozwijają się zbyt

szybko jak na swój wiek i utożsamiają się ze swoją płcią biologiczną – już tak.

Od tego, czy sędziowie przychylią się do tej argumentacji, na co nie wskazują ich pierwsze reakcje, zależy nie tylko los przepisów w Tennessee, ale także podobnych restrykcji w 25 innych stanach.

W tej grze o dużą stawkę spolaryzowana Ameryka podzieliła się na dwa obozy. Walkę o zniesienie zakazu w Tennessee poparła szeroka koalicja prokuratorów generalnych z 20 stanów, a także kongresmenów, senatorów, naukowców i lekarzy. Po drugiej stronie barykady są m.in. chrześcijańskie organizacje medyczne i Kościół katolicki. Ten ostatni w opinii prawnej złożonej przed SN argumentuje, że restrykcje z Tennessee trzeba utrzymać w mocy, by... uchronić Kościół od kolejnych problemów prawnych. Episkopat twierdzi, że wcześniejsze orzeczenia sądu, jak np. legalizacja małżeństw jedнопłciowych, nie zabezpieczyły w pełni interesów Kościoła. Owszem, katolicy księża mogą odmówić pobłogosławienia ślubu ze względu na wolność religijną, ale nie chroni ich to przed procesami, jeśli ktoś złoży przeciwko nim pozew.

„Kościół katolicki i inni chrześcijańscy wierni mierzą się z nawałem pozwów wykorzystujących orzeczenia

→ [Sądu Najwyższego – red.] do ataków na prawo organizacji religijnych do obstawiania przy fundamentalnych naukach dotyczących małżeństwa, seksualności i ciała ludzkiego” – napisano w opinii. Amerykański Episkopat tłumaczy też w niej, że dokonywanie korekty płci jest niemoralne i niezgodne ze „stworzonym przez Boga porządkiem”. Jednocześnie biskupi przekonują, że nauczanie katolickie nikogo nie dyskryminuje, ponieważ nie opiera się na „uprzedzeniach”, lecz na „objawionych antropologicznych i metafizycznych zasadach”.

Wolność religijna

W Stanach zdarzały się już pozwy przeciwko katolickim placówkom medycznym, które odmówiły wykonania zabiegu korekty płci. W marcu 2019 r. głośno było o Olivierze Knightcie, transpłciowym mężczyźnie, który pozwał szpital św. Józefa w kalifornijskiej miejscowości Eureka za to, że w ostatniej chwili odwołano mu zabieg usunięcia macicy. Według pozwu, którego treść cytuje dziennik „Los Angeles Times”, Knighta nie wpuszczono na salę operacyjną, bo „nie spełniono kryteriów koniecznych do przejścia sterylizacji”. W praktyce, jak przekonują prawnicy Knighta, chodziło o obowiązujące placówkę wytyczne amerykańskiego Episkopatu. Według nich zabieg usunięcia macicy jest dopuszczalny jedynie w przypadku zmian patologicznych w tym organie.

Szerokim echem w USA odbił się także przypadek 35-letniego transpłciowego Evana Minton, któremu odwołano zabieg w katolickim szpitalu w Sacramento. Władze placówki tłumaczyły potem, że leczenie wbrew przekonaniom religijnym byłoby pogwałceniem pierwszej poprawki do konstytucji zakazującej ograniczania wolności religii. Szpital zwrócił się nawet do Sądu Najwyższego, by rozstrzygnął spór, ten jednak odesłał sprawę do sądu niższej instancji.

Po serii pozwów wymierzonych w katolickie szpitale amerykański Episkopat w czerwcu 2023 r. podjął decyzję o sporządzeniu wytycznych w zakresie leczenia osób z dysforią płciową. To duża reforma, bo według danych cytowanych przez „The Washington Post” aż co siódme szpitalne łóżko w USA znajduje się w placówkach zarządzanych przez Kościół. Zmiany mają opierać się na przyjętym trzy mie-

siące wcześniej dokumencie komitetu ds. doktryny. Mowa w nim, iż katolickie placówki medyczne nie powinny przeprowadzać zabiegów korekty płci, gdyż nie są one zgodne z „fundamentalnym porządkiem”, co szkodzi istocie ludzkiej.

Dokument wzbudził w amerykańskim środowisku katolickim gorącą dyskusję. Stanowisko biskupów skrytykowała m.in. pracująca ze wspólnotami osób transpłciowych dominikanka s. Luisa Derouen. „Oświadczenie biskupów może mieć negatywne i poważne konsekwencje dla osób transpłciowych i ich rodzin w każdym aspekcie życia” – mówi cytowana przez National Catholic Reporter siostra Derouen. Z kolei w geście aprobaty dla stanowiska biskupów zabrała głos s. Mary Haddad, prezeska Catholic Health Association of the United States. W swoim oświadczeniu przypominała, że placówki katolickie są chronione przez federalne i stanowe przepisy gwarantujące im prawo do stosowania się do katolickich zasad etycznych.

Klinika na celowniku

Kościół wkłada kij w mrowisko w momencie, gdy sprawa osób transpłciowych stała się w USA mocno polityczna. W ostatnich latach głównie republikańskie stany nie tylko zakazały im przechodzenia zabiegów korekty płci, ale także odmówiły korzystania z toalet lub gry w drużynach sportowych zgodnie z tożsamością płciową. Niektóre stany z różnym skutkiem próbowały również zakazać transpłciowym mieszkańcom zmiany płci w akcie urodzenia.

To, jak wojny kulturowe prowadzą do wprowadzania restrykcji, pokazuje przykład stanu Tennessee. Kontrolowany przez Partię Republikańską parlament uchwalił przepisy dotyczące leczenia nastolatków po tym, jak jesienią 2022 r. komentator prawnicowego serwisu „The Daily Wire” wziął na celownik klinikę dla osób transpłciowych w Nashville. W serii postów w mediach społecznościowych sugerował, że placówka funkcjonuje wyłącznie dla pieniędzy i przekonywał, że pracujący w niej lekarze chętnie wykonują podwójną mastektomię na nastoletnich, „nafaszerowanych lekami” dziewczynkach.

Klinika szybko zainteresowali się prominentni Republikanie, w tym gubernator stanu Bill Lee, nawołujący do wszczę-

cia śledztwa w jej sprawie. Niedługo później placówka zawiesiła wykonywanie zabiegów u nastolatków. Politycy nie odpuścili jednak tematu służącego im do mobilizacji elektoratu tuż przed *midterms*, czyli wyborami połówkowymi do Kongresu i legislatur stanowych. Na październikowym wiecu w Nashville zatytułowanym „W walce z okaleczaniem dzieci” obiecali przygotowanie projektu ustawy zakazującej korekty płci u nastolatków. Niecałe pięć miesięcy później parlament stanowy uchwalił reformę, która zmusza dziś transpłciowych nastolatków, takich jak L.W., do podróżowania do klinik w stanach, gdzie leczenie jest legalne.

Wsparcie Trumpa

W dyskusji dotyczącej osób transpłciowych oliwy do ognia dolewa Donald Trump. W trakcie kampanii prezydenckiej obiecywał, że w przypadku zwycięstwa ograniczy dostęp do zabiegów korekty płci. Już jako prezydent elekt podczas grudniowej konferencji w Arizonie zarzekał się wręcz, że pierwszego dnia rządów skończy z „transpłciowym obłędem”, podpisując rozporządzenia zakazujące „okaleczenia dzieci” oraz startowania mężczyzn w dyscyplinach sportowych dla kobiet. Wreszcie, prezydent elekt wypalił, że według oficjalnej polityki rządu federalnego obowiązywać będzie podział na dwie płci: żeńską i męską. Tę ostatnią obietnicę z zadowoleniem przyjął cytowany przez Catholic News Agency katolicki bioetyk Joseph Meaney. „To przekreśli radykalną agendę, którą administracja Bidena próbowała wdrożyć na korzyść transideologii” – powiedział Meaney.

Powrót Trumpa do Białego Domu może także oznaczać rewolucję w batalii sądowej dotyczącej zakazu korekty płci w Tennessee. Choć złożono w tej sprawie dwie apelacje, Sąd Najwyższy zgodził się rozważyć tylko tę przedstawioną przez administrację Bidena. Oznacza to, że po objęciu władzy przez Trumpa Departament Sprawiedliwości może zmienić stanowisko i stanąć po stronie pozwanych władz Tennessee. W takiej sytuacji sędziowie nie będą mieli już czego rozstrzygać, chyba że zdecydują się pochylić nad apelacją złożoną przez bliskich L.W. i inne rodziny transpłciowych nastolatków.

© MARTA DZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

WOJCIECH

Bonowicz: Gdzie jest Bug?



TO ZDJĘCIE ZNAJĄ WSZYSCY INTERESUJĄCY SIĘ SZUKĄ. Także czytelnicy i czytelnicy „Tygodnika”, bo było u nas reprodukowane. Zakole rzeki. Na piaszczystej skarpie stoi sztaluga, a na sztaludze obraz przedstawiający to zakole. „Przedstawiający” to zresztą złe słowo. Obraz jest właściwie reakcją na to, co się dzieje na zakolu – z wodą, ze światłem, z cieniami i tak dalej. Przed sztalugą, tyłem do nas, stoi malarz. W prawej ręce ma pędzel, gotowy – tak to chyba trzeba powiedzieć – do uderzenia. Bo Stanisław Baj maluje zamasyście, gwałtownie.

Od przeszło ćwierć wieku mierzy się z Bugiem – malarsko. Jeździ zawsze w to samo miejsce, na Sugry w pobliżu Kodnia, gdzie rzeka meandruje, wskutek czego powstaje wrażenie, że brzegi raz zbliżają się, a raz oddalają od siebie. Nawet małe zmiany na niebie powodują, że widok – niby znany, oswojony – ukazuje się w nowym świetle. Czasem światło jakby wdiera się w rzekę wąskim pasem, czasem zaś rozlewa się po jej powierzchni. Jest to niezwykle fascynujące widowisko. A zadaniem, jakie postawił sobie malarz, jest na nie odpowiedzieć – obrazem, który zawierać będzie podobne napięcie.

Piszę w czasie teraźniejszym, ale tego Bugu – widocznego na wspomnianym zdjęciu i na obrazach Staszka – już nie ma. Brzeg po polskiej stronie został ogołocony z drzew, na całej długości wkopywane są betonowe słupy, na których umieszczone zostaną kamery. „Stałem się nagle malarzem historycznym”, powiedział mi Staszek przez telefon, „bo to wszystko zniknęło”. Tuż po świętach, na wystawie swoich obrazów w Galerii Opera w Warszawie umieścił kartkę, na której napisał m.in.: „Nie ma już mojego zakola Bugu. »Ubywa mnie« z każdym wyciętym drzewem, to jakby ktoś dobierał się do mojej cielesności, zdzierając przy tym łuski światła z mojej rzeki. Mam przeczucie, że los tą rzeką mnie naznażył. Omotując jej brzeg żyletkowym drutem i wycinając z drzew i krzewów do naga jej dziki, naturalny brzeg, człowiek sprawił, że nie jest to już rzeka »spoza czasu«, jaką zawsze była dla mnie i moich sąsiadów z obydwu jej brzegów”.

Wszystko odbyło się szybko i właściwie po cichu. Nie było wielkich protestów, burzliwych dyskusji, bijących w oczy tytułów w gazetach i na portalach internetowych. Z tego, co się dowiaduję, nie było też konsultacji z naukow-

cami i przyrodnikami. Na szerokości piętnastu metrów od brzegu wycięto wszystkie drzewa i zarośla, które stanowiły tego brzegu umocnienie. Zrobiono to – jak słyszymy – ze względu na nielegalnych imigrantów, chociaż prób przekroczenia granicy rzeką jest niewiele, zdecydowana większość migrujących próbuje przedostać się do Polski lasami. Obronne znaczenie takiej wycinki też jest wątpliwe. Brzeg pozbawiony drzew będzie wypłukiwany przez meandrującą wodę, betonowe konstrukcje będą podmywane i trzeba je będzie stawiać na nowo. Czy w przyszłości komuś jeszcze mniej dbającemu o przyrodę nie przyjdzie do głowy zabetonowanie całości, co sprawi, że rzeka – dziś groźna, kapryśna, nieprzewidywalna – przestanie być naturalną barierą?

Pod wpływem rozmowy ze Staszkiem zadaję sobie pytanie: dlaczego nie protestowaliśmy? Czy dlatego, że dziś każdy, kto zgłosi jakąkolwiek wątpliwość w sprawie działań na granicy, staje się z automatu poplecznikiem Putina? Przyjeliśmy milcząco, że tak musi być, że to „dla bezpieczeństwa”? Że nie czas żałować róż, gdy lasy płoną?

To, co się stało, jest częścią szerszego problemu. Przestrzeń publiczna jest dziś zdominowana przez „działanie”, a namysł nie jest w cenie. Wyważanie racji, zastanawianie się, konsultowanie – to domena „profesorków”, „nadwrażliwców”, „symetrystów”. Jest tak nie tylko z powodu wojny, która toczy się za naszą wschodnią granicą. Ani z powodu podziałów, które przeżywamy wewnątrz. Taka jest – jak się wydaje – natura świata, który tworzymy. Ktoś trafnie zauważył, że w tym świecie czas właściwie nie istnieje. Chodzi naturalnie o czas na refleksję, zdystansowanie się, rozważenie ewentualnych konsekwencji. Wyjście poza „teraz”, poza doraźność. Dziś tego czasu po prostu nie ma. Akcent pada na działanie, na szybkość reakcji – o skutki martwić będą się inni.

Nie chodzi więc o dramat jednego malarza. Nie chodzi też o dramat rzeki – rzeka sobie tak czy inaczej poradzi. Chodzi o to, jakiego świata chcemy. Dla siebie i nie dla siebie przecież.

PS. Autorem zdjęcia opisanego na wstępie jest Piotr Pękala. Wystawa obrazów Stanisława Baja w Galerii Opera trwała do 12 stycznia. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

BALLADA O BAT'CE

Alaksandr Łukaszenka odrobił lekcję po sfałszowanych wyborach z 2020 roku.
Oczyścił kraj z oponentów, zlikwidował sektor pozarządowy,
zniszczył społeczną inicjatywę.
Rozpisane na 26 stycznia wybory prezydenckie to fikcja.

PIOTR POGORZELSKI

WNIEDZIELĘ 16 SIERPNIĄ 2020 ROKU byłem w Mińsku. Na protest przeciw sfałszowanym tydzień wcześniej wyborom prezydenckim przyszło kilkaset tysięcy ludzi. Zdawało się, że rządy Alaksandra Łukaszenki się kończą. Reżim wydawał się zagubiony.

Białorusini coraz śmielej wychodzili na ulice. Wciąż jeszcze wierzyli, że jeśli będą protestować pokojowo, nie łamiąc prawa, to władze będą ich szanować. Widziałem, jak manifestanci omiotali trawniki. Inni zdejmowali buty, zanim weszli na ławkę.

Łukaszenka szybko się otrząsnął. Sięgnął po sprawdzone metody: represje. Te zwykłe, jak pałowanie, nie przynosiły efektów. Trzeba więc było je podkręcić. Jeśli tortury, to wyjątkowo brutalne. Jeśli pałowanie, to nawet bezbronnym leżących. Jeśli represje, to nie tylko wobec oponentów reżimu, ale też wobec ich rodzin.

REŻIM | Kilka miesięcy takich działań – i Białorusini zaczęli się naprawdę bać. Nie tylko przestali wychodzić na ulice – dziś, po prawie pięciu latach takich praktyk, nie chcą nawet rozmawiać o polityce. Nawet ze znajomymi.

Waler Karbalewicz, polityczny komentator Radia Swaboda (białoruskiej sekcji Radia Wolna Europa), podsumowuje: dziś reżim trzyma się na przemocy. – Trudno odpowiedzieć na pytanie, jaka część społeczeństwa popiera Łukaszenkę. Ale nie sądzę, żeby to była większość, nawet biorąc pod uwagę fakt, jak wielu oponentów reżimu wymigrowało. Jego siła

jest oparta na represjach, a nie na poparciu narodu – mówi Karbalewicz.

Politolog Arciom Szrajbman nie uważa jednak, że reżim jest silniejszy niż pięć lat temu. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że aparat państwa (urzędnicy, media, państwowe firmy) stał się w wyniku czystek, które prowadzono od 2020 r., ideologicznym monolitem.

– Na razie tak to wygląda, że reżim się wzmocnił. Ale nie możemy ignorować historii. Gdy takie reżimy tracą jeden z filarów, na przykład zewnętrzne finansowanie, dość szybko upadają. Wystarczy popatrzeć na Syrię – ma nadzieję Szrajbman.

Jednak w Syrii dyktatura nie upadła sama z siebie, była tam zbrojna opozycja. Tutaj nie ma już jakiegokolwiek zorganizowanej opozycji.

WIĘŹNIOWIE | Są za to pełne więzienia. Na Białorusi jest dziś co najmniej 1254 więźniów politycznych, w tym 30 dziennikarzy (wśród nich są współpracownicy Bielsatu, finansowanego z Polski). Według Centrum Obrony Praw Człowieka Wiasna, od lata 2020 r. taki status miało bądź ma nadal łącznie 3697 osób. Wśród nich jest Aleś Bialacki (laureat pokojowego Nobla, założyciel Wiasny), a także niedoszli politycy, jak Wiktar Babaryka czy Siarhiej Cichanouski.

Niektórzy więźniowie są pozbawieni całkowicie kontaktów z rodziną i prawnikami. Na Białorusi używa się hiszpańskiego słowa *incomunicado*, „w izolacji”. To kara nie tylko dla więźnia, ale też dla najbliższych.

Tak było z Babaryką, który chciał kandydować w 2020 r. Został aresztowany, a rok później skazano go na 14 lat. Nie było z nim kontaktu przez półtora roku. Aż teraz, w styczniu, blogger Raman Pratasiewicz nagle opublikował zdjęcia i nagranie wideo, na którym Babaryka z zaskakującą siłą przekazuje życzenia bliskim.

Pratasiewicz był kiedyś współtwórcą niezależnego serwisu Nexta (serwis odegrał ogromną rolę w czasie protestów w 2020 r.). Aresztowany w maju 2021 r. – białoruskie służby przechwyciły samolot z Aten do Wilna, którym leciał – przeszedł na stronę reżimu.

Wcześniej, w listopadzie, Pratasiewicz zaprezentował zdjęcia więzionej opozycjonistki Maryji Kalesnikawej, gdy otrzymała widzenie z ojcem. Przez ponad 600 dni nikt inny nie miał z nią kontaktu.

SYGNAŁY | Wielu komentatorów uważa, że takie wrzutki to mruganie okiem do Zachodu: reżim sygnalizuje, że los więźniów może być przedmiotem negocjacji. Dotyczy to też Andrzeja Poczebota, dziennikarza polskiego pochodzenia. Wcześniej w 2024 r. zwolniono ok. 200 więźniów – Łukaszenka pokazał, że jest gotów do takich kroków.

Tyle że jednocześnie represje cały czas trwają, za kraty trafiają nowi więźniowie. Np. 30 grudnia sąd w Mińsku skazał księdza Henryka Okołotowicza na 11 lat kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. Został on aresztowany jeszcze w listopadzie 2023 r. i oskarżony o „zdradę stanu”.



Alaksandr Łukaszenka przed posiedzeniem Najwyższej Rady Państwowej Związku Rosji i Białorusi. Pałac prezydencki w Mińsku, 6 grudnia 2024 r.

tw. kary administracyjne (zwykle po kilkanaście dni aresztu) skazano kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

I to wszystko w kraju liczącym niepełna 10 mln mieszkańców.

SYSTEM | W ciągu ostatnich prawie pięciu lat Łukaszenko udało się zamknąć niezależne media. Te zaś, które postanowiły kontynuować działalność za granicą, ogłosił „ekstremistycznymi”, tym samym zastraszając poddanych tak, aby bali się z nich korzystać. W końcu nie każdy chce trafić za kraty za samo tylko czytanie jakiegoś artykułu w sieci czy polecenie go znajomym.

Partii politycznych niezależnych od władz na Białorusi już nie ma, podobnie jak niezależnych od reżimu organizacji pozarządowych. Oczywiście nigdy nie był to kraj, który obfitował w tego rodzaju instytucje. Jeśli jednak porównać sytuację z 2020 r. i tę z początku roku 2025, różnica jest porażająca.

Zniknęły nawet niepolityczne, wydawać by się mogło, organizacje ekologiczne. Być może reżim pamięta rok 1986, gdy życie publiczne w sowieckiej wówczas Białorusi rodziło się właśnie z protestów po katastrofie w Czarnobylu.

Wszystko to doprowadziło do masowej emigracji: od 2020 r. kraj opuściło, wedle różnych szacunków, od 250 tys. do pół miliona Białorusinów.

BALLADA | Obok represji w ostatnim roku pojawił się nowy trend: kult jednostki, tj. oczywiście Łukaszenki. Z pompą świętowano 30-lecie jego rządów. Były koncerty, programy telewizyjne, a nawet modlitwy za jego zdrowie.

Od kilku miesięcy w różnych miastach trwa też „maraton jedności”. W jego ramach są organizowane koncerty, w czasie których wykonywany jest m.in. wojskowy w stylu hymn na cześć *bat’ki*, czyli „ojca” – jak powszechnie określa się 70-letniego Łukaszenkę:

*Ojciec jest u nas twardy
Jest jedynym takim na świecie
Kraj jest spokojny z ojcem
Tylko on nie ma czasu spać*

Jednocześnie, publikując takie zdjęcia i nagrania, jak z Babaryką i Kalesnikawą, władze wysyłają sygnał do swoich obywateli: ostrzegają przed jakąkolwiek aktywnością niezgodną z linią Mińska. Zobaczcie: ci ludzie sprzeciwili się i siedzą.

Istotne jest też, że publikuje to były opozycjonista, który „się nawrócił”. Wolicie być na wolności czy za kratami – pyta władza.

Prócz więźniów, tych skazywanych na wieloletnie wyroki, od sierpnia 2020 r. na

GRIGORY SYSOVEN / POOL / AFP / EAST NEWS

→ *Mamy twardego ojca
Ojcie – jesteście z tobą!
Naród go wybrał i on nie zawiedzie
Staniemy murem
Za ojcem.*

O Łukaszenkę opowiada też „Ballada o dyktatorze” grupy Białorusi (Białorusini), która kończy się stwierdzeniem: „Tak, na Białorusi jest dyktatura: sprawiedliwości i dobra”. Ballada mówi więc o dobrym dyktatorze, który buduje „szpitale, drogi i świątynie”, podczas gdy we „wrogich krajach” produkowane są „zabójcze rakiety”. I nie chodzi tu oczywiście o Rosję.

Na koncertowym „maratonie” występują ludzie kultury, którzy zapewniają, że będą głosować na Łukaszenkę. Na niektórych koncertach na scenie pojawia się jego 20-letni syn Mikołaj, szykowany na dziedzica. „Maraton” to także spotkania ze studentami, mieszkańcami różnych miejscowości czy wizyta w miejscu, gdzie „ojciec” się wychował.

Przypomina to czasy Stalina. Albo Koreę Północną.

STATYŚCI | Wybory z 26 stycznia to spektakl – dla Łukaszenki, reżimowych mediów (także z Rosji i niedemokratycznego świata) i dla poddanych. Jak w każdym przedstawieniu, są też statyści: „technicznymi” rywalami Łukaszenki jest znana od lat czwórka.

Mamy więc radykała Aleha Hajdukiewicza, lidera Partii Liberalno-Demokratycznej (nie ma ona nic wspólnego z liberalizmem ani z demokracją). To polityk objęty sankcjami UE i USA. Gra rolę twardego milicjanta (jest nim z zawodu), który mówi, co myśli, nie oglądając się na opinie innych (poza Łukaszenką, którego zawsze popierał). W 2020 r. też kandydował, ale wycofał się i poparł „ojca”.

Wtedy na kartach wyborczych było też nazwisko Hanny Kanapackiej – miała odciągnąć uwagę od Światłany Cichanouskiej. Teraz też kandyduje. Gra rolę umiarkowanej opozycjonistki, która konstruktywnie krytykuje władze (choć nie „ojca”). Zapewnia, że chce działać „na rzecz zagwarantowania praw i wolności obywateli” i że chce złagodzenia kar dla „osób odpowiedzialnych za wydarzenia z poprzedniego cyklu wyborczego”.

Dwaj pozostali to lider Republikańskiej Partii Pracy i Sprawiedliwości Alaksandr Chyżniak i prezes Partii Komunistycznej Białorusi Siarhiej Syrankow. Ten ostatni

Kult jednostki kwitnie:

Łukaszenka każe o sobie
śpiewać ballady, w których
jest chwalony jako
„dobry dyktator”.

w swoim programie napisał, że „idzie na wybory nie zamiast, a razem z obecnym prezydentem”. Z dumą pokazał też, że podpisał się na liście osób wspierających kandydaturę Łukaszenki.

BIZNESY | Reżim może pochwalić się właściwie tylko tym, że w jego kraju nie ma wojny. Białorusini cieszą się, że nie muszą iść na front. Za to ich kraj na wojnie zarabia.

Od grudnia 2023 r. do listopada 2024 r. zanotowano wzrost gospodarczy 3,9 proc., a ekonomiści twierdzą, że to efekt dwóch czynników: białoruski przemysł realizuje zamówienia wojskowe z Rosji, a Białoruś zapełnia częściowo swoimi produktami te nisze, które pojawiły się na rosyjskim rynku w wyniku sankcji.

Politolog Szrajbman uważa, że białoruska gospodarka adaptowała się do sankcji lepiej, niż wielu sądziło: – Czy to wynik działań rynku, prywatnych firm, wpływ Rosji, czy zasługa Łukaszenki, to trudno powiedzieć. Sytuacja gospodarcza jest podobna do rosyjskiej i teraz, po dwóch latach wzrostu dzięki zamówieniom wojskowym, pojawiają się oznaki stagnacji.

Jednak zależność od Moskwy to nie tylko korzyści, ale też problemy, np. wahania kursu rubla białoruskiego, który jest powiązany z rosyjskim.

Dziennikarz Aleksy Dzikawicki (koordynator projektu Belarus Tomorrow; podobnie jak Szrajbman i Karbalewicz mieszka dziś poza Białorusią) wskazuje też na skutki emigracji po 2020 r.: – Wyjechała masa ludzi biznesu, młodych, przedsiębiorczych, którzy nie widzą perspektyw. Może i władze podwyższyły emerytury, ale ogólnie sytuacja się pogorszyła.

Moskwa zawęży też zagraniczne relacje gospodarcze Mińska. Łukaszenka i jego ludzie jeżdżą do Chin, Korei Północnej, Birmy, Afganistanu. – Tego Rosja nie ogranicza, do krajów globalnego południa można jeździć bez ograniczeń – żartuje gorzko Walery Karbalewicz.

OPOZYCJA | Atutem Łukaszenki jest niewątpliwie słabość opozycji. Politycy opozycyjni, którzy żyją na emigracji, mają niewielki wpływ na sytuację w kraju. Światłana Cichanouska, która być może wygrałaby wybory w 2020 r., gdyby były uczciwe, jest przyjmowana przez światowych przywódców, ale jej wpływ na realia na Białorusi jest bliski zera. Zdają sobie z tego sprawę sami Białorusini. W zeszłorocznych internetowych wyborach do opozycyjnego parlamentu (Koordynacyjnej Rady) głosowały tylko 6723 osoby.

Przeciwnikom reżimu pozostaje działać poza granicami kraju, np. apelując o nowe sankcje, co robi Cichanouska, albo, jak Paweł Łatuszka (wiceszef Zjednoczonego Gabinetu Przejściowego Białorusi, tj. opozycyjnego rządu), publikując raporty pokazujące, jak reżim łamie prawo międzynarodowe (uczestnicząc w wojnie w Ukrainie, np. wywożąc na Białoruś dzieci z terenów okupowanych).

Jednak Dzikawicki nie bagatelizowałby takich działań: – Kontakty ze strukturami międzynarodowymi są konieczne, by tłumaczyć, że Białoruś jest ważną strategiczną. Aby przypominać, że ludzie siedzą w więzieniach. Aby temat nie zniknął.

Szrajbman jest sceptyczny: – Organizacje pozarządowe na wygnaniu mają ograniczony wpływ na politykę Zachodu.

Inni Białorusini przechodzą do radykalnych działań i jadą na wojnę walczyć po stronie Ukrainy, np. w Pułku imienia Kalinowskiego. Są przekonani, że jedyny sposób na upadek Łukaszenki to upadek Putina.

PRZYSZŁOŚĆ | Może najgorszy – z punktu widzenia tych Białorusinów, którzy marzą o wolnym kraju – jest dziś brak pozytywnego scenariusza.

– W 2020 r. ludzie widzieli „okno możliwości”, by coś zmienić. Teraz takiej szansy nie ma, nie widzą perspektyw i uciekają w swoje życie prywatne – mówi Walery Karbalewicz.

Emigracja wewnętrzna, podobnie jak ta zewnętrzna, jest dla reżimu korzystna. Jak wszystko, co sprawia, że ludzie nie będą się buntować.

© PIOTR POGORZELSKI

Autor jest wicedyrektorem Polskiego Radia dla Zagranicy, autorem audycji „Po prostu Wschód” w radiowej Trójce.



Prywatna wizyta syna Donalda Trumpa na Grenlandii. Nuuk, 7 stycznia 2024 r.

Co z tą Grenlandią?

PIOTR SZYMAŃSKI,
ANALITYK SPECJALIZUJĄCY SIĘ
W TEMATYCE KRAJÓW NORDYCKICH:

Kwestia przyszłości Grenlandii nie podlega w stu procentach argumentom racjonalnym. Tu chodzi też o emocje i poczucie sprawiedliwości mieszkańców tej dawnej duńskiej kolonii.

PATRYCJA BUKALSKA: Grenlandia jest dziś na ustach świata, Trump chce ją kupić. Chyba nie po raz pierwszy Amerykanie są zainteresowani tą lodową wyspą?

PIOTR SZYMAŃSKI: Stany rozważały jej zakup już w XIX stuleciu. Nie było to wówczas nic niezwykłego, w czasach kolonialnych miały miejsce takie transakcje, np. w 1917 r. Dania sprzedała Stanom swoje Indie Zachodnie, czyli Wyspy Dziewicze.

Warto przypomnieć, jak Królestwo Danii wkraczało w wiek XX. Było mostem między Ameryką Północną a Europą. Dania kontrolowała Wyspy Owcze i Gren-

landię, o statusie kolonii. Była też Islandia, od 1918 r. niezależna, ale połączona personalną unią z duńską monarchią. Punktem zwrotnym dla tych ziem stała się II wojna światowa, gdy zostały one zajęte przez aliantów.

Dlaczego?

Po tym, jak w kwietniu 1940 r. Niemcy napadli na Danię, siły brytyjskie wylądowały na Wyspach Owczych i Islandii, a amerykańskie na Grenlandii. Chciano zabezpieczyć te tereny przed Niemcami. Okazało się to katalizatorem procesów emancypacyjnych: w 1944 r. Islandia stała się republiką i zerwała związek z Danią. Niewiele brakowało, by niepodległość ogłosiły też Wyspy Owcze. Głosowała za nią w 1946 r. w referendum minimalna, ale jednak większość mieszkańców, lecz król Danii ją zablokował i skończyło się na autonomii.

A Grenlandia?

W 1953 r. przestała być kolonią i stała się częścią Danii właściwej. Ten stan trwał do 1979 r., gdy uzyskała autonomię: powstał lokalny parlament i rząd. Z biegiem lat autonomia się poszerzała, aż kompetencje Kopenhagi ograniczono do polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Walutą dalej jest korona, a że Dania jest monarchią, Grenlandia dzieli też z nią monarchę – dziś to Fryderyk X. Ponadto Dania wysyła do Nuuk, stolicy wyspy, tzw. grant, czyli centralne dofinansowanie. Dziś to równo-

wartość pół miliarda euro rocznie, jedna trzecia budżetu wyspy.

Najważniejsze jest jednak to, że w 2009 r. Dania uznała prawo Grenlandczyków do samostanowienia. Jeśli zechcą, mogą ogłosić niepodległość. Muszą tylko rozpisać referendum. Jeśli większość będzie w nim „za”, duński parlament to zaakceptuje.

Jak w to wpisują się interesy USA i pomysły Trumpa?

Cofnijmy się do roku 1946: Stany złożyły wtedy ofertę kupna wyspy za 100 mln dolarów, ale Dania ją odrzuciła. Do tej idei wrócił Trump w 2019 r. Idea przejęcia Grenlandii to zatem motyw powracający w USA.

Amerykanie są jednak i tak obecni na Grenlandii?

Są obecni gospodarczo i wojskowo, mają bazę w Pituffik. Korzystają tu ze wszystkich atutów, jakie daje im umowa o obronie Grenlandii, zawarta w 1951 r. przez USA i Danię. W 2004 r. rozszerzono ją o Grenlandczyków i dziś można mówić już o trójstronnej współpracy amerykańsko-grenlandzko-duńskiej w sferze obronności.

Dlaczego baza Pituffik jest tak ważna?

Ten obszar wydaje się peryferyjny, ale militarnie jest ważny. Stacja radiolokacyjna w Pituffik służy wykrywaniu międzykontynentalnych pocisków →



JONATHAN NACKSTRAND / AFP / EAST NEWS

→ balistycznych przenoszących głowice jądrowe, które mogą być wystrzeliane z okrętów podwodnych rosyjskiej Floty Północnej. Baza, położona geograficznie między USA a Rosją, nadaje się do tego doskonale.

Skoro USA mają już taką pozycję, o co dziś idzie? Czy o metale ziem rzadkich?

Złoża surowców to na pewno temat. Politykę gospodarczą i w dużej mierze handlową Grenlandii zawiaduje rząd w Nuuk, a on nie chce dużych projektów wydobywczych. Grenlandzkie wybory parlamentarne w 2021 r. były w istocie referendum w sprawie projektu Kvane-feld – to wielkie, jedne z największych na świecie, złoża uranu i metali rzadkich. Australijczycy chcieli tam inwestować, a partia socjalistyczno-ekologiczna Inuit Ataqatigiit (Wspólnota Ludzka) miała na sztandarach hasło, aby to wydobyć zablokować. Ona wygrała wybory, z niej wywodzi się obecny premier wyspy, 37-letni Múte Egede.

Zwolennik niepodległości.

Jest takie powszechne skojarzenie, że skoro większość Grenlandczyków chce niepodległości, to chce też dużych inwestycji górniczych, bo w końcu musieliby na czymś budować podstawy gospodarcze niepodległego państwa. Ale tak nie jest.

W 2021 r. Inuit Ataqatigiit uzyskała jeden z najlepszych wyników w historii. A tamte wybory były w ogóle szczególnie, przypadały na 300 lat „kolonializmu duńskiego”, jak określają to Grenland-

czy. Wydawało się więc, że to świetny moment, by ogłosić referendum. 300 lat wystarczy, mamy wielką kopalnię, będą z niej wielkie dochody... Jednak wszystko poszło w inną stronę.

Jaką?

W rozwój turystyki i dalsze stawianie na rybołówstwo, które stanowi 90 proc. wartości eksportu wyspy. Za to surowce są często trudno dostępne, gdyż schowane pod lądolodem. Ponadto lokalne społeczności są przeciwne dużym inwestycjom wydobywczym ingerującym w środowisko. Owszem, mniejsze projekty górnicze są na wyspie pożądane. Ale idea zamienienia Grenlandii w jedną wielką kopalnię jest nierealistyczna.

Myślę jednak, że intencją USA jest dziś raczej, by pobudzić i zmotywować Duńczyków do zwiększenia inwestycji obronnych na wyspie.

Taka deklaracja Kopenhagi już zresztą padła.

Tak, Dania ma inwestować w patrolowanie Arktyki. Sądzę, że to przyniesie efekt. Ale motywacja Trumpa może być też osobista: chodzi o budowanie jego dziedzictwa. Jakaś forma kontroli USA nad Grenlandią zapisalaby go w historii. Oczywiście trudno powiedzieć, co siedzi w głowie prezydenta.

Jak to było w 2019 r., gdy Trump zgłosił po raz pierwszy taki pomysł?

Prawdopodobnie amerykański pomysł polegał wtedy na zachęceniu Grenlandczyków do niepodległości, aby następnie

Kulusuk, Grenlandia, 16 sierpnia 2019 r.

zapropoować im umowę stowarzyszeniową. Takie umowy Amerykanie mają z państwami wyspiarskimi, jak Mikronezja i Palau. Dają one Stanom prerogatywy w zakresie obronności, a państwa te mają korzyści ekonomiczne.

Grenlandczyków by to interesowało?

Swego czasu Grenlandczycy studiowali związek Wysp Cooka z Nową Zelandią, by lepiej zrozumieć, jak funkcjonuje taki model. W przeszłości na wyspie wiele mówiono o tym, że Grenlandia mogłaby ogłosić niepodległość i następnie stowarzyszyć się z Danią. Ale Duńczycy przesłali tę ideę. Teraz jest szansa – lub obawa – że miejsce Danii w tej relacji zajmą Stany. Mogą zaoferować, mówiąc językiem Trumpa, lepszy *deal*.

Reagując dziś na wypowiedź Trumpa, rząd Grenlandii deklaruje wolę współpracy z jego administracją.

Nie ma w jego oświadczeniu ani słowa o Danii. To daje do myślenia?

Język tego dokumentu jest typowy dla Grenlandczyków. Np. w 2024 r. po raz pierwszy ogłosili oni samodzielnie strategię arktyczną, uwzględniającą kwestie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Wcześniej ta strategia dotyczyła całego Królestwa i była wypracowywana podczas negocjacji z Danią i Wyspami Owczymi. Jednak Grenlandia od lat oskarżała Danię, że narzuca pewne rozwiązania, podczas gdy Inuici lepiej rozumieją Arktykę.

Co jest w tej strategii?

Najciekawsze jest to, czego w niej nie ma: osobnego rozdziału poświęconego Danii. Jest ona uwzględniana głównie w taki sposób, że to Grenlandia wskazuje obszary, gdzie chce być bardziej aktywna w sferze obronnej i kontaktów zewnętrznych.

Może Grenlandczycy mają podstawy, by czuć dystans do Danii? Są sprawy z przeszłości. Np. w tym roku ma się zakończyć dochodzenie na temat programu kontroli urodzeń z lat 60. i 70. XX w., gdy tysiącom inuickich dziewcząt założono, często bez ich zgody, wkładki antykoncepcyjne. Obecny premier porównał to do ludobójstwa.

Wiele czynników sprawia, że Grenlandczycy chcą się odłączyć od Danii. Choć trend ten jest tonowany przez kwestie finansowe i fakt, że Grenlandia, choć leży blisko Ameryki, to jest obszarem nordyckiego państwa dobrobytu. Wyrazem tego są takie typowo skandynawskie rozwiązania jak świadczenia socjalne, układy zbiorowe, związki zawodowe. Trudno tu o większy kontrast ze Stanami. Nie wiem, czemu niektórzy Grenlandczycy spodziewają się, że USA zapewnią lepsze szpitale czy usługi publiczne.

Może to historia ma dla nich aż takie znaczenie?

Lista zarzutów istotnie jest długa. Jako kolonia Grenlandia była trzymana w izolacji od świata, co spowodowało zacofanie. Gdy w latach 50. zaczęto budować nowoczesne społeczeństwo, Duńczycy realizowali czasem wątpliwe projekty. Takim była akcja zakładania spirali antykonceptyjnych. Wcześniej był też eksperyment społeczny polegający na zabraniu z wyspy 22 dzieci do rodzin zastępczych w Danii, by sprawdzić, czy Inuita wychowany poza wyspą stanie się kulturowo-cywilizacyjnym Duńczykiem. Kilka lat temu premier Mette Frederiksen przeprosiła za to.

Te sprawy pojawiają się więc w relacjach politycznych.

Grenlandia znakomicie opanowała sztukę wykorzystywania w negocjacjach duńskiego poczucia winy. Grenlandczycy w ogóle umiejętnie rozgrywają relacje międzynarodowe. Podam przykład: gdy Stany zainteresowały się Grenlandią za pierwszej kadencji Trumpa, było to spowodowane obawami o wpływy Rosji i Chin w Arktyce. Jedną z przyczyn było ryzyko wyboru przez Nuuk chińskiej firmy państwowej do modernizacji lotnisk na wyspie w 2018 r.

Uważam za możliwe, że Grenlandia grała tu kartą chińską, by wynegocjować lepsze warunki inwestycji z Duńczykami i zainteresować Amerykanów. Ostatecznie Pentagon wywarł presję na Danię, by uniemożliwić Chinom tę strategiczną inwestycję. Wiadomo, lotniska można wykorzystać także militarnie. Stany bały się też, że Chińczycy umieszczają tam instalacje szpiegujące ich bazę w Pituffik.



PIOTR SZYMAŃSKI jest analitykiem w Zespole Bezpieczeństwa i Obronności Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, specjalizuje się w tematyce krajów nordyckich.

Grenlandia: wyspa strategiczna

POŁOŻONA na Atlantyku, u wschodnich wybrzeży Ameryki Północnej (i należąca do niej geograficznie), Grenlandia to największa wyspa świata: 2,2 mln km², prawie siedem razy więcej niż Polska. Ludność liczy 56 tys. osób (z czego 20 tys. mieszka w stolicy Nuuk).

MIESZKAŃCY to w 89 procentach Inuici (dawniej zwani Eskimosami; dziś odchodzi się od tego określenia), reszta to Duńczycy i przedstawiciele innych narodowości (trzy największe grupy migrantów to Filipińczyk, Tajowie i Polacy).

BOGACTWA naturalne wyspy to wielkie – i do tej pory eksploatowane tylko szczątkowo – złoża metali ziem rzadkich (istotnych dziś dla m.in. transformacji energetycznej), jak również diamentów, złota, uranu, żelaza, ołowiu itd., a także złoża naftowo-gazowe.

80 PROCENT powierzchni Grenlandii pokrywa lądolód. Globalne ocieplenie sprawia, że powoli topnieje – stąd, gdy idzie o procesy mające wpływ na podnoszenie się poziomu mórz i oceanów, Grenlandia odgrywa kluczową rolę.

Jak to się skończyło?

Chińczycy zostali wyparci z przetargu, a inwestycję kredytowała Dania. Przy okazji podpisano nową umowę z Amerykanami o funkcjonowaniu bazy, dając Grenlandczykom lepsze warunki. Ci wygrali więc podwójnie: dostając możliwość uzyskania kontraktów na obsługę Pituf-

fik i inwestycję w swoją infrastrukturę od Danii. Efektem ubocznym sprawy lotnisk był jednak upadek rządu w Nuuk.

To wygląda na grę na różnych fortepianach.

Jeśli Grenlandczycy chcą myśleć poważnie o niezależności, także o niepodległości, muszą dywersyfikować relacje zagraniczne. To dla nich warunek konieczny. Zresztą o tym wiedzą. Nie chcą załatwiać wszystkiego przez Kopenhagę, chcą bliższej współpracy zwłaszcza z Islandią i Kanadą. Patrzą też przychylnym okiem na rozwój współpracy z USA w obszarze nie tylko obronnym, ale też w edukacji, turystyce czy przemyśle. Grenlandia ma zresztą swoje przedstawicielstwo w Brukseli, a także w Chinach, które obsługuje całą Azję.

Wracając do niepodległości: działania Trumpa mogą przyspieszyć ten proces?

W orędziu na Nowy Rok premier Grenlandii wrócił do sprawy niepodległości, mówiąc, że nadchodzi czas decyzji. Traktowałbym to jednak w kontekście wyborów, które odbędą się wiosną 2025 r. To stały motyw grenlandzkich wyborów, partie niepodległościowe mobilizują tak elektorat.

A jak zwykli Grenlandczycy reagują na pomysł Trumpa? Jakie są nastroje?

Jest oczywiście niepewność wynikająca z poczucia, że tym razem to może być na poważnie. Ale też entuzjazm, że ktoś się wyspą interesuje, media o niej piszą. Branża turystyczna i hotelarska zaciera ręce. Nie należy jednak wyciągać pochopnych wniosków ze słów Trumpa i Egede. W 2021 r. też zdawało się, że referendum jest tuż. W niespokojnych czasach konfrontacji międzynarodowej nagle ruchy budzą obawy. Grenlandczycy dwa razy się zastanowią, nim zrobią ten ostatni krok.

Gdyby jednak ogłosili niepodległość, wydaje się, że nadal wiele mogliby zyskać na ewentualnym stowarzyszeniu z Danią. Łatwiej negocjować z małą Danią niż z wielkimi Stanami. No, ale są też te kolonialne zaszczości... A kwestia niepodległości nie podlega w stu procentach argumentom racjonalnym. Tu chodzi także o emocje i poczucie sprawiedliwości.

©© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

TYGODNIK POWSZECHNY



My, dziennikarki „Tygodnika Powszechnego”:

*Żeby naprawiać świat, wpierw trzeba spróbować
go zrozumieć. Dlatego właśnie piszemy i fotografujemy.*

Dla kogo to robimy?

Dla ludzi otwartych na to, co trudne i nieoczywiste.

Dla zmęczonych jałowymi sporami politycznymi.

*Dla wrażliwych na ludzką krzywdę – bo wierzymy,
że tylko takie dziennikarstwo ma sens.*

Na zdjęciu:
Grażyna Makara,
Anna Łabuszewska,
Ewelina Burda, Anna Goc,
Anna Golus,
Katarzyna Kubisiowska,
Monika Ochędowska,
Zuzanna Radzik,
Anita Piotrowska
i Antonina Palarczyk



powszech.net/dar



**Twoje wsparcie
dla Fundacji Tygodnika Powszechnego
pozwala zmieniać świat. Naprawdę**

» KRS 0000 125 605

The background of the cover is a photograph of railroad tracks in Auschwitz. The tracks are made of wooden sleepers and metal rails, with gravel ballast. Sunlight filters through the trees in the background, creating a lens flare effect. The tracks lead into the distance, flanked by greenery.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 4/2025

Wokół Auschwitz, 80 lat później



Z okna strychu wychyla się młodzieniec w białej koszuli...

Z domu Israela

MICHAŁ KUŹMIŃSKI Z BERLINA I GOLUBIA-DOBRYNIA

Na początku było zdjęcie: Żydów, od których kamienicę w Golubiu, włączonym właśnie do Polski, kupił w 1920 r. mój pradziadek. Tak zaczęła się ta historia: ślady poprowadzą do Berlina, a potem do Auschwitz.

Wśród enerderskich bloków z wielkiej płyty przy Berolinastraße w Berlinie jest spokojnie, choć blisko stąd do ruchliwego Alexanderplatz. Kręcono tu film Wolfganga Beckera „Good Bye Lenin!” z 2003 r. Stare drzewa, plac zabaw. Z okna dobiega zapach curry.

Zanim okolice tę na zawsze zmieniły – jak to ujął biograf miasta Rory McLean – architektoniczne fantazje Alberta Speera, bombowce lancaster i komunistyczni urbaniści, biegła tu Landsbergerstraße. Pod numerem 82 mieszkał pod koniec lat 30. XX w. kupiec Schmul Grzybinaż (zwany w rodzinie zdrobniale Sally) wraz z żoną Nanni, synem Alfredem, teściową Sarą Isacsohn i jej siostrą Berthą Markus.

Nanni urodziła się w 1899 r. w dzisiejszym Golubiu-Dobrzyniu (wówczas był to Gollub in Westpreussen, tj. w Prusach Zachodnich; dziś województwo kujawsko-pomorskie), w kamienicy jej ojca, kupca galanterijnego Israela Isacsohna.

Trzy lata po niej przyszedł na świat jej brat Arthur. Żyli tu wraz z rodziną stryja Leopolda, kupca zbożowego i agenta przedsiębiorstwa żeglugowego, który organizował rejsy transatlantyckie poszukiwaczom szczęścia w Ameryce.

Kamienicę tę w maju 1920 r. kupił od Israela i Sary mój pradziadek, mistrz fryzjerski Wiktor Kuźmiński. Urodził się tu mój dziadek i wychowały jego dzieci.

Do niedawna nie znałem nawet nazwiska poprzednich właścicieli. Dziadek wiedział tylko, że byli Żydami i wyjechali do Berlina. Historii Isacsohnów nikt nie zanotował, nie mają swojego rozdziału w monografii gmin żydowskich regionu, „Szalom znad Drwęcy” Anny Bieniaszewskiej. Zniknęli.

Nazwisko odnalazło się w archiwalnej księdze wieczystej. A imiona – w Bundesarchiv, w księdze pamięci ofiar nazizmu. Potem były poszukiwania w aktach stanu cywilnego, księgach adresowych, spisach ludności, zbiorach z Bad Arolsen czy archiwum w Poczdamie. I jedno zdjęcie.

ZDJĘCIE SPRZED 123 LAT | Fotografia wypłynęła na niemieckim eBayu. Jak ustalił pasjonat historii Golubia Dariusz Szpejenkowski, przedstawia zjazd pruskich weteranów 22 czerwca 1902 r. To unikat, być może najstarsze zdjęcie golubskiego rynku. W rogu po prawej widać kamienicę z szyldem „A. Isacsohn”. Poniżej z lewej: „Tuchlager”. Z prawej po polsku: „Skład sukna”. Na jej schodach i w oknach widać przyglądających się uroczystości mieszkańców.

Kto jest kim? Israel ma wtedy 46 lat, jego niedawno poślubiona żona, Sara z Wreschinskich, prawie 32. Może to on wspiał się na witrynę, a ona stoi poniżej?

Leopold ma 56 lat, jego żona Dore 48. Czy to on jest białobrodym mężczyzną, a ona kobietą w czepcu?

Nanni ma prawie 3 lata i może być w gromadce maluchów. Arthur ma ledwie 3 miesiące. Ich kuzynka Regina właśnie skończyła 9 lat – czy to dziewczynka z warkoczami oparta o oścież? A może to ta przed witryną? I czy są tu ich trzech kuzyni? Najstarszy Max ma 19 lat, Eugen 17, Bruno 16.

Z okna strychu wychyla się młodzieniec w białej koszuli. Oraz drugi, korpulentny, w okularach i – czyżby gimnazjalnej czapce, Schütermütze? Wiadomo, że przynajmniej Bruno uczęszczał do gimnazjum, i to do słynnego Kneiphof w Królewcu. Zza prawej krawędzi okna, ledwo widoczna, wychyla się, niczym duch, jeszcze trzecia młoda twarz. Czy to oni?

...a w rogu po prawej widać szyld „A. Isacsohn” (czerwiec 1902 r.).

Kamienicę tę w maju 1920 r. kupił od Israela i Sary mój pradziadek, mistrz fryzjerski Wiktor Kuźmiński.

WZORZEC MIESZCZAŃSTWA | „A. Isacsohn” z szyldu to Abraham, nestor rodu, dziadek Nanni, ojciec Israela i Leopolda oraz Isidora, Jacoba i Huldy, którzy wcześniej wyjechali z Golubia.

Abraham urodził się w 1812 r. i krótko po osiedleniu się w Golubiu zaczął działać w gminie żydowskiej – już w 1845 r. zostaje jednym z jej zarządców. Jak ustalił miejscowy historyk Ryszard Kowalski, w 1862 r. Abraham odsprzedał gminie – za mniej niż wcześniej sam zapłacił – swoją część działki między bramą Dobrzyńską a mostem na Drwęcy. Stała tam synagoga.

Gdy Abraham i jego żona Johanna zmarli w 1897 r., jedno po drugim, Israel, dziedzic kamienicy, nie zmienił szyldu. Był, jak się zdaje, bardzo związany ze sklepem ojca. Dopóki żył Abraham, Israel figurował w dokumentach jako Kaufmannssohn (syn kupca) lub Commis (pomocnik handlowy), choć jego brat był już Kaufmannem (kupcem) pełną gębą. Nawet żony Israel poszukał dopiero po śmierci ojca i rocznej żałobie. Wcielony wzorzec niemieckiego mieszczanina – choć przecież nie protestant, jak chciałby Max Weber.

Golubscy Żydzi ubierali się wtedy po mieszczańsku, nie nosili pejsów ani długich bród, mówili po niemiecku i niemieckimi imionami nazywali dzieci. Miejscowi Polacy, jak pisze Bieniaszewska, przezywali ich „Niemcami” lub „Berlińczykami”. Polska prasa obwiniała ich o sprzyjanie „hakatystom” (tak nazywano urzędników forsujących germanizację).

W 1901 r. czasopismo podróżnicze „Wędrowiec” pisało, w relacji przeszyconej antysemityzmem, że „większą połowę interesów mają żydki w Golubiu”, a jego ulice kojarzą się z Jerozolimą. W 1911 r. „Gazeta Toruńska” nazywała Golub „miastem na wskroś żydzydałem”. Antagonizm gęstniał.

GOLUB STAJE SIĘ POLSKI | W listopadzie 1918 r. w Golubiu powołano Polską Radę Ludową, na rzecz polskości miasta działała też od 1919 r. Towarzystwo Gimna-



styczne „Sokół”. Choć w Golubiu zajmowało się ono raczej organizacją zawodów i zabaw, to program całej organizacji oceniany jest dziś jako mocno endecki (w zaborze pruskim antyniemieckie Stronnictwo Narodowe było tradycyjnie silne). Sekretarzem golubskiego „Sokoła” był 34-letni wówczas fryzjer Wiktor.

17 stycznia 1920 r. Golub stał się częścią państwa polskiego. Ruszyła fala wychodźstwa: Niemców i także Żydów. Masowo zamykają się żydowskie firmy, polska prasa chwali „operację odżydzania”. W maju Israel sprzedaje kamienicę Wiktorowi i też wyjeżdża z całą rodziną do Berlina.

Kim dla siebie byli Wiktor i Israel? Polak, pruski poddany – oraz zgermanizowany Żyd. Polski patriota, działacz społeczny i weteran pruskiej armii biegle mówiący po niemiecku – oraz syn lidera gminy żydowskiej, który całe życie spędził w polsko-niemiecko-żydowskim miasteczku. Przeciwnikami? Klientami? Konkurentami? Znajomymi? Sąsiadami? Wszystkim jednocześnie?

FAMILIA W BERLINIE | Już w Berlinie Israel i Sara wraz z Nanni i Arthurem zamieszkują najpierw w dzielnicy Spandau przy Schönwalderstraße. W 1924 r. Nanni wychodzi za Schmulę (Sally’ego) Grzybina. Rok później rodzi się im Alfred (to będzie jedyny wnuk Israela i Sary).

Z kolei Leopold i Dora zatrzymują się w dzielnicy Tegel u syna Eugena, który tu, przy Brunowstraße, osiadł już od

1916 r. Bruno zaś wprowadza się kilka przecznic dalej. Natomiast Regina wychodzi niebawem za berlińskiego kupca Arthura Abrahama Wolffa. W 1921 r. Leopold ginie w wypadku (Eugen i jego żona Jenny dają jednemu synowi na imię Hans Leopold – po dziadku).

Przybywszy do Niemiec, Isacsohnowie trafiają wprost na kryzys hiperinflacyjny, który dławi wówczas powojenne Niemcy (i przyczyni się wkrótce do radykalizacji nastrojów). Jednak muszą sobie jakoś radzić, o czym świadczy fakt, że ich mieszkania są na parterze – jak zauważa Dariusz Łukasiewicz, autor „Życia codziennego w Królestwie Prus”, w wysokich kamienicach czynszowych na dole mieszkali zamożniejsi, bo wyższe piętra bez wind oznaczały choćby mozolne nośzenie po schodach wody ze studni.

DOBRE ŻYCIE | Na pewno dobrze żył najstarszy syn Leopolda – Max. Ożenił się z Henriettą Gertrudą Rosenthal, pochodzącą z tego samego rodu co jego ciotka, Sara Isacsohn. Matka Sary była z domu Baer – z kupieckiej rodziny o imponujących powiązaniach kapitałowych: do Baerów i skoligaconych z nimi Rosenthalów, Posenerów i Falków należał m.in. koncern Wollwarenhaus Saxonia Falk & Posener. Miał on domy towarowe od Gleiwitz i Breslau po Dreźnie i Berlin.

Max i Henrietta zamieszkali w mieście Torgau nad Łabą, w Saksonii; prowadzili tam dom towarowy Kaufhaus Rosenthal. →



ZE ZBIORÓW HENRYEGO RODWELLA / USC SHOAH FOUNDATION / SFI.USC.EDU

Od lewej: Klara Rosenthal, Heinz Rosenthal, Henriette Gertrude (Tante Trude) Isacsohn, Max Isacsohn i owczarek Tilly

zwał do bojkotu żydowskich sklepów. Dom towarowy, największa żydowska firma w Bitterfeld, jest solą w oku miejscowych nazistów. Zachowała się relacja jego pracownicy, która opisuje, jak tłum skanduje nazwisko Isacsohn, żądając wysłania Arthura do obozu koncentracyjnego.

Arthur wytrwa do 1937 r. – wtedy wróci do Berlina, ożeni się z golubianką Gertrud Silberstein i podejmie pracę w sklepie jej brata Siegfrieda.

Pętla się zaciska. Po Nocy Kryształowej 9 listopada 1938 r., gdy na terenie Rzeszy płoną żydowskie sklepy i domy modlitwy, SS zabiera Maksa. Trafia do obozu w Buchenwaldzie, jako jeden z 30 tys. Żydów, aresztowanych, by szykanami zmusić ich do emigracji i zagrabic ich własność. Zostają upchnięci po 2 tysiące ludzi w jednym baraku, dręczeni trzema wielogodzinnymi apelami dziennie, deszcz czy mróz. Max zostaje wypuszczony po kilku tygodniach – musi sprzedać biznes w Torgau i osiedla się w Lipsku.

Tymczasem mieszkająca w USA krewna Trude stara się o wizy dla nich. Stany prowadzą jednak brutalną politykę imigracyjną: nie tylko limitują liczbę uchodźców z III Rzeszy, ale wymagają od nich środków utrzymania (lub deklaracji obywatela USA, że te koszty pokryje). Amerykańscy wyborcy boją się, że uchodźcy odbiorą im miejsca pracy.

Jednak i tak opuszczenie Niemiec coraz bardziej graniczy z cudem. Tylko szwagrowi Arthura, Siegfriedowi, udaje się przedostać do Stanów.

POCZTÓWKA ZE STANÓW | Wiosną 1939 r. Gertrud i Arthur zostają aresztowani – bez jakiegś przyczyny, z nakazu urzędu celnego. Przy tej okazji Arthur zostaje okradziony, traci ponad 10 tys. marek (wiadomo o tym dzięki zachowanej relacji Kathe K. – знаła przebieg wydarzeń, bo to jej, jako aryjce, przekazano klucze do sklepu Silbersteina). Od razu po zwolnieniu małżeństwo ucieka przez zieloną granicę do Pragi, do przyjaciół.

Jednak zaraz po tym do Pragi wkracza Wehrmacht. Przez Polskę i Danię, Gertrud i Arthur dostają się do Wielkiej Bry-

→ Rodzina Sary wsparła też jej syna Arthura – najmłodszy z golubskich Isacsohnów w 1930 r. został kierownikiem domu towarowego w Bitterfeld, 150 km od Berlina, gdzie zarządzał setką pracowników.

„Max był moim ulubionym wujkiem” – wspomina 77-letni Henry Rodwell w świadectwie zarejestrowanym w 1996 r. przez USC Shoah Foundation. Henry urodził się jako Heinz Rosenthal, a Henriette Gertrude („Tante Trude”) była siostrą jego ojca. „Ich dom w Torgau był moim drugim domem” – mówi na nagraniu. Max i Trude sami nie mogli mieć dzieci i rozpieszczali bratanka. Było wesoło: Max grywał na skrzypcach, Trude na pianinie. Wuj zabierał też Heinza w podróże, np. do Wenecji.

Na końcu nagrania Rodwell pokazuje fotografię zrobioną w ogrodzie w Torgau. On, siostra, wujostwo i ich owczarek Tilly. To jedyna, poza tamtą z 1902 r., fotografia urodzonego w Golubiu Isacsohna, do której udało mi się dotrzeć. Może to tylko myślenie życzeniowe, ale Max nieco przypomina młodzieńca w białej koszuli z okna strychu.

PRZESTRZENIE PRZYMUSOWE | Israel Isacsohn umiera z końcem 1932 r., już w innym mieszkaniu: na Friedenstraße, niedaleko Alexanderplatz. Wkrótce ta dzielnica zostanie przemianowana na Horst-Wessel-Stadt – ku czci 23-letniego członka NSDAP, który został zabity przez komunistów i wykreowany

na męczennika ruchu narodowosocjalistycznego.

Wkrótce potem, w styczniu 1933 r., Adolf Hitler zostaje kanclerzem. W sierpniu 1934 r. przyjmuje tytuł „Führera”, woźdza narodu niemieckiego.

Rodzina stopniowo przenosi się w okolice Alexanderplatz. Wpływa na to z pewnością jedna z rasistowskich ustaw: o żydowskich najemcach z 30 kwietnia 1939 r., która pozwala wyrzucać Żydów z mieszkań, a im samym wynajmować tylko u innych Żydów. W efekcie, choć w Berlinie nie ma getta, powstają tu „małe getta”: Judenhäuser, „żydowskie domy” (dziś badacze używają pojęcia Zwangsräume, przestrzenie przymusowe). Na mapie z projektu internetowego zwangsraume.berlin widać, że skupiały się m.in. na północny wschód od Alexanderplatz.

Dom przy Landsbergerstraße 82 to teraz także Judenhaus. Tu spotyka się rodzina, tu obchodzą bar micwę Alfreda. Gości tu Hulda Klinkowstein z Görlitz – szwagierka Sary, która być może przyjechała do Berlina na leczenie (umrze na zawał w szpitalu gminy żydowskiej). Z kolei z Bitterfeld przyjeżdża Arthur, z pieniędzmi dla matki i siostry – choć jazda pociągami jest już dla Żyda upokarzająca i niebezpieczna.

PĘTLA SIĘ ZACISKA | Życie Arthura jest już wtedy gehenną – od chwili, gdy Joseph Goebbels, szef propagandy III Rzeszy, we-



W maju 1940 r. do Sary, na adres Landsbergerstraße 82, przychodzi pocztówka z USA, od Mety Cohn, córki Huldya Klinkowstein, która zdołała schronić się w Stanach.

tanii. Tu w czerwcu 1940 r., gdy brytyjskie wojska uciekają z plaż Dunkierki, wybuch panika na punkcie „piątej kolumny” – władze internują tysiące ludzi niemieckiego pochodzenia, w tym niemieckich Żydów. Są zamykani razem z sympatykami Hitlera. Także Arthur zostaje uwięziony – i zwolniony po czterech miesiącach, gdy zgłasza się do lekarza w stanie przedzawałowym.

Arthur i Gertrud przeżyją: od 1946 r. zamieszkają w Nowym Jorku. Zmieniają nazwisko z językową wirtuozerią – na Saxon, co po angielsku znaczy Saksończyk lub Anglik. Spoczną na cmentarzu żydowskim Mount Hebron.

Tymczasem w maju 1940 r. do Sary, na adres Landsbergerstraße 82, przychodzi pocztówka: z USA, od Mety Cohn, córki Huldya Klinkowstein, która też zdołała schronić się w Stanach (USA nie są jeszcze w stanie wojny z Niemcami). Meta pisze: „Dziękuję Bogu i życzę, abyście i wy wkrótce mogli znaleźć nowy dom”. Tłumaczy, że kontaktowała się z Siegfriedem, szwagrem Arthura – można się domyślać, że chodzi o pomoc Isacsohnom w uzyskaniu wiz – ale on jest bardzo zajęty. Instruuje Eugena i Bruna, do kogo się zgłosić, jeśli potrzeba im pieniędzy. Prosi Nanni, żeby szybko odpisała. Życzy siły.

Kartka zachowa się, chyba zupełnym cudem.

OSTATECZNE ROZWIĄZANIE | W październiku 1941 r. zaczynają się deportacje Żydów do gett na wschodzie (tzw. Ostrtransporte): do Łodzi, Mińska, Kowna, Rygi. W czerwcu 1942 r. ruszają Altertran-

sporte, „transporty starszych”: do Theresienstadt, getta w czeskim Terezynie. Theresienstadt stanie się „wioską potomkiniowską”: Niemcy będą zawozić tam delegacje Czerwonego Krzyża, by dowieść, że Żydzi są traktowani dobrze.

Wcześniej, w styczniu 1942 r., nad jeziorem Wannsee prominenci III Rzeszy obradują nad „ostatecznym rozwiązaniem”. Tego samego dnia Trude i Max są już przetrzymywani w obozie zbornym w Lipsku. Potem nieogrzewane wagony trzeciej klasy zawiozą ich do Rygi; podróż potrwa trzy dni. Na stacji Riga-Skirotava będą czekać kilka godzin, na mrozie (minus 30 stopni). Nie wiemy, czy w ogóle przeżyli tę trasę.

Bruno zostaje zabrany pierwszym transportem do Rygi, gdzie zginie w masowej egzekucji w lesie Rumbula.

Eugen, Jenny i niespełna 16-letni Hans Leopold trafiają do pierwszego Osttransportu do Auschwitz. Na zachowanym formularzu chłopak napisze: „Z uwagi na mój młody wiek proszę mi pozwolić pozostać razem z rodzicami”. Na liście transportowej figurują razem: pod numerami 119, 120 i 121.

Regina w Birkenau zostaje popędzona prosto do komory gazowej.

14 września 1942 r. Sara Isacsohn zostaje zabrana z mieszkania przy Landsbergerstraße. Trafia do Theresienstadt. Jej siostrę Berthę spotkało to miesiąc wcześniej. Wywożeni słyszą to, co inspektorzy Czerwonego Krzyża: że będą tam domy spokojnej starości, lekarz i apteka. Bertha umiera w Theresienstadt 20 grudnia 1942 r. Sara przeżyje ją o niecałe dwa lata: 16 maja 1944 r. zostaje wy-

wieziona do Birkenau, do tzw. Familienlager (oboza rodzinnego) numer BIIB. Jego więźniowie zostaną zamordowani między 10 a 12 lipca 1944 r. w komorach gazowych.

Niespełna 18-letni Alfred, syn Nanni, zostaje 2 marca 1943 r. zabrany z ulicy przez gestapowca nazwiskiem Dittmar do Osttransportu nr 34. Zginie w Birkenau.

„ORAZ LICZNE GRATY” | Nanni i Sally zostają wywiezieni do Theresienstadt transportem I/96, 16 czerwca 1943 r., wraz z którym Berlin zostaje oficjalnie ogłoszony judenrein (oczyszczonym z Żydów). Sally umiera tam w lutym 1944 r., Nanni zaś zostaje stamtąd zabrana 12 października 1944 r. transportem do Birkenau. Prawdopodobnie prosto do komory gazowej.

Wcześniej małżonkom kazano wypełnić Vermögenserklärung: zeznanie majątkowe. Za pomocą takich formularzy Niemcy precyzyjnie udokumentowali własną grabież. Dziś pozwala ono wrócić – przynajmniej w naszej wyobraźni – do tamtego pustoszonego przez grabieżców mieszkania przy Landsbergerstraße 82.

Z zagrabionego inwentarza: bufet orzechowy, stół, 6 krzeseł, garderoba, umywalka i toaletka dębowe, szezlong, kanapa, 2 łóżka z pościelą, garnki, dziecięcy wózek; 400 książek. Oraz „liczne graty” (Gerümpel) – dopisał na koniec, może już znudzony tym wszystkim, gestapowiec.

© © MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ Tekst powstał w oparciu o fragmenty przygotowywanej przez autora książki.

Berolinastraße w Berlinie – tu stał dom przy Landsbergerstraße 82



MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Użyteczny optymista

KALINA BŁĄŻEJOWSKA

W łódzkim getcie spakował swoje największe skarby do plecaka. Gdy zerwano mu go z ramion na rampie w Auschwitz, krzyknął: „Ale ja mam tam znaczki!”. Ktoś nachylił się nad nim i powiedział: „Tu się nie przychodzi, żeby żyć”.

Pierwszego stycznia 2025 r. Leon Weintraub zaczął setny rok życia. Kiedy trafił do Auschwitz-Birkenau, miał lat osiemnaście.

– A tak naprawdę jestem chyba rocznik dwudziesty piąty – powiedział mi, gdy spotkaliśmy się na rozmowę w pustej jadalni skromnego hotelu w centrum Łodzi. – Był zwyczaj, żeby dziecko urodzone w końcu grudnia zapisywać na styczeń. Położna mówiła: „Wpiszę 1 stycznia, syn będzie o rok młodszy, fizycznie silniejszy jak pójdzie do wojska”.

Wyprostowany jak struna, niewysoki, szczupły mężczyzna z białymi włosami zaczesanymi do tyłu i białym wąsem. Elegancki, w jasnym garniturze i niebieskiej koszuli we wzór paisley. Brakowało mu tylko muszki, którą nosi od siedemdziesięciu lat jako znak rozpoznawczy.

Twierdzi, że po obozowych przeżyciach ubranie to dla niego kwestia nie tylko estetyczna, ale moralna: buduje poczucie odrębności i godności.

Był upalny ostatni dzień sierpnia 2024 r., nazajutrz po obchodach 80. rocznicy likwidacji getta w Litzmannstadt (tak Niemcy nazwali Łódź po tym, jak w 1939 r. wcielili ją do III Rzeszy). Weintraub przyleciał na tę uroczystość ze Sztokholmu jako jeden z honorowych gości – najstarszy z ocalałych.

Nie patrz w górę, patrz wokoło

Mówi o sobie Łodzermensch, człowiek łódzki, używając XIX-wiecznego określenia na typ zaradnego, oddanego miastu kosmopolity.

Urodził się przy Solnej 12, w żydowskiej dzielnicy. Ojciec Szmul Weintraub był tkaczem, ale w wypadku w fabryce stracił rękę, a tym samym pracę. Próbował z braćmi rozkręcać własny biznes, polegający na skupie starych ubrań i odsprzedaży na przędzę. Interes nie szedł i Szmul powiesił się w piwnicy.

Leon miał wtedy półtora roku. Nie zdążył taty zapamiętać – pamięta za to jedną ze swoich pierwszych zabawek: drewnianą rękę, którą znalazł pod łóżkiem.

Po śmierci męża Natalia Weintraub została sama z pięciorgiem dzieci: najmłodszym Leonem i jego czterema siostrami. W wywiadzie-rzecz zatytułowanym „Pojednanie ze złem. Historia chłopca z łódzkiego getta” Leon będzie wspominać: „Mama była ciepłą osobą, niską, okrągłą, ale nie otyłą. Miała złotą duszę, nigdy nie powiedziała złego słowa, nie słyszałem od niej skargi. Znosiła swój los. Powtarzała: »Nie patrz w górę, kto ma lepiej, patrz wokoło, ilu ludzi ma gorsze warunki niż my«”.

Jak damską pończochę

Matka nie miała czasu i pieniędzy, by dbać o edukację religijną Leona, dlatego szybko przestał chodzić do chederu i nigdy nie miał bar micwy. Ale zachowywali podstawowe nakazy judaizmu.

Leon pamięta, jak w piątek przed zmierzchem zanosił garnki z czulentem i cymesem do piekarni, żeby zostawić je w wygasłym piecu i wciąż ciepłe odebrać w szabas, kiedy nie wolno było rozpałać ognia. I jak pomagał mamie w robieniu Gefilte Fisch: ostrożnie nacinał skórę szczupaka przy głowie, zdejmował ją „tak jak się ściąga damską pończochę”, a po nafaszerowaniu zaszywał. Miał smukłe, zręczne palce i był w tym świetny – jak w przyszłości w pracy chirurga.

Pamięta też, jak przed świętem Pesach oddawali talerze i sztuce mężczyźni, który je „koszerował”: na podwórzu w wielkim kotle gotował wodę, a potem zanurzał w niej zastawę.

Więcej kontaktu z religią Leon miał w Warcie koło Sieradza, gdzie spędzał wakacje u ciotki: tam musiał kąpać się w mykwie i chodzić do bożnicy. Tam też

pierwszy raz poczuł się obcy – gdy polscy chłopcy obrzucili go kamieniami.

Ręce śmierdziały okropnie

Leon Weintraub: – Po paru latach od śmierci ojca mama sprzedawała wszystko, co mogła. I otworzyła małą pralnię na rogu Wschodniej i Kamiennej, obecnie Włókienniczej.

Pralnia była jednocześnie ich mieszkaniem: dwa pomieszczenia wypełnione parą, zapachem płatków mydlnych i krochmalu. W tej samej balii prało się i kąpało. Leon jako jedyny poza matką miał prawo do spania na łóżku (w pokoju-suszarni mieściły się tylko dwa).

Większość czasu spędzał poza domem. Z kolegami biegał po niskich dachach i ponurych podwórzach, bawił się w Indian i kowbojów, przegrzebywał rynsztoki jak poszukiwacz złota. W „Pojednaniu ze złem” wspominał: „Potem ręce śmierdziały okropnie, ale jak się znalazło pięć groszy, nie mówiąc o dziesięciu, to było niewyobrażone szczęście. Mogliśmy sobie kupić kilka cukierków”.

Na największą przyjemność w życiu Leona – seans filmowy – 10 groszy nie starczało. Miał inny sposób: wchodził za darmo jako dziecko, dołączając się do przypadkowych par. Najbardziej lubił filmy o Tarzanie i westerny z Kenem Maynardem. Wyniósł z nich przekonanie, że dobro zawsze zwycięża, a zło zostaje ukarane.

Miłość do kina została mu do dziś: ogląda przynajmniej jeden film dziennie. Nazywa to „prysznicem dla mózgu”.

To tak wygląda wojna?

W szkole był prymusem i w czerwcu 1939 r. dostał przepustkę do prestiżowego polskiego gimnazjum. Niecierpliwie czekał na 1 września.

Ten dzień został mu w uszach i pod powiekami. A niedawno miał okazję go sobie przypomnieć: – 7 października 2023 r.

byłem z żoną w Tel Awiwie, odwiedzałem rodzinę i przyjaciół. Obudziły mnie syreny. Wiedziałem od razu: to nie ambulans, to nie straż ogniowa. Ten sam ciągały, niekończący się ton... Od razu przeniósł mnie przestrzennie i czasowo do Łodzi 1 września 1939 r. Jeszcze słyszę: „Uwaga, uwaga, nadchodzi!”, ostrzeżenie przed bombowcami, które szły na Warszawę nad naszymi głowami.

Tak samo mocno zapamiętał 9 września 1939 r.: – Zebraliśmy się na Piotrkowskiej. Nadeszli. Niekończące się kolumny rosnących, tryskających zdrowiem żołnierzy. I ten grzmot zelówek podbitych gwoździami. Na bruku z kocich łbów grzmot był tak przenikliwy, że do dziś na wspomnienie ciarki przechodzą mi po plecach. Sprawiali wrażenie, że wszystko zmiażdżą, co im w drogę wejdzie.

Kilka dni później zobaczył pod domem scenę, która powtarzała się w miastach i wsiach całej Polski. Niemiecki żołnierz obcinał staremu Żydowi brodę. Bagnetem, razem ze skórą. Leon pomyślał szokowany: „To tak wygląda wojna?”.

Na początku 1940 r. Weintraubowie, tak jak 160 tys. łódzkich Żydów, musieli przenieść się do getta. Zamieszkali z siostrą matki i jej mężem. Potem wuj zmarł, ale dokwaterował się kuzyn. Osiem osób na 30 metrach kwadratowych.

Getto Litzmannstadt było wyjątkowe.

Zarządzający nim Hans Biebow i Chaim Rumkowski stop-

niowo zamienili je w obóz pracy, podzielony na resorty. W 120 fabrykach i zakładach produkowano wszystko, co potrzebne III Rzeszy.

Silni i zdrowi mieli prawo przeżyć. Niepracujący, a także przesiedlani z Kujaw i krajów zachodnich Żydzi, Romowie i Sinti byli stopniowo wy-

wożeni do Kulmhof: obozu natychmiastowej zagłady w Chełmnie nad Nerem.

Najbardziej pamiętny był wrześniowy tydzień 1942 r., nazwany Wielką Szperą: ze szpitali, placówek opiekuńczych i mieszkań Niemcy wraz z żydowską policją wyciągnęli wszystkie dzieci poniżej 10. roku życia, przewlekłe chorych i dorosłych powyżej 65 lat.

Wcześniej Rumkowski apelował o dobrowolne wydawanie bliskich na śmierć. „Ojcowie i matki – dajcie mi swoje dzieci! Oddajcie mi chorych. W ich miejsce możemy ocalić zdrowych” – wołał.

Tylko nie strzelać!

Leon pracował w resorcie metalowym, potem elektrycznym. Po 12 godzin dziennie, często zmarznięty, ciągle głodny – najczęściej jadł brukiew, na wspomnienie której do dziś ma mdłości.

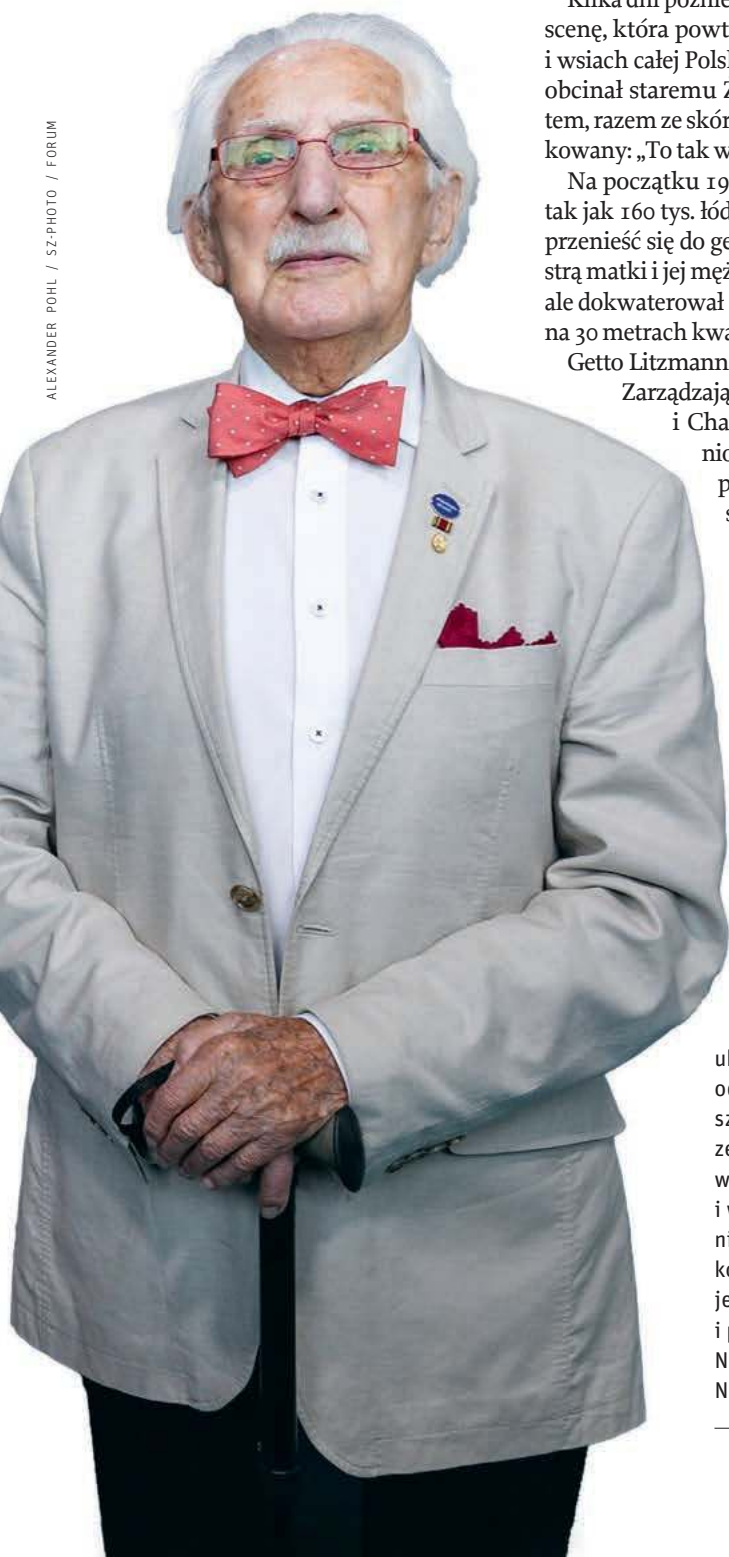
Wieczorami próbował odwrócić uwagę od głodu czytaniem: – Ale nie mogłem zasnąć, budziłem się z tym bolesnym uciskiem w dołku i jedyne, co wypełniało mi mózg, to myśl, jak wypełnić żołądek.

Tak przeżył do likwidacji getta w sierpniu 1944 r. Wtedy zrobił dla rodziny kryjówkę za szafą. Przetrwali tam kolejne oblawy, aż mama nie wytrzymała. Gdy usłyszała po niemiecku: „Jak kogoś znajdziemy, zastrzelimy na miejscu”, krzyknęła, też po niemiecku: „Tylko nie strzelać!”.

Wyszli z podniesionymi rękami. Nie wszyscy: jedna z siostr i kuzyn zostali za szafą. Kuzyn przeżył wojnę, siostra nie.

Leon Weintraub: – Róża ukrywała się z grupą socjalistycznych bojowników, →

LEON WEINTRAUB (ur. 1926) jest emerytowanym ginekologiem-położnikiem i chirurgiem. Więziony w łódzkim getcie, Birkenau i innych obozach. W 1946 r. zaczął studia medyczne w Niemczech, ukończył je w Warszawie. Po obronie doktoratu został ordynatorem oddziału ginekologiczno-położniczego w Otwocku. W 1968 r. sztykowany, w 1969 r. pod fałszywymi zarzutami zwolniony ze stanowiska. Załamany komunistycznym antysemityzmem, wyemigrował z rodziną do Szwecji. Od 1992 r. udziela wywiadów i wygłasza wykłady o doświadczeniach wojennych – po szwedzku, niemiecku i polsku. Zainicjował budowę Miejsca Pamięci w Dobrej koło Turku: pomnika żydowskich mieszkańców, wśród których byli jego przodkowie. Dwukrotnie żonaty, ma czworo dzieci, liczne wnuki i prawnuki. Znamca i kolekcjoner nagrań Sonaty Kreutzerowskiej. Na jego pogrzebie ma być wykonana jej trzecia część: Rondo (Allegro). Na zdjęciu w Monachium, lipiec 2024 r.





KRZYSZTOF SZYMCAK / EAST NEWS

→ złapano ją i przez Auschwitz-Birkenau wywieziono do Stutthofu, a później do Królewca, gdzie miała sprzątać miny z torów kolejowych. Tam zginęła. Nas zaprowadzono do więzienia, a rano na stację Radogoszcz, gdzie zostaliśmy załadowani do wagonów bydlęcych.

Zobaczymy się w środku

Powiedziano im, że jadą do pracy. Jechali dwa dni, stojąc w fekaliach, które wylewały się z wiadra ustawionego w kącie. Leon trzymał plecak, do którego spakował największe skarby.

Gdy zerwano mu go z ramion na rampie w Auschwitz, krzyknął: „Ale ja mam tam znaczki!”. Ktoś nachylił się nad nim i powiedział: „Tu się nie przychodzi, żeby żyć”.

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać, poganiany w stronę esesmanów, którzy kciukiem kierowali przybyłych w lewo lub prawo. Odwrócił się jeszcze do mamy – pamięta, że miała na sobie granatowy kostium i białą bluzkę, resztki różu na policzkach – pomachał jej i zawołał: „Mama, zobaczymy się w środku!”.

– Zginęła od razu tego dnia, gdy nas przywieziono.

Dopiero wiele lat po wojnie zapytał siostry o szczegóły. Mówiły, że w selekcji brał udział Josef Mengele, autor eksperymentów pseudomedycznych. Miał nachylić się nad mamą i o coś pytać, ona odpowiedziała, on skinął kciukiem w prawo. Ale jej starsza siostra kurczowo trzymała ją za rękę. A że sama została skierowana w lewo, pociągnęła Natalię ze sobą. Do komory gazowej.

Co tu robicie nago?

Nie wie, ile czasu był w Auschwitz II – Birkenau. Jak inni przywiezieni wtedy z Łodzi, nie został zarejestrowany. Ogolono mu głowę, podbrzusze i pachy, wysmarowano parzącym środkiem do dezynfekcji, kazano założyć drewniaki i przypadkowe ubrania. Ale nie zrobiono mu zdjęcia, nie wytatuowano numeru, nie posłano do pracy.

Dni spędzał pod swoim blokiem 10, starając się nie zwracać na siebie uwagi sadyistycznego kapo, Polaka. Patrzył na druty i czarne chmury przez całą dobę unoszące się z kominów. Po porcelanowych izolatorach domyślał się, że druty są pod napięciem, po smrodzie dymu – że palą ludzi. Więcej nie wiedział.

Był w stuporze, który przerwało nagłe olśnienie: – Zobaczyłem między blokiem 16 a 18 grupę nagich mężczyzn. Zapytałem: „Co tu robicie nago?”. Pokazali mi, że są rejestrowani, czekają na odzież, żeby wyjechać do pracy. I słowo „wyjechać” stało się sygnałem. Bez zastanowienia – tylko spojrzałem w lewo, w prawo: ani esesmanów, ani kapo – w cieniu budynku zrzuciłem łachy, które nosiłem już wiele tygodni. Wmieszałem się w ten tłum nagich mężczyzn. Na szczęście – jak wiele razy zadziałała moja dobra gwiazda – nie sprawdzali, że nie byłem rejestrowany. Wszedłem z nimi do pociągu.

To był projekt „Riese”

Trafił do obozu w Oberwüstegiersdorf na Dolnym Śląsku. Tam, znowu bez zastanowienia i pewności, że to dobra decyzja, podniósł rękę na apelu.

Leon Weintraub (na pierwszym planie) podczas obchodów 74. rocznicy likwidacji getta w jego rodzinnej Łodzi, 29 sierpnia 2018 r. W tle widoczny budynek stacji kolejowej, z której Niemcy wywozili łódzkich Żydów do obozów zagłady (obecnie muzeum).

– Jak zawołali, że szukają elektryków, zgłosiłem się. Tym razem wylądowaliśmy w Dörmhau, innym podobozie Gross-Rosen. To był projekt „Riese” [po niemiecku: Olbrzym – red.]. Żydzi drążyli system tuneli w Górach Sowich na przyszłe fabryki zbrojeniowe.

Ale tę wiedzę Weintraub posiadał długo po wojnie; prowadzony z rozmachem projekt inżynierski III Rzeszy do dziś ma swoje tajemnice.

– Nigdy nie byłem w środku. Doprowadzałem prąd do tego systemu. Dostałem żelazne buty, słupolazy, wdrapywałem się na słup, zahaczałem o niego pas, by się oprzeć, i mocowałem izolatory oraz przewody podawane z dołu.

– To mnie uchroniło od tego, co widziałem wiele razy z góry – dodał. – Esesmani, szczególnie młodzi, strasznie się nudzili. Brał taki esesman karabin za łufę i siedł, machając. Jak głowa więźnia była na drodze kolby, tym gorzej dla głowy. Prawie codziennie jeden-dwa trupy nosiliśmy z powrotem do obozu.

Jadłem, jadłem, jadłem

Widział też wieszanie więźniów za próbę ucieczki. Ale pracujący przy projekcie „Riese” umierali głównie z zimna, głodu i wycieńczenia. Według danych Muzeum Gross-Rosen z 13 tysięcy robotników przeżyło 8 tysięcy.

Leonowi pomogło, że został uznany za fachowca. Strażnicy pozwalali mu ogrzać się przy ognisku, do tego nie był kontrolowany przy wyjeździe do pracy i mógł nosić koc pod pasiakiem.

Najlepiej wspomina niemieckiego majstra: – Choć nie pamiętam, że bym z nim słowo zamienił. Ten człowiek sprawił, że jedyny raz, od września 1939 r. do wyzwolenia około 20 kwietnia roku 1945, powtarzam, jedyny raz w ciągu tych pięciu lat, siedmiu miesięcy i trzech tygodni najadłem się do syta.

Pewnego dnia majster przyjechał swoim motocyklem i pokazał straży pismo, że przejmuje za Leona odpowiedzial-

ność, bo potrzebuje go jako fachowca do szukania materiałów.

– Wyładowaliśmy w jakimś mieście, chyba Wałbrzychu. A tam zamiast magazynów – dom prywatny. Mieszkanie otworzyła nam młoda pani, usadzili mnie w kuchni przed miską zupy i takim stołem chleba, a sami poszli do sypialni. Nie wiedziałem nawet, co oni tam robią, widziałem tylko tę zupę i kromki. Wyłączyłem wszystko inne i jadłem, jadłem, jadłem.

Jakby ludzkie mrowisko

W lutym 1945 r. zaczęła się ewakuacja więźniów z podobozów Gross-Rosen. Leon przeżył trzydniowy „marsz śmierci” – bez jedzenia i okrycia, w drewniakach na gołych stopach. We wspomnianej rozmowie-rzecz opisywał: „Przedemną płatką śniegu i ludzie po horyzont, za mną płatką śniegu i ludzie po horyzont. Obok żołnierze SS z wilczurami. Słyszę strzał: więzień nie mógł dalej iść, upadł, więc został zabity”.

Kolejny przystanek: Flossenbürg, już w północno-wschodniej Bawarii.

Weintraub gorączkował, zamiast w kamieniołomie miesiąc spędził w kwarantannie. Pamięta spanie w czwórce na jednej pryczy i budzenie się ze sztywną stopą przy policzku, gdy kolejny towarzysz nie przeżył nocy.

Został mu stamtąd filmowy obraz: – Staliśmy na placu apelowym i się do siebie tuliliśmy, by chronić się od zimna. Przychodzili nowi, nowi, nowi. I w końcu ci, co byli w środku, próbowali się wydostać, bo pod tym naciskiem się dusili. A ci, co byli na zewnątrz, plecami do chłodu, chcieli wejść w głąb. I to wszystko poruszało się po tym placu, jakby ludzkie mrowisko. Jak obraz Breughla, apokaliptyczny.

Gdy przyjeżdża teraz do Flossenbürga na rocznicę wyzwolenia i staje w tym miejscu, ma wrażenie, że czuje drgania. A potem w hotelu – choć na ogół sypia spokojnie – krzyczy i rzuca się przez sen.

Wie to od żony; treści koszmarów nigdy nie pamięta.

A czemu panie zdziwione?

Ostatnim obozem Leona był Offenburg, w południowo-zachodnich Niemczech. Znowu miał szczęście: koledzy musieli rozbrajać miny, a on dostał bezpieczną pracę.

Wspomina: – Widocznie wyczytali w dokumentach, że mama miała pralnię i kazali mi pracować w bieliznie wartowników. Raz coś popsułem. Położyli mnie na stół, ręce i nogi pod stołem podwiązali sznurem, spodnie ściągnęli i na gołą... Nie pasem, nie szpicrutą, tylko gumowym szlafem wypełnionym piaskiem, żeby to ważyło. Miałem liczyć, przy ósmym uderzeniu straciłem przytomność, obudziłem się na pryczy. Następne dni mogłem leżeć tylko na brzuchu. Ale przeżyłem.

Przeżył też tyfus plamisty, który zdiagnozowano u niego już po wyzwoleniu przez armię amerykańską. Miesiąc leżał w śpiączce. Ważył 35 kilo. Do zdrowia wracał w prowadzonym przez Francuzów sanatorium, gdzie co rano do łóżka podawano karafkę czerwonego wina i paczkę papierosów marki Gauloises.

– I znowu: jaki przypadek! Sanatorium było nad Jeziorem Bodeńskim, odwiedzałem kumpli w pobliskiej Konstancji. We wrześniu 1945 r. przychodzę do nich do hotelu, siedzą z nimi dwie młode kobiety. Były tam tylko tego dnia, przejazdem. Przedstawiłem się. Krzyknęły: „Weintraub?! Łódzianin?”. „A dlaczego panie zdziwione?”. „Bo my jesteśmy z Bergen-Belsen i tam spotkałyśmy trzy dziewczyny: Lolę, Frankę i Małą”. Moje siostry!

Tego samego dnia ruszył w drogę do Bergen-Belsen. To był kawałek drogi, kilkaset kilometrów na północ. – A tam siostry od kilku dni siedziały w żałobie, bo przyjaciel rodziny widział mnie w bloku dziesiątym w Birkenau i był świadkiem, jak ten cały blok poszedł do gazu. Nie wiedział, że kilka dni wcześniej udało mi się stamtąd umknąć.

Być użytecznym

Za datę powtórnych narodzin uważa 11 listopada 1946 r.: wtedy zaczął studia medyczne w Getyndze. Rok później był już żonaty ze sławistką Katją Hof, Niemką z Berlina, i oczekiwali narodzin dziecka.

A potem? Drugie życie Leona Weintrauba to już inna opowieść. Gdy się spotkali, nie było na nią czasu – tego dnia miał w rozpisce jeszcze inne wywiady. Zadzwoń, by przesunąć kolejny i z uśmiechem powiedział do mnie: – Szafa gra! Jeszcze coś pani leży na sercu?

– Na przykład: jak po tych doświadczeniach można zachować radość i chęć życia? Jest pan radosnym człowiekiem.

– Pogodnym – poprawił. – Po prostu cenię to, że przeżyłem. Że się hitlerowcom nie udało mnie zamordować. Dlatego jestem nieuleczalnym optymistą.

– Użytecznym optymistą – nawiązałam do jego motto.

– Być użytecznym: ta myśl była myśłą przewodnią wielu moich współcześnie. Żeby żyć nie tylko sobie, aby nie chować dla siebie doświadczenia i talentów, lecz się nimi dzielić.

– Rozumiem, że to daje poczucie sensu życia? Bo nie jest pan wierzący, prawda? – dopytałam.

– Nie! Nie chcę urażać niczyich uczuć religijnych, ale dla mnie jako przyrodzika personifikacja pojęcia „bóg” – że siedzi tam w niebiosach starszy pan z brodą, który kieruje naszym życiem – jest nie do przyjęcia.

Miał dla mnie jeszcze kilka bon motów. Nie mógł się zdecydować, który będzie lepszy na zakończenie. Wybrałam ten: – Astronomowie nam pokazują, że takich galaktyk jak nasza są tryliony! Ziemia jest pyłkiem w kosmosie. Na tym małym pyłku dzielić mieszkańców jednego gatunku *homo sapiens* na tysiące kategorii, organizacji, niekiedy walczących ze sobą – jest czystym nonsensem.

© KALINA BŁAŻEJOWSKA

Korzystałam m.in. z książki Magdy Jaros i Leona Weintrauba „Pojednanie ze złem. Historia chłopca z łódzkiego getta”.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 4/2025

REDAKCJA: Wojciech Pięciak | PROJ. GRAF. Marek Zalejski

OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska

FOTOEDYCJA: Grażyna Makara

TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak

OKŁADKA: Pomnik Gleis 17 – Tor 17 na stacji Grunewald w Berlinie.

Częścią tego pomnika jest rampa przy torze numer 17, skąd w czasie II wojny światowej Niemcy deportowali Żydów z Berlina do obozów śmierci. 2024 r. / FOT. Michał Kuźmiński

PARTNERZY WYDANIA



WYDANIE DODATKU „WOKÓŁ AUSCHWITZ”
ZOSTAŁO DOFINANSOWANE Z DOTACJI FUNDACJI
WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ



Echa przeszłości

DR CLAUS HEIMES, DYREKTOR GOETHE INSTITUT W KRAKOWIE:

Żyjemy w czasach, gdy do pracy z pamięcią można angażować nowoczesne technologie, w tym hologramy, sztuczną inteligencję. To próba opowiadania na nowo historii.

KINGA DAWIDOWICZ: Jak Goethe Institut włącza się w obchody wyzwolenia Auschwitz?

CLAUS HEIMES: Wraz z Włoskim Instytutem Kultury w Krakowie prezentujemy wystawę prac więźniów obozów koncentracyjnych Sachsenhausen i Auschwitz. Współtworzyliśmy również publikację towarzyszącą wystawie, która jest refleksją nad 80. rocznicą wyzwolenia Auschwitz. Ten projekt, zatytułowany „Echa nadziei: sztuka i pamięć o Holokauście”, powstał dzięki współpracy różnych instytucji: Włoskiego Instytutu Kultury w Krakowie, Centro Studi Movimenti w Parmie oraz Goethe Institut w Krakowie. A także dzięki zaangażowaniu wielu osób, w szczególności kuratora i edukatora Salvatore Trapaniego, edukatora Muzeum Auschwitz-Birkenau Michele Andreoli oraz historyka sztuki Tomaso Montanariego.

Salvatore Trapani w swojej ostatniej publikacji „Di fronte alla Shoah – Arte fra testimonianza ed empatia” trafnie nakreślił ewolucję tego, co obecnie określamy jako nurt artystów „empatycznych”.

Na czym ten nurt polega?

Jest to ruch, który przekształca pamięć w narzędzie krytyki społecznej i odnowy etycznej. Ta wystawa ma być jego najpełniejszą demonstracją, poprzez ścieżkę wystawienniczą, która przeplata przykłady tajnej sztuki tworzonej w obozach koncentracyjnych i zagłady, zrodzonej z pragnienia życia więźniów, ze współczesnymi językami artystycznymi. Jedenastu artystów biorących udział w wystawie to w niektórych przypadkach bezpośredni potomkowie ocalałych z Holokaustu.

No właśnie, coraz większa odległość czasowa dzieli nas od tamtych zdarzeń. Jak nie pozwolić na to, by pamięć o Holokauście wyblakła? Szczególnie wśród młodych ludzi.

Temat obozów koncentracyjnych jest oczywiście nadal bardzo obecny zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. Do dziś jest on przedmiotem ożywionej debaty w obu krajach (i poza nimi). Oprócz Instytutów Goethego i niemieckich placówek dyplomatycznych za



Dr Claus Heimes

granicą, liczne organizacje pamięci aktywnie i z zaangażowaniem przyczyniają się do tego poprzez szeroki zakres prac, zwłaszcza wśród młodych ludzi. Niemieckie uniwersytety i inne instytucje badawcze są bardzo aktywne na polu badań i przekazywania wiedzy historycznej, docierając szeroko do opinii publicznej w wielu krajach.

W takim razie jak edukować skutecznie? Bez tonu moralizatorskiego, pouczającego.

Najlepiej w tym obszarze sprawdzają się m.in. świadkowie. Przykład może stanowić archiwum wywiadów, które Steven Spielberg zgromadził w trakcie pracy nad swoim filmem „Lista Schindlera”. Sprawie edukacji i mediacji poświęciło

się wiele innych inicjatyw, nie tylko instytucje polskie czy niemieckie, ale także amerykańskie i izraelskie, organizacje z całego świata.

Żyjemy w czasach, w których do pracy z pamięcią angażujemy nowoczesne technologie: VR, AR, hologramy. Istnieje również szeroko dyskutowany i często kontrowersyjny obszar gamingu, który opiera się na wydarzeniach historycznych. Shoah Foundation przygotowała stronę internetową iWitness, która umożliwia dialog ze świadkami Holokaustu za pomocą ich hologramów i sztucznej inteligencji. To wszystko jest próbą opowiadania historii, uwrażliwiania na nią w naszej rzeczywistości, w której nowoczesne technologie są immanentną częścią życia.

W zadania i cele Instytutu wpisana jest formuła: „dla różnorodności, zrozumienia i zaufania” – pracy na rzecz porozumienia między Niemcami, Europą i światem. Które obszary współpracy wymagają największej uwagi?

W obecnym statucie Goethe Institut, w jego pracy programowej, kwestia pamięci zajmuje centralne miejsce. Jest to odpowiedź na bardzo trudną sytuację geopolityczną w Europie i na świecie, radykalnie prawicowe partie, które dochodzą do władzy. Za granicą państwa, w którym znajduje się Auschwitz, od trzech lat trwa wojna, która rzuca głęboki cień na Europę, a w samej Polsce przywołuje traumatyczne echa przeszłości nawet w tych pokoleniach, które osobiście nie doświadczyły okrucieństwa II wojny światowej. Współczesna praca z pamięcią ma za zadanie nieustannie uwrażliwiać i przypominać o trudnej przeszłości, pomagać wyciągać wnioski.

Dzięki tej pracy pamięć o nazistowskich obozach nie znika również z życia społecznego w Niemczech.

Tak, temat ten jest bardzo obecny w Niemczech, i to nie tylko w szkołach, gdzie każdy uczeń ma z nim do czynienia – wielu z nich odwiedza miejsca związane z Holokaustem. Wizyta w Auschwitz stanowi również część podstawowego szkolenia niemieckich dyplomatów.

© Rozmawiała KINGA DAWIDOWICZ
Współpraca AGNIESZKA MARECKA

Pełna wersja wywiadu dostępna jest na stronie www.TygodnikPowszechny.pl

Pamięć to także obowiązki

PROF. MATTHIAS OPPERMANN, HISTORYK:

Odpowiedzialność za historię oznacza nie tylko zapewnienie, że zbrodnie się nie powtórzą, lecz też budowanie partnerskich relacji z krajami, które szczególnie ucierpiały od niemieckiej okupacji.

ŁUKASZ GRAJEWSKI: Niemieccy politycy stale podkreślają, że Niemcy ponoszą odpowiedzialność za zbrodnie II wojny światowej. Czy te słowa przekładają się na coś konkretnego?

MATTHIAS OPPERMANN: Sądzę, że większość polityków ma na myśli przede wszystkim potrzebę podtrzymywania pamięci i wyciągania z niej wniosków. Odpowiedzialność oznacza jednak nie tylko zapewnienie, że takie zbrodnie się nie powtórzą, ale też traktowanie ofiar i ich potomków z szacunkiem. Obejmuje to budowanie partnerskich relacji z krajami i społeczeństwami, które szczególnie ucierpiały od niemieckiej okupacji.

Niestety to nie zawsze tak wygląda. Dam przykład: gdy USA szykowały się do wojny w Iraku w 2003 r. i Polska wsparła te plany, Jacques Chirac skrytykował Polaków, mówiąc, że „zmarowali dobrą okazję, żeby siedzieć cicho”. Zgodził się z nim Gerhard Schröder [ówczesny kanclerz z SPD – red.]. To nie jest właściwe podejście. Można mieć odmienne stanowiska, ale błędem po stronie Francji i Niemiec było mówienie, że Polacy dopiero co dołączają do europejskiego klubu i nie powinni się wychylać. To samo można powiedzieć o niemieckiej polityce wobec Rosji w ostatnich dekadach, która często ignorowała interesy krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Uważam, że odpowiedzialność oznacza próbę nawiązania współpracy i szukania punktów wspólnych z naszymi bezpośrednimi sąsiadami, tak jak miało to miejsce za czasów Helmuta Kohla [kanclerz w latach 1982-98 – red.]. Odpowiedzialność przekłada się na obowiązek współpracy.

W sondażu, który ośrodek Ipsos prowadził w 2024 r. w Niemczech na zlecenie Instytutu Pileckiego, 59 proc. respondentów stwierdziło, że większość ofiar Holocaustu stanowili niemieccy Żydzi. W istocie liczba



Prof. Matthias Oppermann

zamordowanych niemieckich Żydów to ok. 165 tys., a polskich Żydów 3 mln. Jak państwo niemieckie może zapobiec dalszemu spadkowi wiedzy o Holocaustzie?

Mamy tu kilka wyzwań. Po pierwsze, lekcje historii w szkołach są coraz bardziej marginalizowane. Na uniwersytetach historia polityczna jest coraz częściej wypierana przez historię kulturową. Również rosnący wpływ wątków postkolonialnych przyczynia się do tego, że główne dotąd tematy, jak Holocaust i niemieckie zbrodnie wojenne, schodzą na dalszy plan. W Niemczech możliwe jest studiowanie historii bez uczestnictwa choćby w dowolnych zajęciach dotyczących okresu narodowego socjalizmu.

Przez długi czas żywno też nadzieję, że wiele można osiągnąć dzięki świadkom historii. Ale świadkowie skupiają się na własnych przeżyciach, a to musi być osadzone w szerszym kontekście historycznym. Wymaga to solidnej wiedzy o faktach, liczbach i procesach historycznych. Bez tego na niewiele się to zda, pomijając już fakt, że wkrótce ostatni świadkowie odejdą od nas.

Czy obywatele Niemiec, którzy mają korzenie migracyjne, tj. ich rodzice lub dziadkowie przybyli z innych krajów, też powinni czuć się odpowiedzialni za niemieckie zbrodnie z czasu II wojny światowej?

Zakładam, że Niemcy są narodem politycznym z kulturowymi fundamentami i historią. W przypadku narodu politycznego przynależność do niego uwarunkowana jest od posiadania obywatelstwa. Oznacza to, że dla każdego, kto czuje się częścią Niemiec i narodu niemieckiego, cała niemiecka historia powinna być istotna, nawet jeśli nie jest to historia jego przodków. Obejmuje to również, a nawet zwłaszcza, pamięć o Holocaustzie.

Rząd Olafa Scholza przygotował nową koncepcję kultury pamięci, która próbuje zintegrować różne doświadczenia historyczne: Holocaust, kolonializm i historie migrantów. Jednak takie rozszerzenie niesie niebezpieczeństwa. Jeśli wszystkie te tematy staną się równie ważne, pamięć o Holocaustzie i niemieckiej odpowiedzialności może stracić na znaczeniu. To mogłoby osłabić wspólny fundament historyczny.

Co powinno się w takim razie zmienić?

Kultura pamięci musi być silniej akcentowana w polityce. Szczególnie ważna jest ochrona żydowskich obywateli. To musi być traktowane priorytetowo w obliczu odradzającego się antysemityzmu. Na całym Zachodzie istnieją jego różne formy, w tym ta powiązana bezpośrednio z islamem. Lewica często unika otwartego poruszania tego aspektu. Jednak nasza historyczna odpowiedzialność zobowiązuje nas do zajęcia jasnego stanowiska i podjęcia konsekwentnych działań przeciw antysemityzmowi we wszystkich jego formach.

© Rozmawiał ŁUKASZ GRAJEWSKI

PROF. MATTHIAS OPPERMANN pracuje w berlińskiej centrali Fundacji Konrada Adenauera, w której kieruje działem historii współczesnej.

WIARA W SKALPEL

Pozorowane zabiegi medyczne mogą mieć porównywalną skuteczność z prawdziwymi operacjami. Efekt placebo jest w medycynie wszechobecny – pojawia się nawet w chirurgii.

MARZENA ZDANOWSKA



PLACEBO – MIMO ŻE SAMO W SOBIE nie zawiera czynnika leczniczego i jego podanie wiąże się z pewną dawką oszustwa – zajmuje w naukach medycznych istotne miejsce. Każdy lek dopuszczany do obrotu w Unii Europejskiej czy USA jest wcześniej testowany podczas badań klinicznych. Ich celem jest m.in. udowodnienie, że nowa substancja działa lepiej niż sama wiara pacjenta w to, że zostanie wyleczony, czy innymi słowy: że działanie leku jest silniejsze niż działanie efektu placebo.

Podczas badań klinicznych leków porównuje się stan zdrowia osób podzielonych na dwie grupy – w jednej z grup uczestnikom podaje się substancję czynną, której działanie chcemy przetestować, a w drugiej badani otrzymują pi-

gułki lub zastrzyki o składzie neutralnym. Żeby wyniki badania były wiarygodne, ani osoby otrzymujące lek, ani personel, który go podaje, nie powinni wiedzieć, do której grupy włączony był dany uczestnik – to tak zwana próba „podwójnie ślepa”. Samo zachowanie lekarza czy pielęgniarki, którzy wiedzą, komu podają substancję czynną, mogłoby sugerować uczestnikom, czy mają spodziewać się poprawy stanu zdrowia, czy nie. A wiadomo przecież, że wiara potrafi czynić cuda. W końcu na niej opiera się fenomen efektu placebo.

Trudno dziś wyobrazić sobie rozwój farmakologii bez wykorzystania w badaniach placebo. A czy dałoby się zastosować podobne metody badawcze w przypadku innych interwencji medycznych? Czy można wykorzystać placebo do sprawdzenia skuteczności zabiegu chirurgicznego? Skąd właściwie mamy pewność, że poprawę samopoczucia po operacji zawdzięczamy operacji, a nie mocnej wierze w to, że po niej pocujemy się lepiej?

Operacja pozorowana

Kiedy słyszymy słowo „operacja”, prawdopodobnie większość z nas myśli o bardzo poważnych procedurach, takich jak przeszczepy narządów, zabiegi na otwartym sercu, usuwanie guzów nowotworowych lub chirurgiczne zespolenie złamanej kości. W takich przypadkach pytanie o skuteczność podobnych działań i porównywanie jej z grupą kontrolną wygląda jak pomysł szaleńca. Jednak większość wykonywanych na świecie interwencji chirurgicznych nie ma na celu ratowania życia, lecz poprawę jego jakości – są to np. zabiegi mające zmniejszyć ból stawu kolanowego lub ból pleców, leczyć refluks bądź ułatwić redukcję wagi. W wielu przypadkach leczenie chirurgiczne rzeczywiście przynosi pacjentom ulgę. Tylko skąd wiadomo, czy odczuwana ulga nie byłaby podobna w przypadku zabiegu placebo? I jak właściwie miałyby wyglądać takie udawane operacje?

Choć nie są przeprowadzane zbyt często, zabiegi placebo stosuje się w grupach kontrolnych od kilku dekad. Już w 1959 r.

Leonard A. Cobb i współpracownicy opublikowali w „New England Journal of Medicine” artykuł opisujący badanie przeprowadzone z wykorzystaniem grupy placebo i podwójnie ślepej próby. Sprawdzano w nim skuteczność zabiegu podwiązania tętnic piersiowych wewnętrznych w celu zmniejszenia dolegliwości bólowych występujących w dławicy piersiowej. Ani pacjenci, ani opiekujący się nimi medycy nie wiedzieli, u którego z operowanych chirurg w czasie zabiegu dokonał podwiązania tętnic, a była to jedyna różnica między porównywanymi grupami. Wszyscy uczestnicy przechodzili te same badania, zostali poddani takiemu samemu znieczuleniu, ich tkanki były nacinane w ten sam sposób, a chirurg dopiero w trakcie zabiegu dostawał wylosowaną kartkę z informacją, do której grupy ma trafić operowany pacjent, później zaś nie miał z badanymi kontaktu. Autorzy artykułu stwierdzili jednoznacznie, że poprawa nastąpiła u wszystkich pacjentów, co potwierdzono za pomocą wywiadów, prób wysiłkowych i badań EKG. Co więcej – osoba, u której poprawa była najbardziej imponująca, należała do grupy kontrolnej. Tym samym udowodniono, że efekty przypisywane wcześniej zabiegowi chirurgicznemu były jedynie efektem placebo.

Upuszczanie krwi

Procedura podwiązania tętnic piersiowych wewnętrznych nie zdążyła zdominować się w medycynie na dłużej, jednak dobrze znane są przypadki innych zabiegów, które stosowane były przez wiele lat tylko dlatego, że u pacjentów często obserwowano po nich poprawę. Znany dobrze mieszkańcom Krakowa XIX-wieczny lekarz Józef Dietl wykazał na przykładzie zapalenia płuc, że tego rodzaju myślenie może prowadzić do błędnych wniosków. W czasach Dietla panowało w środowisku lekarskim przekonanie, że najwłaściwszym leczeniem w przypadku tej choroby jest sprawdzona od pokoleń metoda – upuszczanie krwi.

Argumentowano, że choć nie wszystkich chorych udaje się uratować przed śmiercią, u większości z nich po zastosowaniu zabiegu następuje poprawa. Dietlowi to jednak nie wystarczało i w swojej praktyce lekarskiej prowadził szczególne obserwacje pacjentów szukających



Operacja usuwania „kamienia szaleństwa” z głowy. Obraz olejny namalowany przez naśladowcę Jana Sandersa van Hemessena, XVI wiek.

→ pomocy w szpitalu. W 1848 r. ukazała się publikacja, w której przedstawił wyniki zebrane w ciągu pięciu lat pracy. Zawierała statystyki pokazujące, że wśród hospitalizowanych z powodu zapalenia płuc i leczonych przez upuszczanie krwi śmiertelność była podobna jak wśród tych leczonych środkami wymiotnymi i wynosiła około 20 proc. Wśród pacjentów z trzeciej grupy, leczonej jedynie dietą, śmiertelność oscylowała około 7 proc.

Wydawać by się mogło, że prawa rządzące medycyną w czasach Dietla szczególnie należą do przeszłości. Jednak jego słowa niekiedy zadziwiająco przypominają wypowiedzi współcześnie publikowane w renomowanych czasopismach medycznych. W połowie XIX w. pisał tak: „W ostatnich dziesięcioleciach nasza wiedza urosła do zaskakujących wręcz rozmiarów, za to nasze możliwości pomocy chorym zmniejszyły się, nawet jeśli nie w takim samym stopniu, to jednak bardzo znacząco. Nie dlatego, że mając większą wiedzę możemy mniej zdziałać niż nasi przodkowie z ich ograniczoną wiedzą, ale dlatego, że mając właśnie większą wiedzę musimy w wielu przypadkach uznać bezcelowość i bezużyteczność niejednej terapii” (przekład z niemieckiego Marzena Szczudlik).

Dla porównania, redaktorzy pisma „The Lancet” w 2020 r., podejmując temat badań skuteczności interwencji chirurgicznych z wykorzystaniem grup placebo, apelowali: „Tylko dzięki wytrwałemu dążeniu do krytycznej oceny zabiegów chirurgicznych przy użyciu najbardziej solidnych badań możemy zakwestionować i porzucić nieskuteczne procedury, aby skupić się na tych obszarach, gdzie operacja rzeczywiście leczy i uzdrowia”. Innymi słowy, medycyna oparta na danych naukowych powinna nie tyle dążyć do poszerzania dostępnej dla pacjentów oferty usług, co rzetelnie weryfikować, czy oferowane możliwości są rzeczywiście skuteczne.

Badać czy nie badać?

Współczesne dyskusje dotyczące stosowania placebo w badaniu zabiegów chirurgicznych nabrały tempa po publikacji w 2014 r. przez pismo „The BMJ” przeglądu dostępnych badań na ten temat autorstwa Karoliny Wartolowskiej i współpracowników. Media najchętniej

cytowały informację, że ponad połowa (51 proc.) z przeanalizowanych interwencji chirurgicznych miała skuteczność nieodróżnialną od skuteczności zabiegu placebo.

Ten wysoki odsetek nie oznacza wcale, że większość stosowanych zabiegów chirurgicznych nie działa. W przeglądzie uwzględniono dostępne artykuły z badań, w których skuteczność interwencji chirurgicznych porównywano z grupą placebo, a takich badań jest niewiele – znaleziono ich wtedy 53. Przegląd dotyczy więc tylko pewnej niereprezentatywnej grupy zabiegów. Ale trzeba też dodać, że wśród nich znalazły się także niezwykle często wykonywane operacje, np. mające leczyć ból kolana. We wnioskach autorzy podkreślili, że bez przeprowadzania dobrze zaprojektowanych badań z grupą kontrolną placebo nie będziemy mieli podstaw, żeby kwestionować zasadność stosowania nieskutecznych zabiegów. Niestety przeprowadzanie takich badań rodzi wiele dylematów etycznych.

W przypadku placebo
duża tabletką działa
lepiej niż mała,
czerwona lepiej niż biała,
droższa lepiej niż tańsza,
**a zastrzyk działa lepiej
niż dowolna pigułka.**

Jednym z głównych argumentów przeciw wprowadzaniu grup kontrolnych placebo w badaniu interwencji chirurgicznych jest troska o bezpieczeństwo pacjentów. W testach klinicznych leków przyjmowanie substancji placebo nie wiąże się w zasadzie z żadnym ryzykiem. Inaczej niestety jest w przypadku „udawanych” operacji. Mimo że są one stosunkowo bezpieczne, nie da się zupełnie wykluczyć negatywnych reakcji organizmu na znieczulenie i podawane leki czy powikłań związanych z zabiegiem. Ryzyko, na jakie narażony byłby pacjent w przypadku zabiegu placebo, nie jest przy tym równoważone przez potencjalne korzyści terapeutyczne.

Niektórzy proponują rozwiązać ten problem przez podawanie minimalnych dawek leków i anestetyków w grupie kontrolnej i ograniczanie „operacji” do nacięć na skórze, które sugerowałyby później, że pacjent przeszedł wszystkie etapy zabiegu. Takie działania miałyby być wystarczające, żeby wywołać u uczestników efekt placebo. Wprawdzie podejście to rzeczywiście niweluje ryzyko komplikacji w grupie kontrolnej, jednak znacznie utrudnia odpowiedź na pierwotne pytanie – w jakim stopniu poprawa stanu zdrowia nastąpiła na skutek zabiegu chirurgicznego? Jeśli w jednej grupie pacjenci dostawaliby większe dawki leków przeciwbólowych, przeciwzapalnych, antybiotyków i anestetyków, a ich organizmy musiałyby bardziej angażować się w procesy gojenia ran pooperacyjnych, nadal nie wiadomo byłoby, w jakim stopniu za poprawę stanu zdrowia odpowiedzialny jest kluczowy element operacji, a w jakim np. podawane leki. Przeprowadzanie takich porównań w zasadzie traci rację bytu.

Kasa chorych

Kolejnym problemem jest wytypowanie tych zabiegów, które miałyby być weryfikowane w badaniu z grupą placebo. Żeby usprawiedliwić ryzyko podejmowane przez pacjentów z grupy kontrolnej, należy wykazać, że skuteczność danego zabiegu budzi wątpliwości. Tak było choćby w przypadku eksperymentalnej metody leczenia choroby Parkinsona, w której przeszczepiano chorym tkankę istoty czarnej z neuronami dopaminergicznymi. Metoda była nowa, a jej skuteczność nie została wcześniej udowodniona, więc zasadne było jej przetestowanie (badanie nie potwierdziło terapeutycznej skuteczności tego zabiegu).

Ale co z zabiegami, które stosuje się od lat? Jak odróżnić te, które przynoszą poprawę na skutek kluczowego elementu operacji, od tych, które przynoszą poprawę jedynie na zasadzie efektu placebo – zanim przeprowadzi się badania z grupą placebo? Co miałyby wzbudzać wątpliwości w przypadku zabiegów, po których chory odczuwa ulgę lub poprawia się jego funkcjonowanie?

Z dostępnej literatury wiemy już, że wśród stosowanych obecnie zabiegów znajdują się również takie, których skuteczność nie jest wyższa niż placebo. Dla



George Walker „Poszukiwaczki pijawek”, 1815 r.

tego rozwiązaniem nie może być po prostu założenie, że weryfikacja skuteczności operacji nie jest potrzebna. Ich dalsze przeprowadzanie naraża kolejnych pacjentów na ryzyko, z jakim wiąże się każdy zabieg chirurgiczny. Trzeba też zauważyć, że system opieki zdrowotnej zawsze dysponuje ograniczonymi środkami finansowymi. Jeśli te są wydawane na zabiegi działające nie lepiej niż placebo, odbiera to możliwość leczenia innym chorym, dla których pieniędzy już nie starcza.

Droga do wiedzy

Etyczna ocena stosowania „operacji placebo” jest problematyczna. Z jednej strony – chcemy mieć pewność, że stosowane przez nas operacje są uzasadnionymi interwencjami medycznymi, z drugiej – zdobycie wiedzy o efekcie placebo w zabiegach chirurgicznych wymaga prowadzenia „pozorowanych” operacji. W przeszłości podobne dylematy towarzyszyły badaniom, w których grupa kontrolna nie otrzymywała żadnej terapii.

Pierwsza połowa XX w. to w krajach takich jak Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania czas rutynowego wręcz usuwania migdałków dzieciom cierpiącym na nawracające zapalenie gardła. Zabieg w wielu kręgach był wyrazem troski opiekunów, a niekiedy też ich statusu lub po prostu efektem mody na obejmowanie najmłodszych wszelkimi dobrodziejstwami płynącymi z rozwoju medycyny.

Druga połowa tego stulecia to proces odwrotny – rośnie lista wątpliwości, jeśli chodzi o stosowanie procedury na masową skalę, i stopniowo maleje liczba

zabiegów. W 1954 r. brytyjski doktor J.Z. Garson składał kilkakrotnie do Królewskiego Kolegium Lekarzy Rodzinnych propozycję przeprowadzenia randomizowanych kontrolowanych badań klinicznych, które miałyby odpowiedzieć na pytanie o korzyści płynące z zabiegu. W swoim projekcie Garson planował porównanie zdrowia pacjentów przydzielonych losowo do trzech grup – leczenia chirurgicznego, antybiotykoterapii i grupy kontrolnej. Projekt wzbudzał liczne kontrowersje i po trzech latach dyskusji został ostatecznie odrzucony. Jednym z ważniejszych argumentów przeciwko przeprowadzeniu badań była – oczywiście – troska o zdrowie uczestników. Oponenti argumentowali, że pozostawienie dzieci z trzeciej grupy bez terapii byłoby wobec nich niesprawiedliwe. Dziś prawdopodobnie o tę grupę martwilibyśmy się najmniej.

Poza dylematami natury etycznej na drodze badań z grupą placebo stoi też istotna trudność związana z rekrutacją uczestników. O ile można liczyć na kolejkę chętnych do sprawdzania skuteczności terapii eksperymentalnych, które otwierają nowe możliwości leczenia nieuleczalnych dotychczas chorób, trudniej spodziewać się tylu chętnych do sprawdzania rutynowo stosowanych operacji. Jeśli dany pacjent chciałby skorzystać z zabiegu, który przyniósł już ulgę jego krewnym i znajomym, a lekarz dałby mu wybór między takim zabiegiem a udziałem w badaniu, w którym zostanie przeprowadzony taki zabieg lub zabieg pozorowany... Nie do końca wiadomo, co mia-

łoby w tej sytuacji zachęcać chorego do udziału w loterii.

Gdyby jednak w jakiś cudowny sposób dało się pokonać te wszystkie przeciwności i badania zabiegów chirurgicznych z grupą kontrolną placebo stałyby się standardem, na koniec i tak pozostawałby do rozwiązania ostateczny dylemat – jakie rekomendacje wprowadzić w przypadku operacji skutecznych dokładnie w takim stopniu jak efekt placebo, jeśli korzyści w obu przypadkach są większe niż brak działania?

Duża czerwona tabletką

Kiedy przegląda się raporty z badań skuteczności zabiegów chirurgicznych, trudno czasem zrozumieć, skąd właściwie biorą się te wszystkie pozytywne wyniki w grupach kontrolnych. Badacze zjawiska tłumaczą, że nie należy w całości przypisywać ich efektowi placebo. W niektórych chorobach, szczególnie tych, gdzie głównym objawem jest ból, okresy lepsze przeplatają się z gorszymi. Czasem wystarczy poczekać, żeby odczuć ulgę. W innych przypadkach za poprawę może odpowiadać normalna regeneracja organizmu, nieważne – operowanego czy nie. W jeszcze innych możemy mieć do czynienia z nieswoistym działaniem podawanych leków czy przeprowadzanych zabiegów. Ale czasem będzie to rzeczywiste efekt placebo, czyli wiara, która czyni cuda.

Jak wskazują badania nad efektem placebo, poprawa jest bardziej widoczna, kiedy placebo jest większe, droższe, wygląda poważniej. Duża tabletką działa lepiej niż mała, czerwona działa lepiej niż biała, droższa działa lepiej niż tańsza, a zastrzyk działa lepiej niż każda inna pigułka. Ian Harris, autor książki „Surgery, the Ultimate Placebo”, wskazuje, że w tej perspektywie zabiegi chirurgiczne, jako poważne, drogie, angażujące wielu ludzi i wymagające pobytu w szpitalu, będą niezwykle skuteczne w wywoływaniu efektu placebo. Dlatego też samo przejście operacji, nawet jeśli pominięto w niej kluczowy element terapeutyczny, będzie niejednokrotnie skutkowało znaczną poprawą stanu zdrowia.

Zrozumienie zjawiska placebo może przekraczać możliwości medycyny – ale medycyna nie może sobie pozwolić na to, by o tym zjawisku zapomnieć.

© MARZENA ZDANOWSKA

1 Nagroda za przewrót

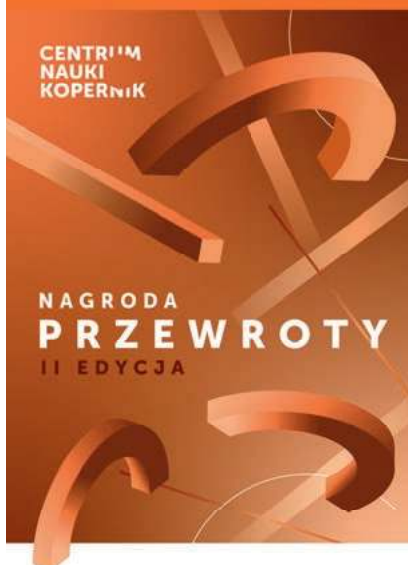
W 550. rocznicę urodzin swojego patrona Centrum Nauki Kopernik ustanowiło własną Nagrodę. Nawiązuje ona do odkrycia heliocentrycznej budowy Układu Słonecznego, które doprowadziło nie tylko do przewrotu w astronomii, ale też zapoczątkowało zmianę sposobu myślenia o świecie i miejscu, jakie zajmuje w nim człowiek. Postulowany ponad 100 lat temu przewrót w edukacji, zgodnie z którym „dziecko staje się Słońcem, wokół którego krążąc mają poczynania wychowawcze”, nie dokonał się do dziś. Pomimo tego powstaje wiele innowacyjnych inicjatyw edukacyjnych, będących początkiem zmiany. O niektórych jest głośno, inne wdrażane są kameralnie. Warto je poznawać i doceniać, by stały się inspiracją dla innych i wzmacniały dyskusję o kształcie edukacji, wykorzystywaniu szans oraz wyzwaniach przyszłości. Te ostatnie stanowią wielką niewiadomą. Aby sobie radzić w zmieniającej się rzeczywistości i umieć dostosować się do nowych potrzeb, dzisiejsza młodzież musi rozwijać kompetencje przyszłości – umiejętności związane z analitycznym i kreatywnym myśleniem, pracą ze sztuczną inteligencją i analizą dużych zbiorów danych, zarządzaniem, ciągłą gotowością do poznawania nowych rzeczy i uczenia się. Warto pamiętać o tym, że współcześni uczniowie podstawówek będą pracować w świecie, którego nie znamy. Około 65 proc. z nich będzie wykonywać zawody, których jeszcze nie ma (raport Światowego Forum Ekonomicznego 2020). Działania edukacyjne powinny wspierać młodzież w drodze ku przyszłości. Doskonałym tego przykładem są inicjatywy zgłaszane do Nagrody Przewroty.

2 Czego i kogo poszukuje Kopernik

Poszukiwani są twórcy małych i wielkich przewrotów w edukacji, prowadzonych w szkole i w domu, w świecie wirtualnym i rzeczywistym, dla dzieci i dla dorosłych, lokalnie i szerzej, dotyczących różnorodnych



Ruszył nabór do II edycji Nagrody Przewroty dla nowatorskich inicjatyw edukacyjnych. Zgłoszenia można przysyłać do 2 marca, laureatów poznamy 23 maja 2025 r.



zagadnień i przyjmujących dowolne formy. Mogą się zgłaszać zarówno zespoły, jak i osoby indywidualne, pracujące na uczelniach, w szkołach, fundacjach, stowarzyszeniach, start-upach, samorządach, instytucjach kultury czy działające na własną rękę. **Bardzo nam zależy na tym, aby wyróżnione inicjatywy dało się wdrażać w nowych miejscach, nowych środowiskach** – tłumaczy Katarzyna Młynek, przewodnicząca kapituły wewnętrznej Nagrody Przewroty, dyrektorka ds. edukacji i komunikacji naukowej Kopernika. **Zależy nam na tym, aby nasza nagroda miała włączający charakter** – dodaje.

„Przewroty” przyznawane są w dwóch kategoriach. Jedna obejmuje inicjatywy skierowane do lokalnych społeczności (np. uczniów i uczennic konkretnej szkoły, mieszkańców osiedla, dzielnicy, wsi, miasta), druga – inicjatywy o zasięgu ponadlokalnym. W 2024 r., podczas pierwszej edycji, do Kopernika napłynęło aż 366 zgłoszeń. Były to inicjatywy realizowane w szkołach publicznych i niepublicznych, projekty organizacji pozarządowych, instytucji kultury oraz te wdrażane w środowisku domowym – tłumaczy Młynek. Mamy dostęp zarówno do projektów realizowanych na wielką skalę, jak i do tych mniejszych, zmieniających środowisko lokalne. Widzimy wielkie zaangażowanie oraz ogrom pracy, jaki wkłada cała rzesza ludzi w zmianę edukacji w Polsce. Laureatami zostali Instytut Dobrej Śmierci (kat. ogólnopolska) oraz Oświatowe Centrum Nauki i Techniki w Wodzisławiu Śląskim (kat. lokalna).

3 Pierwsi laureaci „Przewrotów”

Przewrotem, którego dokonał Instytut Dobrej Śmierci, jest przełamanie tabu i prowadzenie edukacji dotyczącej umierania, śmierci i żałoby. Organizowane są szkolenia, spotkania oraz warsztaty, mające na celu podniesienie poziomu wiedzy o procesie umierania, o różnorodności pochówków i pożegnań oraz zwiększenie świadomości dotyczącej możliwości niesienia i otrzymywania wsparcia. **Poczułyśmy, że nasza**



MATERIAŁ PRASOWY PARTNERA X2

Laureaci Nagrody Przewroty. Od lewej: Janusz Laska, pomysłodawca i współtwórca Klubów Młodego Odkrywcy; Emilia Kopiec, dyrektorka Oświatowego Centrum Nauki i Techniki w Wodzisławiu; Anja Franczak, prezeska Instytutu Dobrej Śmierci. Gala Nagrody, Warszawa, 24 maja 2024 r.

praca została doceniona i zdałyśmy sobie sprawę, że jest ona widoczna i społecznie istotna. To bezpośrednio przełożyło się na zwiększenie motywacji do działania – powiedziała **Anja Franczak** z Instytutu Dobrej Śmierci, odbierając Nagrodę. Zyskałyśmy też potwierdzenie, że praca w obrębie trudnych tematów i szukanie niekonwencjonalnych metod rozwiązywania problemów przynosi korzyści i w związku z tym warto się w nią angażować i zachęcać do niej innych. **Maria Wiśniewska** dodała: – Poczuliśmy też duże wsparcie instytucjonalne płynące z Warszawy, ale też z całej Polski dla naszej Fundacji, co było kolejną zachętą do rozwijania naszej działalności.

Przewrót w Wodzisławiu Śląskim polegał na tym, że lekcje w lokalnych szkołach prowadzone są tylko przez cztery dni w tygodniu. Piąty dzień poświęca się na zajęcia terenowe, projektowe i praktyczne w Oświatowym Centrum Nauki i Techniki. Znajdują się tam multidyscyplinarne pracownie naukowe i artystyczne: mechatroniczna, stolarska, modelarska, krawiecka, ceramiki i rękodzieła, artystyczna, kinowa oraz sensoryczno-plastyczna. Inicjatywa rozwija umiejętności oraz kompetencje nieujęte w programie szkolnym. Byliśmy za małą miejscowością, by na większą skalę pokazać środowisku edukacyjnemu, że taki projekt jest możliwy do

zrealizowania. Pojawiła się okazja, by to zweryfikować przystępując do Nagrody »Przewroty«. Nagroda i prestiż z tym związany umożliwiły nam dalszy rozwój. A także wiarę w to, że nasze działania są dostrzegane na arenie ogólnopolskiej i są bardzo wartościowe – tłumaczyła **dr Emilia Kopiec**, twórczyni Oświatowego Centrum Nauki i Techniki. Nagroda pozwoliła Centrum otworzyć nową pracownię – muzyczną.

Nagrodę specjalną otrzymał **Janusz Laska** – twórca programu Klubów Młodego Odkrywcy (KMO), którym dziś opiekuje się Centrum Nauki Kopernik.

4 Dlaczego Kopernik nagradza inicjatywy edukacyjne?

Centrum Nauki Kopernik od prawie 15 lat tworzy ekspozycje i programy edukacyjne, które angażują ludzi w różnym wieku, sytuacji życiowej i na różnych etapach karier zawodowych. Co roku uczy się w ten sposób (zupełnie dobrowolnie) ponad milion zwiedzających Kopernika. Centrum stale pogłębia swoje doświadczenie, inspirując się osiągnięciami nauki i technologii oraz czerpiąc z nawiązywanych relacji społecznych. W 2023 r. otworzyło ośrodek badawczo-rozwojowy, poświęcony innowacjom w edukacji. Po pierwsze, wzbogacamy edukacyjny ekosystem naszą ofertą programową. Szkoły nie są samotne: towarzyszymy nauczycielom

i uczniom w poszukiwaniu rozwiązań edukacyjnych, które pozwalają sprostać współczesnym wyzwaniom – mówi **dr Ilona Łowiecka-Tańska**, dyrektorka innowacji Centrum Nauki Kopernik. – Kluczowa tu jest oczywiście nasza podstawowa oferta, czyli wystawy. Interakcja z eksponatami pozwala poznać zjawiska przyrodnicze, które inspirowały odkrycia naukowe. Po drugie, tworzymy rozwiązania edukacyjne, które pozwalają łatwiej wprowadzać pożądane zmiany. I podkreśla: Zależy nam na tym, żeby nauczyciele mieli dostęp do sprawdzonych rozwiązań. Tworzymy więc zestawy, w których aktywności z jednej strony dotyczą istotnych, współczesnych tematów – np. zanieczyszczenia powietrza lub technologii, a z drugiej proponują metody nauczania, które wspierają sprawczość i rozwój kompetencji przyszłości.

Ważną częścią działalności Kopernika jest tworzenie środowiska, które skupia ludzi nastawionych na rozwój edukacji. Należą do niego nauczyciele, którzy tworzą KMO, edukatorzy z małych centrów nauki SOWA, badacze, naukowcy, ludzie z biznesu, pracownicy NGO-sów.

Laureatów tegorocznych „Przewrotów” poznamy **23 maja**, podczas uroczystej gali w Centrum Nauki Kopernik. Wybierze ich kapituła honorowa Nagrody, składająca się z osób ze świata nauki, edukacji, biznesu, sztuki i życia publicznego. Przewodniczy jej **Robert Firmhofer** – dyrektor naczelny Centrum Nauki Kopernik. Autorzy zwycięskich inicjatyw otrzymają wyjątkową statuetkę oraz nagrodę finansową w wysokości 20 000 złotych.

Nagrodę wspierają partnerzy i patroni medialni:

- Partner Główny Nagrody Przewroty: KGHM Polska Miedź
- Partner: BASF
- Patroni medialni: Polsat News, Interia, Tygodnik Powszechny, Polskie Radio Jedynka, Polskie Radio Czwórka, Strefa Edukacji, Nasze Miasto
- Patronat honorowy nad Nagrodą Przewroty objęła Ministra Edukacji.

NA TROPIE WIELKIEJ POWIEŚCI

Wszyscy go wypatrują, nikt go nie dostrzega.
Gdzie jest to wielkie dzieło, które wreszcie kompletnie opisze
Polskę? Ono jest, ale nie tam, gdzie szukacie.

ZIEMOWIT SZCZEREK

KTO JUŻ NIE PRÓBOWAŁ OPISAĆ TEJ NASZEj Polski? Trudne historie, prywatne i nie, obsesyjne szczegóły, osobiste perspektywy, specyficzne oświetlenia, wycinki, trendy. Od Witkowskiego przez Dehnela po Masłowską i Tokarczuk. Ja też się staram, żeby nie było. Perspektywy, ironie, czułości, obserwacje.

I mimo że wydawać by się mogło, iż napisanych już zostało wiele książek, które na polu zadania pt. „opisz Polskę” odniosły sukces, to co jakiś czas wpadamy w ten sam od 1989 r. smutek: gdzie jest ta „wielka polska powieść”? Gdzie wielkie dzieło, które opisze nasz świat i naszą rzeczywistość całościowo?

Pod latarnią

Poszukując daremnie takiej powieści, omijamy jednak całkiem poważny obszar, w którym można coś podobnego znaleźć. Zerknijcie do literatury gatunkowej. Niby już od dawna nie jest ona traktowana po macoszemu, już od jakiegoś czasu nie jest uznawana za proste czytadło. Ale taki kryminał nie otrzymuje nominacji i laurów innych niż te gatunkowe. Nie wiem, czy nie gra w literackiej „pierwszej lidze” słusznie czy niesłusznie, ba, ledwie intuicyjnie wychwytyuję również zasięg tej „pierwszej ligi”, jak i jej domniemane pierwszeństwo, ale nie chodzi o to, żeby robić tutaj remanent w definicjach i szufladkach.

Nie wiadomo nawet, czy autorzy gatunkowej literatury chcieliby grać w tej „pierwszej lidze” – sprzedaje się ona bowiem o wiele gorzej niż ich kryminały i horrory. I tylko czasem ze snobizmu jakiś poczytny gatunkowy autor napisze pod pseudonimem „poważną”, „artystyczną” powieść, zatytułuje ją w odpowiednio pretensjonalny sposób, i czeka na laury. Nie oceniam: snobizm z jednej, snobizm z drugiej, i nikt, ile by się nie zapierał, od jakiejś formy snobizmu wolny nie jest. Wiem jednak, jak wiele literatura gatunkowa ma ciekawych rzeczy do powiedzenia na temat Polski. I doceniam to niesłuchanie.

Weźmy postać detektywa. Niekoniecznie przerysowanego chandlerowskiego typu pocącego się w noirowym prochowcu i fedorze w kalifornijskim upale, ale, powiedzmy, Doca Sportello z „Wady ukrytej” Pynchona. To detektyw będący przedstawicielem swojego środowiska i czasu: wiecznie upalony marihuaną, żyjący w hipisowskim, kalifornijskim quaj-raju, w dzieciokwiatowych latach 70. Dziecię swoich czasów. Chcielibyście teraz kogoś takiego, ale bardziej swojskiego? Detektywa, który by żył i pracował w tym samym świecie, który wam się codziennie wyświetla za oknami? Proszę bardzo.

Wojciech Chmielarz w gliwickim cyklu składającym się z trzech książek – „Wampir”, „Zombie” i „Wilkołak” two-

rzy idealnego polskiego detektywa *noir*. Zajmuje się on zradami małżeńskimi i innymi równie fascynującymi sprawami, cienko przędzie (ma, co prawda, bogatego ojca, ale wiadomo: nie cierpi go), mieszka w kawalerce w Gliwicach, ścigają go wierzyciele, ma starego laptopa i podrywa nastolatki w studenckich knajpach. Realia u Chmielarza są do tego stopnia dostrojone do przeciętnego polskiego czytelnika, że gdy – wzorem klasyki literatury kryminalnej całego świata – dochodzi w końcu do sceny, w której bohaterowie mierzą do siebie z broni, nasz detektyw robi to samo, co zrobiłaby większość z nas. Wrzeszczy do nich: „czy was popierdoliło?!”. I bohaterowie opuszczają broń.





GRAZYNA MAKARA

Małgorzata i Michał Kuźmińscy. Kraków, styczeń 2025 r.

Polskie gatunkowe dzieła dowodzą, że z naszej rzeczywistości można robić opowieści w każdym typie. I to, że da się również ulepić z tej rzeczywistości opowieści doskonale ją tłumaczące i przepracowujące. Czyli tę uparcie wypatrywaną wielką polską powieść właśnie.

Etno idzie w socjo

Małgorzata i Michał Kuźmińscy, małżeństwo mieszkające w Krakowie, już od ponad dekady opowiada w kryminałach Polskę bardzo przekonująco. Właśnie na SkyShowtime ruszył serial „Śleboda” według ich pierwszej książki z cyklu „etno-kryminałów” (tak go określili sami autorzy). Kryminalne „etno” wypęła tu jed-

nak z przeszłości i obyczajów, ale i mocno wpływa na teraźniejszość, i to tak, że przepoczwacza się w „socjo”. A co więcej – o wiele wyraźniej i klarowniej objaśnia jedno i drugie, niż prace naukowe czy historyczne traktaty.

Powieść z 2015 r. dzieje się w Tatrach, więc jest tu i „Goralenvolk” (pamiętajmy, książka jest wcześniejsza niż film „Biała odwaga” Marcina Koszałki), i góralski sprzeciw przeciwko wykopywaniu tej historii, ale Kuźmińscy żadnego głębszego zjawiska nie oceniają w radośnie prosty sposób, znany nam z polskiej debaty publicznej. Przeciwnie, u nich motywacje ludzi, którzy dokonywali takich czy innych wyborów, można nie tylko zrozu-

mieć, ale i zwyczajnie postawić samych siebie obok nich i zadać sobie pytanie: czy my sami bylibyśmy w stanie stanąć na wysokości naszych własnych moralnych oczekiwań?

I tak jest w wielu opisywanych przez nich sprawach: czy to kwestia Goralenvolk, czy polskiego udziału w zainicjowanym przez niemieckich nazistów mordowaniu Żydów (sprawa tzw. Judenjagd, „polowania na Żydów” opisana w „Marze” z 2019 r., powieści dziejącej się w podtarnowskiej części Galicji). U Kuźmińskich opisane mamy wszystkie ludzkie postawy, a do tego przekonująco sportretowane piekło wiecznego dramatycznego wyboru: jeśli ktoś nie uległ szantażowi →

→ okupantów, ukrywał Żydów czy choćby odmówił udziału w ich zabijaniu i przeżył, narażał się na piętno nakładane mu we własnej społeczności, podsycane przez tych, którzy nie byli w stanie przejawiać takiego hartu ducha czy skłonności do postawienia na szali życia swojego – i często swoich rodzin. Z różnych powodów. Od niskich do wysokich.

Piętno nakładane z zawiści, z beznadziejności na siebie, że nie było się w stanie nie być „zdrajcą” czy „mordercą” albo choć „kolaborantem”, na los, na historię, na Niemców. A czasem i przez zwykły antysemityzm. Który, z kolei, bierze się znów: z zawiści, z ksenofobii, z podsycanego przez ideologicznych macherów poczucia niesprawiedliwości i tak dalej. Przed żadnym z tych pytań Kuźmiński nie ucieka, żadne nie jest zbyt trudne. A wszystkie te kwestie są czytelnie – przejrzysto wręcz – rozpisane w akcji kryminału. Który, zresztą, przez te tragiczne wybory wcale nie traci na wartości. Przeciwnie.

Kuźmiński nie mają zresztą wątpliwości, że książkowy heroizm jest rzeczą, no właśnie – głównie książkową. Główna bohaterka, przesłuchiwana, pęka już na pierwszym etapie wymuszania zeznań, i trudno mieć wątpliwości, że zrobiłaby to większość czytelników, niezależnie od gromkości teoretycznych deklaracji. Czy chociażby społecznych oczekiwań, które zmitologizowała i nieco toksycznie zabsolutyzowała opowiadana historia polskiego oporu, czy to wobec okupantów, zaborców czy totalitarystów. Dziś, gdy zaraz za naszymi granicami prawdziwi ludzie masowo muszą naprawdę stawiać czoła torturom (bo właściwie takiej czy innej ich formy nie unika prawie żaden brany do niewoli żołnierz), taki kubek zimnej wody na głowę jest szczególnie ważny.

Bez gorsetów

Dla Kuźmińskich żaden temat uznany powszechnie za ciężki nie wydaje się zbyt trudny pisarsko. Gdy brałem się za lekturę „Kamienia” (2017), dziejącego się w Beskidach, w tym pomiędzy żyjącymi tam w trudnych warunkach polskimi Romami, zastanawiałem się, jak Kuźmiński to uniosą. Jak uda się, z jednej strony, nie wpaść w przesadną polityczną poprawność i w perspektywę wielkomiejskiej quasi-lewicowej bańki i jej ostantacyjnego współczucia uprawianego głównie po to, by sobie nim dobrze zrobić, a z dru-

Tak, lubię polskie kryminały.

Wcisnąć się potrafią
w każdy zakamarek polskiej
rzeczywistości i polskiej
historii. Albo i szerszej niż
polska, ale nadal swojskiej.

giej – nie wejść w orientalizację czy wręcz umniejszające wartościowanie Romów przez opisy warunków, w których w tych osadach żyją. Efekt jest zaskakujący.

Kuźmiński używają tu – podobnie jak w „Marze” – jasnego i przejrzystego stylu, absolutnie bezpretensjonalnego, a z drugiej strony, wręcz werystycznego. Ba, nie sadząc nawet żadnych mieszczańskich piruetów typu „musimy zrozumieć tych nieszczęsnych ludzi”, opisują romskie domy i panujące w nich realia tak, że czytelnik nie tylko rozumie, z czym ma do czynienia, ale i nabywa do opisywanych ludzi zwyczajnej sympatii.

Okazuje się, że można o trudnych sprawach pisać w sposób taki, by nie wpaść ani w pretensjonalność, ani w ocenianie krytykanctwo. A fakt ten ma, uważam, niezwykłą wartość. Szczególnie w czasach, gdy każdy – czy to z lewa, czy to z prawa – daje sobie prawo do uprawiania kontroli dyskursu i potępienia na wszelki wypadek tych, którzy nie idą z główną linią ideologiczną. I odbierają argumenty tym, którzy chcą założyć twórcom gorset, nie wierząc w siłę ich wewnętrznych moralnych szkieletów.

Kuźmiński nie dość, że sami w tę wielkopańską polityczną poprawność nie wpadają, to jeszcze ją elegancko, w swoim stylu wyśmiewają, tworząc, dajmy na to, postać pewnej empatycznej na pokaz publicystki warszawskiego pisma o ogólnopolskim zasięgu. Zresztą w ogóle medialne realia są u Kuźmińskich opisane doskonale. Sam Bastian Strzygoń, jeden z głównych bohaterów, dziennikarz – drapieżnik, który przechodzi kmicicowską wręcz transformację w człowieka nieco bardziej etycznego (tak, tylko nieco bardziej: nikt chyba się nie spodziewał, czytając „Potop”, że Kmicic po win odkupieniu zupełnie przestanie być wirażką i zamieni się w światobliwego mnicha), jest pokazany przecudownie. Z całym tym łowczo-medialnym środowiskowym

slangiem, cwaniactwem, bucoństwem i brakiem zasad.

To samo można powiedzieć o środowisku naukowym, w którym zanurzona jest Anna Serafin, kolejna z głównych bohaterów „etnokryminałów”, które to środowisko mieli każdego, kto choćby na milimetr wystaje poza średnią wydziałową. Historia Anny jest tak cudownie realistyczna i odpowiadająca doświadczeniu ludzi borykających się z tego typu problemami, że trudno się powstrzymać przed fotografowaniem odpowiednich fragmentów książki i wysyłaniem ich do znajomych posiadających podobne doświadczenie.

Jest też tu nienachalna satyra na miejskich intelektualistów romantyzujących góry i góralszczyznę, oraz – nieco bardziej nachalna, ale wygłaszana ustami samych górali – krytyka tych, którym „żał dawnych czasów”, kiedy to „chleb był prawdziwy”, a teraz nie jest, bo przynosi się go z Lewiatana czy Biedronki. Pojawia się więc u Kuźmińskich dosadne stanowisko jednej z góralskich bohaterek mocno sprowadzające nostalgicznych ceprów na ziemię: owszem, chleb może i kiedyś był „prawdziwy”, bo wypiekany w domu, bo innego wyjścia nie było, i poza tym chlebem w ogóle było niewiele, więc trudno się nie cieszyć, jeśli dziś pod nosem jest rzeczona Biedronka czy Lewiatan, a w kieszeni trochę duków na zakupy. „Prawdziwe Murzasichle, czyli jakie? – pyta jedna z bohaterek, góralka. – Z dyskretną nutką gnojówki i sracem na podwórku?”

A co do duków, to Kuźmiński w swoim kryminale góralskim nie przyłączają się do szyderczego i szczególnie w ostatnich latach aktywnego nurtu nagonki na „chciwych górali”, utrzymanego (również, co zabawne, przez napięte bardzo na woke’istowską poprawność lewicowe środowiska) w kategoriach, które w odniesieniu do ludzi z innego kraju, o innym kolorze skóry czy z wszelkiej innej mniejszości uznalibyśmy za ksenofobiczne czy rasistowskie.

Kuźmiński w ogóle są dobrzy w opisywaniu prowincji. I nie chodzi tylko o fakt, że w mniejszym czy większym stopniu się z niej wywodzą, w końcu, jak rzuca w pewnym momencie w „Marze” wściekły na „Dawcia” Bastian, „wszyscy jesteśmy ze wsi”. Nie tylko gdy jest mowa o tym, w jaki sposób inna postać słucha zmieniającego się tembru głosu, gdy bohaterka przechodzi z polskiego kraszzonego góralszczyzną

na czystą góralszczyznę, wchodząc w cień „matowego altu” (a kto powie, że tu oto / w orientalizację wpadłem /, temu zęby porachuję / pod kościołem Piotra z Pawłem). Ale też wtedy, gdy pojawiają się zwyczajne opisy zwyczajnego życia małomiasteczkowej klasy średniej, tej bez kompleksów wobec wielkiego miasta i za bardzo do niego nie aspirującej.

Co robi śledczy?

Widać, najzwyczajniej w świecie, że Kuźmińscy znają Polskę, czują ją i rozumieją. Do tego dochodzą inne niuanse, często charakterystyczne dla pokolenia, z którego się Kuźmińscy wywodzą, i z którego wywodzi się sam: przełom późnego pokolenia X i wczesnych milennialsów. Wchodzenie w dorosłość młodzieży w „małych i średnich ośrodkach” wychodzącej ze świata subkultur (metale w „Ruinach” z 2024 r.), czy wymuszane rzeczonym wchodzeniem w dorosłość zdradzanie zasad tych subkultur (dawne punkowe ideały Kaśki, która dziś pomaga kosić bratu kasę na cetrach w „Ślebobdzie”). Czy, co w kryminale w końcu ważne, detale pracy policjantów, głównie tych z polskiego zadupia, razem z ich środowiskowym żargonem (piękny zwrot „realizować kogoś” używany przez policjantów wtedy, gdy chcą kogoś zatrzymać) i realiami pracy. Serial, który na kanwie „Ślebody” powstał, nawet się, niestety, nie zbliża ani do wielu poruszonych przez Kuźmińskich w powieści kwestii, ani do wytrawności opisu rzeczywistości.

Sami Kuźmińscy twierdzą, że literatura kryminalna jak mało który gatunek nadaje się do opisywania rzeczywistości. Szukania odpowiedzi na dręczące pytania i rozpracowywania traum.

– Co robi śledczy? – pyta Michał Kuźmiński, gdy spotykamy się przy piwie w jednej z krakowskich knajp. – Odpowiada na jakiś rodzaj zagrożenia czy niepokoju. Zadaje sobie pytanie, co się tu wydarzyło, dlaczego stała się jakaś krzywda. A następnie próbuje to rozbić. Próbuje postawić hipotezę śledczą. Dąży, kwestionuje, zastanawia się, dlaczego było tak, a nie inaczej. Czy na pewno prawidłowo rekonstruuje wypadki.

– W kryminale chodzi o odkrywanie czegoś – dodaje Małgorzata Kuźmińska. – Kryminał nie ma aspiracji do tworzenia czegoś nowego, tylko do zdejmowania kolejnych warstw rzeczywistości.

NIE TYLKO „ŚLEBODA”



■ **PIONEK (2016)** dzieje się na Śląsku, gdzie zostaje zamordowana studentka, a na wolność ma wyjść skazany na 25 lat więzienia Wampir z Szombieriek.

To książka o osobistych i zbiorowych lękach, które działają jak szkody górnicze, a także polemika z popkulturą otaczającą kultem figurę seryjnego mordercy.



■ **KAMIEŃ (2017)** zaczyna się od znalezienia pod romską osadą na Sądecku zwłok blondwłosego dziecka. Polska wersja apartheidu, uchodźcy, antyszczepionkowcy

i wspólny mianownik: strach przed nieznanym. Choć „Kamień” powstał długo przed pandemią i kryzysem na wschodniej granicy, jest coraz aktualniejszy.



■ **MARA (2019)** z fabułą osadzoną na Powiślu Dąbrowskim, gdzie badania nad trzecią fazą Zagłady prowadził prof. Grabowski, skupia się na pytaniach o współudział

i współwinę bystanderów – czyli spektrum postaw rozciągającego się pomiędzy tymi, którzy ratowali, a tymi, którzy katowali: od beznadziejnych gapiów.



■ **RUINY (2024)** to z kolei Dolny Śląsk, który jest jak główna bohaterka powieści: jego tożsamość została gwałtownie zerwana. Jest też scenariuszem dla teatru, w którym przyglądamy

się mechanizmom przemocy właściwym niejednej grupie z charyzmatycznym liderem. Ta książka to także podróż do lat 90., źródła wielu traum.

Kryminał ma nam opowiedzieć o tym, co sprawiło, że świat się rozleciał, a następnie doprowadzić ten rozpeknięty świat z powrotem na prawidłowe tory.

Tak to wygląda. Kryminał, z jednej strony, musi, a przynajmniej – w klasycznym ujęciu – powinien mieścić się w narzuconych sobie granicach. Ja osobiście za granicami nie przepadam i automatycznie się przeciw nim buntuję. Ale przyznać muszę jedno: kryminały Kuźmińskich pokazują, że granice te są bardzo szerokie i pojemne.

Da się

Tak, lubię polskie kryminały. Wcisnąć się potrafią w każdy zakamarek polskiej rzeczywistości i polskiej historii. Albo i szerszej niż polska, ale nadal swojskiej. Marek Stelar, na przykład, pisze o polsko-niemieckim pograniczu i o żyjących we wschodnich Niemczech słowiańskich Łużyczanach, o których w Polsce, poza znawcami tematu i geekami klimatów typu „mniej-szości i pogranicza”, nikt w ogóle nie wie. Maciej Siembieda z kolei dotyka kwestii żyjących w Polsce Greków, z których wielu po II wojnie światowej wyładowało na polskich ziemiach poniemieckich.

I choć nie są to powieści, oczywiście, *stricte* społeczne, to – mam wrażenie – migocze w nich, szczególnie u Chmielarza, polska codzienność tak mocno, że człowiek się dziwi: to tak się w ogóle da pisać? Da się tak ciekawie przemleć przez literaturę te wszystkie nasze opróżnione małpki alkoholi ustawione na żółtych skrzynkach od gazu, wejścia do bloków z domofonami (numer mieszkania, klucz, kombinacja cyfr), budki TRAFO, salony telefonii komórkowej, polbruk i osiedla domków jednorodzinnych z tabliczkami „Uwaga, drobny pies, ale ma słabe nerwy”?

Czy naprawdę da się utkać z tego wszystkiego rzeczywistość równie fascynującą jak ta, którą, na przykład, z własnej – nudnawej przecież obiektywnie i powtarzalnej – rzeczywistości utkali Amerykanie, tylko dlatego, że większość światowej popkultury dzieje się u nich i ich dotyczy? Już od jakiegoś czasu wiadomo, że się da. I na szczęście powstaje takich dzieł coraz więcej.

© ZIEMOWIT SZCZEREK

Autor jest reporterem i pisarzem. Ostatnio wydał „Wymyślone miasto Lwów” (Czarne 2022).



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER



Naród bezdomny

DARIUSZ KOSIŃSKI

W najbliższym czasie ma nastąpić zmiana kierownictwa w jednej z najważniejszych polskich instytucji kulturalnych – Teatrze Narodowym w Warszawie. Czy przymiotnik w jego nazwie ma jeszcze jakiś sens?

TO JUŻ DZIESIĘĆ LAT, ODKĄD W ROKU Teatru Publicznego toczyliśmy zażarte spory o przymiotniki. Maciej Nowak, jeszcze zanim przestał być dyrektorem Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego, zainicjował obchody 250. rocznicy inauguracji polskiej sceny instytucjonalnej (19 listopada 1765 r.) pod hasłem jubileuszu teatru publicznego. Decyzja ta wzburzyła część środowiska, które uznało, że jej celem jest zastępowanie „narodowego” dwuznacznym według nich „publicznym”. Spieraliśmy się o to wielokrotnie, czasem gorąco, często z politycznymi podtekstami, rzadko dochodząc do kompromisów. Ech, łażą się w oku kręci...

Dziesięć lat później po tamtych sporach nie ma śladu, choć wydawałoby się, że okazja do ponownego wzbudzenia dyskusji wokół Teatru Narodowego nadarza się naprawdę wyjątkowa.

Jak w teatrze Polskę budować?

W sierpniu 2024 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ogłosiło, że gdy wraz z końcem sezonu 2024/25 skończy się kadencja kierującego sceną od ponad dwudziestu lat duetu Krzysztof Torończyk (dyrektor naczelny) i Jan Englert (dyrektor artystyczny), nastąpi spodziewana od dawna zmiana – kombinat przy placu Teatralnym mieć będzie nowego gospodarza wyłonionego w konkursie.

Wydawałoby się, że ta zapowiedź wzniesie dyskusję podobną do tych, jakie pamiętam z połowy lat 90., gdy kończyła się wieloletnia odbudowa Narodowego po pożarze i gdy prawie każda z osób, których głos liczył się w środowisku, prezentowała swoje wersje jego przyszłego programu i kształtu. Tymczasem na oznajmienie ministerstwa szybko i negatywnie zareagował tylko zespół teatru domagający się zachowania *status quo*, po czym zapadła długa, coraz bardziej niepokojąca, niemal złowieszcza cisza.

Ta cisza budzi niepokój, który przekształca pytanie „po co?” w „czy w ogóle?”, dotyczące już nie tylko przymiotnika, ale i rzeczownika. Niezależnie od jego obecnej pozycji, Teatr Narodowy w Warszawie to scena wyjątkowa. Oprócz niej, tylko jeden teatr dramatyczny – Narodowy Stary Teatr w Krakowie – ma pełny status sceny narodowej. Instytucjonalnie polega on na tym, że ich organizatorem jest ministerstwo i są finansowane z budżetu centralnego, co ma zapewnić większy komfort pracy i wyższe budżety.

Ale nie tylko o komfort i pieniądze w tym rozwiązaniu szło, lecz o jasne wskazanie, że ze względu na wieloletni dorobek i rangę te dwa teatry mają być sce-



PIOTR ZAGIELL / EAST NEWS

Jan Kłata podczas próby w Teatrze Wybrzeże. Sopot, 2 czerwca 2021 r.
Po lewej: Jan Englert w Teatrze Narodowym. Warszawa, 6 czerwca 2022 r.

dzie się jej kluczowe posiedzenie, nie mówiąc już o takich kwestiach, jak oczekiwania organizatora czy kryteria, jakimi kierowano się przy doborze osób zaproszonych. A przecież mówimy o scenie, która w samej nazwie oznajmia jeśli nie przynależność, to ścisły związek ze zbiorowością i która od lat stanowiła i stanowić powinna dobro wspólne i przedmiot wspólnego namysłu. „My, naród” powinniśmy być w rozmowie o tej wyjątkowej scenie partnerami, a przynajmniej powinniśmy wiedzieć, jakie są związane z nią plany i usłyszeć jakąkolwiek odpowiedź na pytanie o jej przyszłość. Niczego takiego jednak nie słysząc – jakby Teatr Narodowy był wewnętrzną placówką ministerialną.

Gdy trwa oficjalne milczenie, narasta szum szeptów i plotek. W środowisku za pewne i będące w grze uznaje się cztery kandydatury: Jana Kłaty, Michała Kotańskiego, Joanny Nawrockiej i Pawła Płoskiego. Jeśli ta lista jest prawdziwa, a mamy sporo dowodów, że tak, to wydaje mi się ona równie zadziwiająca, co znacząca: w tej zaproszonej czwórce jest tylko jeden artysta o dorobku potwierdzającym, że problematyka co się zowie narodowa jest mu bliska. Na dodatek Jan Kłata dowiódł już swoją dyрекcją w Starym Teatrze, że potrafi z powodzeniem kierować narodową sceną. Oddanie mu Teatru Narodowego w Warszawie byłoby decyzją odważną, która zapewne wzbudziłaby akty rejtania, narzekania i kontrowersje, ale bez trudu dałoby się ją obronić, a już na pewno oznaczałaby zdecydowaną zmianę w stosunku do dyrekcji Englerta i pociągała za sobą wyrazistą koncepcję programową.

Ja bym powiedział nawet, że z tych wszystkich względów (a także dla wynagrodzenia bezprawia i niesprawiedliwości, które go spotkały w Starym ze strony byłego ministra Piotra Glińskiego) Kłatę należałoby dyrektorem Narodowego po prostu mianować.

I tu się właśnie zaczyna problem, związany z tym, że w czwórce osób, które według nieoficjalnych informacji zaproszono do konkursu, Jan Kłata ze swoją osobowością, dorobkiem i zaintereso-

waniami wydaje się egzotycznym dodatkiem. Przy całym szacunku dla Michała Kotańskiego jako dyrektora Teatru Żeromskiego w Kielcach, Joanny Nawrockiej jako dyrektorki Teatru Ochoty i Pawła Płoskiego jako dyrektora Muzeum Karykatury oraz wykładowcy Akademii Teatralnej – nie należą oni do tej samej ligi co Kłata, nawet jeśli dołożyć pierwszemu dyrekcję Teatru TVP, drugiej pogłoski o działaniu w duecie z Maciejem Nowakiem, a trzeciemu – doświadczenie długiej współpracy z Narodowym Englertem.

Gdyby Kłata stawał do rywalizacji z – powiedzmy – Michałem Zadara, Adamem Orzechowskim, Mają Kleczewską, Krzysztofem Głuchowskim, a choćby nawet i Jarosławem Gajewskim (posiadania własnego wyobrażenia o scenie narodowej dyrektorowi Teatru Klasyki Polskiej odmówić wszak się nie da), to można by mówić, że rzeczywiście jest to konkurs programów, projektów, a może nawet i wizji Teatru Narodowego.

Obecny skład konkursowej czwórki mówi coś zupełnie innego: jest to konkurs na nowego dyrektora Englerta, tylko młodszego i bez jego dorobku, charyzmy i autorytetu.

Narodowa scena uniku

Już wyjaśniam – wszyscy uczestnicy poza Kłatą mają przede wszystkim doświadczenie tworzenia i współtworzenia teatru, do którego można bez trudu odnieść wypowiedzianą kiedyś przez Jana Englerta maksymę, że „moją dewizą jest nie mieć dewizy”.

Englert deklarował, że zasadnicze zadanie jego dyrekcji to troska o zapewnienie warunków rzetelnej pracy, „postawienie fundamentów i rusztowań”, na które dopiero wejść mają zaproszeni twórcy i budować. Gdy ten program dodatkowo odnieść do – także przez Englerta wypowiedzanego – rozumienia przymiotnika „narodowy” jako oznaczającego zbiór różnorodnych grup i jednostek, to otrzymamy projekt Teatru Narodowego jako świadomie eklektycznego, a zarazem dystansującego

→

Konkurs szczelnie zamknięty

Zapowiadając ogłoszenie konkursu, ministerstwo uprzedziło, że będzie on miał charakter zamknięty. I rzeczywiście tak ma! Oficjalnie nie wiadomo, kto został do niego zaproszony, ani kto jest w komisji oceniającej kandydatów, ani kiedy odbę-



Najciekawsze tematy
 nowego numeru „Tygodnika”
 w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
 Słuchaj na żywo lub w podcastach na [Radio357.pl](https://radio357.pl)

→ się, czy wręcz odcinającego wszystko, co mogłoby zostać uznane za zagrożenie dla pluralistycznej wielości, a więc – nosiło znamiona wyrazistej propozycji ideowej i artystycznej.

W kontekście współczesnego kształtu życia zbiorowego i kulturalnego taki teatr rzetelnej pracy, fundamentów i rusztowań okazuje się jednak w efekcie sceną środka i uniku. Wystrzega się zarówno radykalnych eksperymentów artystycznych, jak i interwencji w pola dzielących nas napięć politycznych, obyczajowych, czy światopoglądowych, w czym pomaga mu odwołanie do mitu rzemiosła. Wyznacznikami odpowiedniego poziomu tego rzemiosła są: dobór repertuaru łączącego klasykę i współczesność, zespół aktorów o wysokich umiejętnościach, dający możliwość stworzenia całej gamy różnorodnych postaci, wreszcie zestaw zaproszonych do pracy reżyserów, którzy dają gwarancję, że nie zaczną wywiejszać na tych rusztowaniach swoich bohaterów i niczego nie rozbiją.

W czasie dwóch dyrektorskich dekad Jana Englerta w Teatrze Narodowym ta strategia przyniosła zarówno przedstawienia wybitne, wysoko cennie i cieszące się wieloletnią popularnością, jak i potknięcia, wpadki czy pomyłki. Z pewnością nie można uznać, że była to dyrekcja nieudana. Rzecz jednak w tym, że jej ocena byłaby zupełnie inna, gdybyśmy nie mówili o scenie narodowej, mającej wyjątkowe zadania i znaczenie. Nie sposób też nie zauważyć, że przez te dwadzieścia lat w tematyce, która stanowi pole pracy teatru rzeczywiście, a nie formalnie narodowego, wiele się wydarzyło.

Jak na ironię, jedna z centralnych scen tego dramatu społecznego, aktywowana każdego dziesiątego dnia miesiąca pod pomnikiem smoleńskim, znajduje się w niewielkiej odległości od placu Teatralnego. Dyrektor Englert na przemiany zachodzące na niej i na wielu innych arenach nie reagował, stopniowo wygaszając przymiotnik. Oczywiście inscenizował – i sam, i przez zaproszonych w tym celu artystów – dramaty tradycyjnie narodowe, ale w obu najważniejszych przypadkach: jego „Kordiana” i „Dziadów” w wersji Eimuntasa Nekrošiusa, nadrzędną konkluzją wydawał się dystans wobec pol-

skości widzianej jako groteskowe i chaotyczne szaleństwo, budzące nawet nie przerażenie, ale niesmak i znudzenie.

Mówiąc krótko: model teatru rzemiosła i pracy, jaki Jan Englert rozwijał przez dwie dekady, może być (i jest) stosowany w każdym teatrze dramatycznym w kraju, przynosząc mniej więcej te same osiągnięcia i ominięcia. Nie wydaje mi się natomiast, by był on wystarczający w przypadku Teatru Narodowego.

Półoficjalne informacje dotyczące procesu wyłaniania przyszłej dykcji tej sceny wskazują, że ministerstwo chce ten model kontynuować, a więc – w istocie nie potrzebuje Teatru Narodowego jako sceny wyjątkowej. Nie wydaje się przy tym, by był on jakiś chwilowy kaprys. Towarzyszy temu bowiem prowadzona i przez poprzednie, i przez obecne kierownictwo ministerstwa polityka przekształcania kolejnych teatrów we współprowadzone, czyli – współfinansowane z budżetu centralnego. Obok kiedyś wyjątkowych dwóch scen narodowych w Warszawie i Krakowie pojawił się cały szereg teatrów pół- czy też ćwierćnarodowych, samym swym istnieniem ułatwiających zwolnienie z jakiejś szczególnej misji te dwie wyróżnione przymiotnikiem, któremu organizator najwyraźniej nie ma już ochoty i zamiaru nadać szczególnego znaczenia.

Czy zmęczenie powtarzającymi się popisami ulicznych chórów okupujących wspólną przestrzeń z wykluczającym innych okrzykiem „tu jest Polska”, chcemy zrzucić płaszcz Konrada, zapomnieć o nim i pozwolić, by zeżarły go mole? Zmęczenie naprawdę rozumiem. Polska jako idea potrafi być męcząca. Ale właśnie dlatego potrzebuje sceny, na której zadawać się jej będzie pytania ważniejsze niż te, kto zaraz zamieszka w dawnym Pałacu Namiestnikowskim. Czy po ostatnich dwudziestu latach jeszcze nie dość wyraźnie widać, że ich unikanie nie prowadzi do niczego dobrego?

Scena narodowa wypchnięta z teatru eksploduje na ulicach, stadionach i zamienianych w ich trybuny sanktuariach. Może taki właśnie kierunek obrało życie zbiorowe i nic się na to nie poradzi. Ale milczenie nad tą trumną to już nie jest unik, lecz kapitulacja.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Cud w Kolonii

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Dojmujący ból pleców, nieprzespana noc, wielogodzinna podróż małym autem, popsuty instrument. Znaki zbliżającej się katastrofy? Nie, to przepis na nieprzemijający bestseller. Pół wieku temu Keith Jarrett zarejestrował „The Köln Concert”.

VERA BRANDES CAŁYM OSIEMNASTOLETNIM sercem wierzyła, że spełni marzenia fanów jazzu w swoim rodzinnym mieście. Pianista Keith Jarrett, którego gwiazda jaśniała coraz mocniej, miał mieć akurat parę wolnych dni między koncertami w Zurychu i Baden-Baden. Verze udało się zaklepać wspaniałą salę Oper Köln na późny wieczór po spektaklu. Szef działającej od pięciu lat, a już znaczącej monachijskiej wytwórni płytowej ECM, a więc i producent Jarretta Manfred Eicher nie tylko zgodził się na solowy wypad podopiecznego nad Ren, ale podjął decyzję o nagrywaniu koncertu w celach dokumentacyjnych.

Sam pianista zastrzegł tylko, by na miejscu czekał na niego koncertowy fortepian Bösendorfer 290 Imperial, ośmiooktawowe monstrum, zdolne wytrzymać najazd Hunów – model wzorowany na instrumencie skonstruowanym ponoć z myślą o atletycznej, bezpardonowej grze Ferencza Liszta. Bilety na koncert rozeszły się błyskawicznie, jak podczas całej europejskiej trasy Jarretta. Co mogło pójść nie tak? W zasadzie wszystko.

Ból perfekcjonisty

Urodzona w 1956 r. w Kolonii Brandes to dziś doświadczona producentka i wydawczyni muzyki jazzowej, założycielka kilku wytwórni płytowych, między in-



MICHAEL OCHS ARCHIVES / GETTY IMAGES

Keith Jarrett w swoim domu w Los Angeles. Stany Zjednoczone, 1975 r.

nymi veraBra – w której debiutował odkryty przez nią Andreas Vollenweider – i Intuition – gdzie nagrywali Maceo Parker, Jon Hassell czy Astor Piazzolla. Ale i w 1974 r., gdy negocjowała jednorazowy występ Jarretta w Operze Kolońskiej, trudno było ją nazwać nowicjuską – od trzech lat z powodzeniem organizowała koncerty jazzowe i cieszyła się pewną renomą.

Wspólnie z Eicherem ustalili termin koncertu na 24 stycznia 1975 r., na pół godziny przed północą. Tegoż dnia po śniadaniu pianista zrezygnował z lotu i wsiadł do ciasnego renault 4 prowadzonego osobiście przez Eichera. Jazda w styczniowym deszczu trwała pięć godzin.

Jarrett znany był już ze swego perfekcjonizmu. Wyprzedzała go fama artysty, który przed koncertami rozdaje publiczności pastylki na kaszel, by zapewnić sobie niezmaconą ciszę podczas występu. Od paru lat dawał recitale solowe, podczas których grał nieraz całym ciałem, nie oszczędzając klawiatury i naciągu instrumentu, stąd żądanie dostarczenia mocarnego, niezniszczalnego Bösendorfera.

Jedna tylko rzecz mogła mu popsuć szyki – od kilku nocy miał ogromne kłopoty z zaśnięciem z powodu silnego bólu pleców. Jechał więc skulony w Eicherowskim autku w gorsecie i nafaszerowany proszkami.

Przybyli do Kolonii po południu przed koncertem. Za kulisami faktycznie czekał na Jarretta Bösendorfer... ale nie taki. Był to instrument do prób, znacznie mniejszy (typu *baby grand*) i w dodatku rozstrojony. Sprowadzenie stroiciela młoda organizatorka natychmiast wzięła na siebie. Liczyła, że ten nie tylko wyreguluje naciąg, ale też zaradzi ewidentnym felerom fortepianu: okazało się bowiem, że klawisze w najwyższych rejestrach wskutek przepracowania i zdercia filcu miały nieznośnie brzęczące brzmienie, że w dole z kolei grały głucho, niemal bez rezonansu.

Jak podpowiada doświadczenie, nie-szczęścia chodzą nie parami, a stadami – pedał forte, służący do przedłużenia i wzmocnienia dźwięku, zaciął się i zachowywał kapryśnie. Słowem – przed Jarrettem stał szmelc.

Ublaganie bóstwa

Obdarzony słuchem absolutnym, którego nie stępiły leki przeciwbólowe, Amerykanin zagrał kilka nut, po czym zdegradowany odszedł. Eicher chwilę potem zakomunikował Verze Brandes, że jeśli ta na koncert nie załatwi oczekiwanego, w pełni sprawnego i nastrojonego *grand piano*, z występu nici. Ta obdzwoniła najpierw cały gmach, potem kilka innych placówek, ale daremnie. Dostępnego na

cito Bösendorfera 290 Imperiala nie było w jej zasięgu.

Tymczasem zjawił się stroiciel, który w ciągu godziny zmuśnię doprowadził *baby grand* do prawidłowego stroju. Na brzmienie góry i dołu ani na felerny pedał nie był jednak w stanie nic poradzić. Wprawdzie niewyszkolone ucho nie dostrzegłoby różnicy, ale Jarrett nie zamierzał godzić się na półśrodki – koncert miał być satysfakcjonujący również dla takich perfekcjonistów jak on sam. Dla tego razem z Eicherem mentalnie szykowali się na nocleg i poranną podróż do Badenii. Na sali rozpoczęło się już przedstawienie operowe.

Vera wyciągnęła ostatnią kartę przetargową – własną żarliwość. Wsiadła do auta, w którym przysypiający, wygłodniały i obolały Jarrett czekał na odwózkę do hotelu, i zaczęła go dosłownie błagać, by nie odwoływał koncertu – bo koncerty jazzowe to była treść jej młodziutkiego życia, bo miejsce prestiżowe, bo sala na tysiąc trzysta miejsc została wyprzedana, bo Jarrett to obiekt pożądania i najwyższa marka światowa, bo, bo, bo... Odwołany występ oznaczałby dla niej osobistą klęskę.

Do dziś nie jest jasne, co skłoniło Jarretta do zmiany zdania. Zapewne po części siła jej przekonywania, ale też zwykłe współczucie dla przemokniętej dziewczyny, która położyła na szali swoje serce, by jej wymarzony, w całości wyprzedany koncert mógł się odbyć. Tak czy owak, muzyk uznał, że bardziej niż idealne warunki liczy się sama muzyka i ludzie, dla których to miało być wyjątkowe przeżycie.

Nagrajmy tę porażkę

Gdy scena była już uprzętnięta z dekoracji, niepełnosprawny *erzac* instrumentu gotów do koncertu, a sala z wolna wypełniała się publicznością, Jarrett toczył kolejną walkę – z własnym organizmem. Ból, tylko trochę tłumiony proszkami i gorsetem, powracał falami, a na domiar pianistę zaczęła dopadać potworna senność. Jarrett wszczął nawet markowany pojedynek pięściarski z Martinem Wielandem, realizatorem dźwięku wytwórni ECM, by jakoś oprzytomnieć.

Wieland był na miejscu, ponieważ Eicher planował rejestrację występu →

→ na potrzeby archiwum ECM. Kiedy wyszło na jaw, że szykuje się katastrofa, zrazu odstąpił od tego planu, ale potem wspólnie z pianistą zdecydowali, że nagrają koncert jako formę przestrogi i dowód w sprawie – na czym grać nie należy. Nie dacie Keithowi wymaganego fortepianu, to liczcie się z tym, co tu usłyszycie.

Po latach artysta wspominał, że wychodził na scenę z poczuciem ulgi. Już nie muszę czekać, zaraz będzie wszystko jasne. Ale wycisnę z tego rzeczka, ile się da.

Zgodnie z przyjętym kilka lat wcześniej założeniem, nie przygotował na występ koloński konkretnego repertuaru. Na początku dekady wypracował koncepcję koncertów w całości improwizowanych, przy czym nie były to improwizacje na ustalony wcześniej temat ani ogywane standardy, ale muzyka tworzona na gorąco, pod wpływem chwili. W optymalnej sytuacji muzyk przystępuje wówczas do gry z całkowicie oczyszczoną głową i jedynie słucha kolejnych nut, by pod ich wpływem dobierać kolejne. Na bieżąco steruje doborem wysokości dźwięków, ich intonacji, barwy, dynamiki, harmonii czy artykulacji. Może mieć w planie rozwój powstającej tu i teraz kompozycji nawet na kilka taktów naprzód, ale nie projektuje z góry ani struktury, ani przebiegu melodycznego.

– Na „Grand Piano” grałem bez jakichkolwiek wcześniej ustalonych – potwierdza pianista Włodek Pawlik o własnym, podwójnym albumie z czystymi improwizacjami fortepianowymi z 2009 roku. – To spontaniczne, momentalne przetwarzanie bodźców, gdy nie ma nawet czasu na odwoływanie się do schematu. Tworzę w ten sposób na bieżąco niepowtarzalne muzyczne opowieści, które są jak wiatr wiejący nie wiadomo skąd i dokąd podążający. To w zaskakujący sposób oddziałuje na wrażliwość i duchowość słuchacza i samego improwizatora.

Solowe improwizacje, na saksofonie sopranowym, grywa też Adam Pierończyk: – To sytuacja rzadka, wymagająca i bezwzględna, ale oferuje coś, co uwielbiam: bezgraniczną wolność w spontanicznym kreowaniu muzyki na scenie.

Niekiedy improwizacja prowadzi Pierończyka w stronę opowieści abstrakcyjnej, nieopartej na żadnym wcześniej zaplanowanym temacie: – Gdy mam dobry dzień, jestem w stanie improwizować bez



Manfred Eicher i Keith Jarrett podczas próby dźwięku przed koncertem w Amerikahaus, Monachium, 1973 r.

przygotowanego scenariusza niemalże bez końca. Nie mogę jednak zapominać o różnorodności, budowaniu i rozładowywaniu napięcia, by godzinne spotkanie z jednym tylko instrumentem nie było dla słuchaczy zbyt monotonne. Kluczowe jest brzmienie instrumentu. Ono potrafi mnie inspirować i prowadzić w ciekawe i nieznane rejony wyobraźni.

Przed Jarrettem stało jednak zadanie dużo trudniejsze: okiełznać narowisty, wadliwy fortepian, uciszyć własny zmęczony bólem i bezsennością organizm i dać publiczności – oraz Verze Brandes – coś na miarę ich oczekiwań.

Włodek Pawlik też raz przeżył coś podobnego, gdy na nagranie koncertowe „Stabat Mater” z chórem gregoriańskim do Sanktuarium Matki Boskiej w Tuchowie w Wielki Piątek 2000 r. przywieziono mu instrument, w którym zaczynały się trzy klawisze: – Gdyby to była wcześniej

napisana kompozycja, to najprawdopodobniej odmówiłbym udziału w nagraniu, ale że chodziło o moje improwizacje na bazie chorału, to miałem możliwość unikania w czasie gry tych nieszczęsnych klawiszy.

Wiedząc o niedomaganiach dołu i góry klawiatury, Jarrett skoncentrował się na środkowej jej części. Mając zaś w pamięci zawodny pedał, zaczął przyciskać go stopą niemal jak instrument perkusyjny, by wydobyć zeń nieoczekiwane efekty. Grał całym ciałem, wstawał, kucał, niemal kładł się na klawiaturze, pojękiwał – toczył fizyczną walkę z barbarzyńskim przeciwnikiem.

Zmienił w Kolonii całe swoje podejście do fortepianu i do własnej gry. Tak jakby znał i parafrazował jedną ze wskazówek ze słynnego zestawu kart losowych Oblique Strategies Briana Eno: „Błąd może być ukrytą intencją”. W tym wypadku

wada mogła wskazać zupełnie nowe drzwi. I Jarrett te drzwi otworzył. Jak później twierdził, czuł, że po prostu nie ma wyboru.

McGyver Jarrett

Nie miejsce tu na szczegółową czy nawet pobieżną analizę zarejestrowanej wówczas muzyki. Kto zna, wie pewnie o niej wszystko, kto nie – może posłuchać. Istotne są dwa aspekty wykraczające poza samą sztukę.

Po pierwsze zatem – fundamentalna decyzja artysty, by zmierzyć się ze sferowanym sprzętem i chcieć przekuć jego niedostatki na nową wartość. Ironią losu oto koszmar okazał się błogosławieństwem – ale w chwili, gdy Jarrett wychodził na scenę w Kolonii, nie miał o tym pojęcia. Wiedział tylko, że zrobi wszystko, by wyjść z tej potyczki obronną ręką. A udało mu się nawet odnieść triumf.

Być może kluczowa była u niego odmowa zaufania instynktowi, odruchowo nakazującemu przewidywalny wybór – grę bezpieczną, po linii najmniejszego oporu, wedle zasad przetrwania. Pianista postanowił poszukać możliwości tam, gdzie ich zrazu nie dostrzegał. Czy nie na tym między innymi polega rzetelna, prawdziwa kreatywność?

Kreatywność jest czymś odrębnym wobec sprawności technicznej i wobec talentu. Więcej ma być może wspólnego ze sztuką adaptacji, ale też z odwagą odejścia od rutyny. To pewna dyspozycja psychiczna, by pójść w nieznanne – także przy świadomości, jak w wypadku Jarretta 24 stycznia 1975 r., że droga jest usłana cierniami.

Jednak w zawodach twórczych sprawa wcale nie jest tak oczywista. Włodek Pawlik przestrzega: – Wyjść poza strefę komfortu, odrzucić bezpieczne, ustalone zasady? To kusi, ale grozi też ujawnieniem słabości i braku wystarczających umiejętności improwizatorskich. Nie każdy muzyk jest na tyle kreatywny, by nie spalić się jak Ikar w próbie poznania przyjemności „wędrowania po pastwiskach nieba”, jak pisała Osiecka.

Matylda Porębska, psycholożka i psychoterapeutka z warszawskiego Laboratorium Psychoedukacji, roztropnie zauważa, że trudno w sytuacji koncertu Jarretta sprzeć pół wieku orzec, co miało decydujący wpływ na decyzję artysty: –

Album z koncertu skazanego na fiasko jest, najlepiej sprzedającą się do dziś płytą z solową muzyką fortepianową, nie tylko jazzową.

Liczba sprzedanych egzemplarzy albumu przekroczyła cztery miliony.

Skoro od kilku dni czuł się źle, może nadszedł moment rozładowania napięcia? A może gorszy instrument wymusił na nim większe skupienie, dlatego pracował na zdwojonych obrotach, by poszukać czegoś nowego? Psychologia nazywa to mechanizmem sublimacji, czyli przekształcenia frustracji i presji w coś konstruktywnego.

Istotne jest zapewne także to, by mieć zaufanie do siebie i nie bać się oceny. Te walory Jarrett zdecydowanie miał. Był też pewnie najzwyczajniej ciekaw, ile zdoła wydobyć z instrumentu, który nie rokował: – U Jarretta być może oznaczało to zarówno dojrzałość artystyczną, jak i odwagę podjęcia ryzyka w obliczu przeciwności. Mógł dojść do przekonania, że liczy się nie perfekcja, a sam akt tworzenia, który ma moc przekraczania ograniczeń.

Lukratywna katastrofa

Drugi aspekt to fakt, że album z koncertu skazanego na fiasko okazał się ponadczasowym bestsellerem, najlepiej sprzedającą się do dziś płytą z solową muzyką fortepianową, nie tylko jazzową. Parę lat temu liczba sprzedanych egzemplarzy albumu przekroczyła cztery miliony. A nie jest to wszak muzyka lekka i łatwa. I tu już zawodzą wszelkie definicje i strategie. Eicher nie prowadził rozbudowanej kampanii promującej „The Köln Concert”, bo choć słyszał efekt, nie wierzył, że inni też usłyszą.

A jednak. Włodek Pawlik nazywa takie płyty z angielską „masterpieces”: – Taki Parnas dany jest niewielu muzykom, a nagrodą są miliony serc otwartych na

wzruszenia w zetknięciu z dziełami oryginalnymi, ponadczasowymi i po prostu pięknymi. One wywołują w słuchaczach wrażenie docierania do najgłębszych pokładów wzruszeń i wrażliwości na Piękno.

Pierończyk wskazuje jednak na ten powtarzający się niekiedy czynnik wyjścia ze strefy komfortu: – Miles Davis w dwa dni nagrał cztery albumy („Cookin’”, „Relaxin’”, „Workin’” i „Steamin’”), byle tylko wywiązać się z kontraktu i móc przejść z wytwórni Prestige do Columbii. Coltrane nagrywał „Ballads”, bo miał kłopoty z zębami i mógł grać tylko oszczędnie. Stan Getz podczas nagrywania „Getz/Gilberto” non stop spierał się z João Gilberto. A Jarrett w Kolonii zmagiał się z własnym ciałem i nieodpowiednim fortepianem. A to wszystko są bestsellery!

Czy publiczność kolońska wiedziała lub się choćby domyślała, co się właśnie odbywa? Zapewne jedynie to – co niekiedy słysząc w pełnych zachwyty westchnieniach z sali – że uczestniczy w czymś wielkim, do czego idealnie pasuje nadużywane dziś słowo „magia”. Bo w istocie trzeba mieć w sobie coś nie z tej ziemi, z innego porządku, by świadomie przekuć koszmar w dzieło zbawienne.

Dopiero w 1990 r. Jarrett wyraził zgodę, by tamto ulotne, wyczarowane w pewną styczniową noc kolońską zdarzenie muzyczne przekuć w transkrypcję. Nie zmienił jednak zdania co do istoty rzeczy i zalecał, by jednostkowe doświadczenie improwizacji pozostało celem, a nie środkiem. Tymczasem kubański wirtuoz gitary Manuel Barrueco w 2002 r. dokonał nowej transkrypcji na gitarę, która następnie posłużyła jako partytura także do wykonania na innych instrumentach. Pozwala ona adeptom szlifować technikę, ale z prawdziwą kreatywnością i z magią nie ma już nic wspólnego.

Dziś Jarrett może żyć tylko wspomnieniami – przebyte w 2018 r. udary pozbawiły go zupełnie możliwości gry. Skarży się, że nawet w snach nie potrafi już wydobyć z klawiatury tego, co słyszy w głowie. Pół wieku temu jednak udowodnił, że stać go na odwagę, zstąpić do otchłani z popsułym fortepianem *baby grand* i z Jarretta Szarego przeistoczyć się w Jarretta Białego.

Odłożyć na bok niedający się spełnić sen o ogromnych możliwościach, by dokonać niemożliwego.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

Fałszywy rumieniec

ANITA PIOTROWSKA

Prezeska korporacji z Manhattanu ucieka od idealnego życia w dziki romans z dużo młodszym stażystą. Wielki ziew? W tym przypadku jednak nie, bo „Babygirl” mistrzowsko tasuje zgrane karty.



KAŻDA DEKADA MA SWOJE KINOWE „porno”. Ale w przypadku tego filmu nie dajmy się zwieść marketingowym chwytom, stosowanym głównie wobec kobiecej widowni – to żadne „9 i pół tygodnia” ani „50 twarzy Greya”. Na tym polega nieporozumienie z „Babygirl” i dlatego szklanka mleka, jeden z ważkich rekwizytów lub raczej fetyszy z tego filmu, dla wielu pozostanie do połowy, a nawet całkowicie pusta. Tymczasem scenarzystka i reżyserka Halina Reijn tylko częściowo nakręciła film o seksie czy nawet o tym, że w seksie rzadko chodzi jedynie o seks, bo przecież różne rzeczy się nim załatwia albo zalecza. Mimo deklaracji zawartych w wywiadach nie jest to również film emancypacyjny w najprostszym sensie, z kobiecym orgazmem na sztandarach. Zostajemy zaproszeni do przewrotnej gry, w której wiek, płeć, pozycja zawodowa i status społeczny tworzą wieloznaczny spłot.

Holenderska reżyserka tylko udaje, że robi film typowo hollywoodzki. Romy, zagrana przez Nicole Kidman prezeska korporacji z Manhattanu specjalizującej się (znak czasu) w robotyce magazynowej, ucieka od idealnego życia liderki,

żony, matki w dziki romans z dużo młodszym stażystą. I ziew byłby w tym momencie bardzo uzasadniony, tyle że „Babygirl” co i raz tasuje zgrane karty. Nie chodzi nawet o to, że to przystojny tupeciarz Jack uwodzi i osacza swoją szefową, natychmiast rozczytując jej seksualne niezaspokojenie w małżeństwie, skrywane masochistyczne ciągoty i ewidentny „kompleks tatusia” – widzieliśmy już podobne przejęcia czy odwrócenia ról.

Od początku jednak jest coś komicznego w tej relacji. Przy pierwszym spotkaniu Jack, w domyśle: filmowe „ciacho”, poskramia ciasteczkami rozwścieczonego psa, który rzecz jasna okaże się suką. W innej scenie, zaraz po firmowej imprezie, Romy znajduje jego „zwis męski ozdoby”, który wprawia ją nieomal w ekstazę. A przed pierwszą hotelową randką ona, perfekcyjnie „zrobiona”, serwuje sobie na naszych oczach dodatkowy zastrzyk botoksu. Dołóżmy do tego jeszcze muzyczne ilustracje, jak „Never Tear Us Apart” w wykonaniu Michaela Hutchence’a czy aluzyjne „Father Figure” George’a Michaela (oba z 1987 r., czyli sądząc po metryce Romy, mogła mieć kiedyś plakaty tych panów na ścianie), a trudno doprawdy uwierzyć, że serwuje się nam uwodzicielski dreszczowiec erotyczny.

Jeśli można mieć dreszcze w tak zwanych „momentach”, to raczej z zakłopotania. Gdyby chodziło o seks po prostu naganny z punktu widzenia małżeńskiej etyki czy służbowych zależności i za obopólną zgodą odwracający wektory władzy, dałoby się doszukać w tym jakiejś perwer-

sji bądź transgresji. Jednakże oglądamy seks przede wszystkim niezgrabny, bez podniecającej choreografii, kadrowania, montażu, bez zwyczajowej fonosfery, zawstydzający i uczestników, i patrzących. Bo przecież „Babygirl” to w dużej mierze film o patrzeniu, również tym wpisanym w filmowy aparat, z fabrycznie wmontowanym uprzedmiotowieniem płci zwanej piękną. Tym razem to on, nie ona, jest czytającą projekcją. Jakże jednak ułomną; niby kusi, dominuje, niby bawi się niepewnością dojrzalej kobiety, by już za chwilę wypaść z roli superkochanka. Co naprawdę Jack wtedy czuje i myśli, do końca się nie dowiemy, bowiem to ona jest cały czas w centrum filmowej uwagi i poniekąd też za kamerą, w miejscu operatora Jaspiera Wolfa. Lecz jeśli by ktoś szukał filmu z serii „czego pragną kobiety w jesieni życia”, niech lepiej zobaczy „Powodzenia, Leo Grande” z Emmą Thompson.

W „Babygirl” sam klucz obsadowy sugeruje, żeby nie brać tej historii nazbyt dosłownie. Kidman świadomie rozwija i rozbija swoje role nowojorskich burżujek, skrywających za idealną powłoką mroczne lub wstydlive sekrety. Zwłaszcza w „Oczach szeroko zamkniętych” (1999) Stanleya Kubricka, z bardzo podobnymi wnętrzami, stylówkami i bożonarodzeniową choinką. Harris Dickinson, czyli ekranowy Samuel, dał się zapamiętać jako zblazowany model z filmu „W trójkacie” (2022) Rubena Östlunda, gdzie samym grymasem twarzy odgrywał różnice między marką luksusową a popularną (jej logo błysnie nam także

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śłuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



NIKO TAVERNISE / MATERIAŁY PRASOWE M2 FILMS

„BABYGIRL”

– reż. Halina Reijn.
Prod. USA 2024.
Dystryb. M2 Films.
W kinach.

Halina Reijn
zaczynała
w Holandii jako
aktorka teatralna,
telewizyjna i filmowa.
Grała m.in. u Paula
Verhoevena
w „Czarnej
księdze” (2006).
Jego reżyserskim
debiutem był
„Instynkt” (2019),
wyroczniony
na festiwalu
w Locarno.
Następnie
zrealizowała w USA
parodię horroru
„Bodies Bodies Bodies”
(2022), a ostatnio
film „Babygirl”
z nagrodzoną
w Wenecji
rolą Nicole Kidman.

Kadr z filmu
„Babygirl”.

w „Babygirl”) oraz domagał się męskiego równouprawnienia wobec nierówności płac w branży modowej.

Antonio Banderas w roli rogatego męża i wrażliwego reżysera teatralnego odżęgnuje się od autostereotypu hiszpańskiego kochanka, a fakt, iż jego bohater wystawia właśnie „Hedde Gabler”, jeszcze jeden ibsenowski portret kobiecego niespełnienia, należy uznać bardziej za interpretacyjny zwód niż trop. Dołożmy do tego fałszywie ekstatyczne tony na ścieżce dźwiękowej Cristobala Tapii de Veera i podobnie fałszywe obietnice związane z poczuciem winy, spowiedzią, pokutą i przebaczeniem. Wszelkie potencjalne oczekiwania, by bohaterka została sprawiedliwie ukarana, zmuszona do pokajania się albo inaczej – zgodnie z duchem postępu i odwracania stereotypów – żeby zatriumfowała jako kobieta, zostają przez Reijn zaspokojone połowicznie, z dużymi znakami zapytania.

Ironia ściera się tutaj z postironią, niczym w filmie „Tár”, prowokującym współwzrost w zespół obyczajowych postępów i konserwatystów. Tak więc rumieniec namalowany na twarzy Nicole Kidman wcale nie jest aż taki sztuczny, jak się wydaje. Może on zrazu sugerować, że występująca z pozycji feministycznych reżyserka asekuruje się tą sztucznością, by nie zostać posądzoną o wstecznicstwo (że niby wszystkie one, gospodynie domowe czy szefowie w korpo, marzą tak naprawdę o jednym). Przewrotność „Babygirl” polega na tym, że ów przekaz, o ile w ogóle komuś przyjdzie do głowy, natychmiast może zostać wzięty w cudzysłowy, czasem podwójny.

Podobnie komentarz z przeciwległego ideologicznie bieguna – że choć mamy dziś więcej kobiet u władzy, to znacznie mniej się im wybacza, gdy przekraczają granice. Wykonana z materii uchodzącej za tandetną, podszywająca się pod własną parodię, „Babygirl” bezwstydnie igrą napięciem między tym, co kobiecie wolno i wypada, a co w sobie tłumi pod wpływem kulturowych nakazów czy traumatycznych doświadczeń. Między emancypacją a jej łatwą kompromitacją w naszych oczach. Twarz Kidman, podana w filmie niczym na talerzu, z ostentacyjnymi śladami czasu i rozpaczliwej walki z nim, z oznakami uprzywilejowanej walczy z wiecznym głodem, twarz skrzywdzonej ongiś dziewczynki, najlepiej to wszystko opowiada. ©

Lektor: Portret Lita



■ Jan Lityński
LITOSFERA. AUTOPORTRET ODCZYTANY
Wybór Dominik Szymański,
redakcja Małgorzata Sopyło.
Ośrodek Karta, Warszawa 2024,
ss. 504 + ilustr.
Seria Świadectwa XX wiek – Polska.

„JAN LITYŃSKI MA DZIŚ URODZINY. 79 LAT” – POWIADOMIŁ mnie w sobotę Fejsbuk. Ten portal tworzy ulotną i nierealną przestrzeń, w której umarli zdają się nadal żywi. A przecież nie sposób nie pamiętać tej śmierci sprzed czterech blisko lat, 21 lutego 2021 r., gdy Jan Lityński utonął w Narwi, usiłując ratować swojego psa Fryderyka, pod którym załamał się lód...

W sobotę wiadomość z Fejsa, a poprzedniego dnia na moim biurku znalazła się ta książka. Jan Lityński był opozycjonistą czasów PRL-u, jednym z „komandosów” w Marcu ’68, działaczem Komitetu Obrony Robotników, nadziemnej i podziemnej Solidarności, obrońcą praw człowieka, w wolnej Polsce czynnym politykiem i posłem. Za swoje zaangażowanie płacił więzieniem – w Marcu, w maju 1977 i w stanie wojennym. „Nie był tak znanym liderem, jak Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Adam Michnik – pisze o nim w posłowie Andrzej Friszke. – Był jednak tuż za nimi i obok nich. Zawsze lojalny, pomocny w organizowanych akcjach, w wymianie myśli, niezawodny, gdy trzeba było wejść do akcji i zaryzykować”.

Studiował matematykę, nie był pisarzem, najwyraźniej jednak czuł potrzebę zapisania swojego pokoleniowego doświadczenia. Dziennik zaczął prowadzić jeszcze w czasach szkolnych. Po latach wspominał, że to Marzec „ustawił” go w życiu. Pisanie autobiograficznej „Ucieczki do wolności” przerwała śmierć; książkę doprowadził do roku 1981, teraz uzupełniono ją innymi tekstami, w tym listami z więzienia. Mamy więc obraz drogi, wspólnej dla wielu „komandosów”: od komunistycznego domu, poprzez stopniowe rozeznawanie istoty autorytarnego ustroju, stanowczy – czasem wydawało się, że straceńczy – opór, po udział w budowaniu demokratycznego państwa. Portret pięknego, odważnego człowieka.

Wydawcą książki jest Ośrodek Karta, niezależna instytucja powstała jeszcze w latach 80. zeszłego wieku w podziemiu, mająca ogromne zasługi w opisywaniu najnowszej historii i ocalaniu jej świadectw, nieuwikłana przy tym w żadne polityczne zależności. Teraz czytam, że boryka się ona z poważnymi kłopotami finansowymi. Zupełnie tego nie pojmuję – czy naprawdę w kraju, w którym przy byle okazji wymachuje się narodowymi sztandarami i ładuje pieniądze w jakieś pseudopatriotyczne przedsięwzięcia, miałyby tych pieniędzy zabraknąć dla Karty, która naprawdę dba o Pamięć Narodową i jej obiektywny kształt? ©©

OLGA

Drenda:

Z wypiekami



CAŁY TYDZIEŃ UPŁYŃAŁ POD ZNAKIEM żartów o fikcyjnym pieczywie. W swobodnych rozmowach na żywo, w esemesach i na messengerze, rodzina, przyjaciele i współpracownicy wspominali o chałkoniu. Chałkoniu, czyli, przypomnijmy, kilkumetrowym ko-

niu wykonanym z pieczywa, za którego pomysłu i pracowni autorce oczywiście nikt nie podziękował. Pewna strona, dodajmy, że całkowicie prawdziwa, wygenerowała obrazek z tym imponującym wypiekiem przy pomocy narzędzia opartego na sztucznej inteligencji. Oczywiście był to celowy żarcik, wykorzystujący popularny ostatnio, grubymi nićmi szyty format spamu: „nikt się ze mną nie przywita, bo pochodzę ze wsi”, „sama zrobiłam ten sweter, ale nikt mi nie podziękuje” (choć już fakt, że za tymi obrazkami najprawdopodobniej stoi sekta, a ich celem jest werbunek i wyłudzenie datków, jest zdecydowanie mniej zabawny).

Łatwo się zachnąć – to mało ważne sprawy, dziś chałkoń, jutro co innego. Ktoś niedawno napomknął zgryźliwie, że pisanie w poważnym czasopiśmie o takich błahostkach jak internetowe mody czy memy nie przystoi. Nie mogę się zgodzić; takie treści są składnikiem zupy życia codziennego i bywa, że nadają jej specyficzny posmak. Kiedy nie było jeszcze internetu, czujny autor mógł zwracać uwagę na poematy w toalecie (to dopiero niegodne), na to, co na targu powiedziała jedna pani drugiej

pani i jakie krążą powiedzonka w mowie potocznej, na brzydkie, groźne wydawnictwa, których nikt nie szanuje. Ignorując je czy uważając za niewarte zainteresowania „poważnego autora i równie poważnego czytelnika”, pomijamy coś, co nie raz stanowi o kolorycie swojego czasu i pozwala lepiej go zrozumieć. Archeolodzy sporo wiedzy też czerpią ze śmieci, a nawet z zawartości dawnych toalet. Nie ma co zatykać nosa.

I tak chałkoń – a raczej perfidne obrazki, którymi został zainspirowany – mówią coś ważnego o oszukiwaniu, budzeniu zaufania i pozorach. Komu bowiem nikt nie dziękuje, z kim nie chcą się witać? Z uosobieniem zdrowego rozsądku, skromności, trzeźwego myślenia i normalności, czyli rolnikami, pracownikami fizycznymi, gospodyniami (fikcyjnymi). To nie przypadek. Obrazki dzieci o smutnych oczach – to przedszkole wyłudzenia. Prawdziwa sztuka to wkręcić kogoś, kto twierdzi, że nie da się go wystrychnąć na dudka, bo jest uzbrojony w potęgę chłopskiego rozumu. Najskuteczniejszy *scam* jest bowiem pisany dla wąskiej, ale doskonale zbadanej i wymierzonej grupy podatnych. Myślimy „ale to głupie”, a jednocześnie co roku tysiące ludzi wierzą w jakieś oszustwo. I niekoniecznie są to ludzie nieobcy w internecie.

Żyjemy, nie tylko w Polsce, w czasach ofensywy „zdroworozsądkowych” przekonań, choć pod tym hasłem najczęściej zazwyczaj zapewne rozumiemy swoje własne. Jednocześnie wśród naszego społeczeństwa trwa rys nieufności i liczenia na najgorsze, zatem trudno o gorsze piętno niż łatka naiwniaka, jelenia. Sporo krąży o tym powiedzeń: „nie urodziłem się wczoraj” (oburzone), „na jakim ty świecie żyjesz” (lekceważące), a ludziom, którzy np. nieświadomie podpisali niekorzystne dla siebie umowy, przypisuje się skrywane nieczne pobudki albo „życzliwość” doradza, że „trzeba było myśleć”. Wielu ludzi bowiem sądzi, że są wystarczająco nieufni i zdroworozsądkowi, że nabierać to oni, ale nie ich. Nie uwierzyliby akwizytorowi w garniturze, gwieździe telewizji, profesorowi z Warszawy, bo ci mają pstro w głowie. Ale jak można się nie przywitać z prostym, rzetelnym, znającym pracę rąk, sztucznie wygenerowanym człowiekiem?!

Komunikat trafia w czuły punkt, w samo sedno dumy z chłopskiego rozumu. Widocznie naprawdę sprawni wyłudzacze i oszuści (czyli zaskakująco często ci, którzy celowo stosują ostentacyjnie durne metody) wiedzą o nas coś, z czego sami nie zdajemy sobie sprawy. Np. z tego, że bardzo chcemy, żeby ktoś nam powiedział: „człowieku, ty to masz łeb na karku i wiesz, co się w życiu liczy”, choćby był to wytwórca chałkonii. Pod tym względem obrazki wymuszające przywitania i podziękowania to jakiś straszliwy rodzaj majstersztyku (choć budzą też bardzo gwałtowne, negatywne reakcje wśród domniemanej grupy docelowej i użytkownicy zaczynają zachowywać się tak, jakby krzyczeli na telewizor albo upartego telemarketera, co niewątpliwie napełnia nadzieją). Przede wszystkim pokazują jednak ograniczenia „zdroworozsądkowego” spojrzenia na świat. ©

Uwaga
chałkonie!



OLGA DRENDA

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo:

Jabłka dla cesarów



„ZEUS TO BOWIEM CZŁEKA WWIÓDŁ NA rozumu drogę: cierp i cierpieniem ucz się – rzekł”. Nad zgromadzonymi na Kapitolu uczestnikami inauguracji Trumpa wisiał cień sinolicej Hybris, tej wiecznie nienażartej pychy, ale ja kartkowałem „Oresteję” (w przekła-

dzie Stefana Srebrnego) nie z jego powodu. O słowach Ajschylosa przypominał mi inny obecny tam imperator, władca feedów i rolek, pan każdej mojej i twojej minuty zmarnowanej na scrollowaniu.

Przemianę stylowy Marka Zuckerberga media zauważyły już jesienią. Teraz kreuje się na luzaka. Mało kto jednak zwrócił uwagę na greckie i łacińskie słowa na jego nowych koszulkach. Jeśli sam je dobrał, to znaczy, że zanim rzucił Harvard, zajmował się nie tylko projektowaniem strony do oceniania urody koleżanek. Nie są to zresztą jakieś rzadkie sentencje, za to straszne. „Aut Zuck aut nihil”, „Albo Zuck (w łacińskim oryginale: Cezar), albo nic”. No i sławne zdanie z Katona o burzeniu Kartaginy – w slangu politycznym to się tłumaczy: „dojechać ich!”. Do tego łańcuch z plaketką, a na niej słowa żydowskiej modlitwy „Mi shebeirach”, którą sam tak streścił w wywiadzie: „obyśmy mieli odwagę sprawić, by nasze życie było błogosławione”.

Piękne słowa, jeśli zachowamy pokorę w codziennym podejmowaniu ich sensu. Taką, jakiej nauczał wielki XIX-wieczny cadyk z Góry Kalwarii Juda Lejb Alter. Otóż zachęcał on, by ludzie brali przykład z aniołów – nie zapominając o swojej niższości, nie bali się jednakowoż kroczyć blisko Boga. Tego cadyka noszę we wdzięcznej pamięci, bo sporo czasu poświęcił dociekaniom, jak i dlaczego wino prowadzi człeka ku mądrości. Ale tym razem rebe Juda przypomniał mi się z powodu jabłek. Przez instagram mogłem obserwować, jak spod Grójca śmiga do Brukseli furgonetka z jabłkami (na moje oko golden delicious i gala) dla przywódców dużych i małych, którzy w tym półroczu mają obradować w Unii pod światłym okiem polskiej prezydencji. Żeby łatwiej było im rozplątywać węzły gordyjskie, nasze władze będą karmić ich jabłkami.

Grójeckie jabłka – wyrosłe w największym zagłębiu sadowniczym kontynentu – mają swój znak handlowy, który żem właśnie dojrzał po raz pierwszy. Ze skrzynek

lypie nie kto inny, jak Bona Sforza. Drugorzędna włoska szlachianka przez nasze kompleksy znów wyniesiona na piedestał! Owszem, królowa dostała dobra w okolicach, które obsadziła owocowymi drzewami, więc na siłę da się dorobić legendę dzisiejszym jonagoldom i szampionom. Ale fenomen grójeckich sadów to zasługa całkiem nowoczesnych uczonych, a przede wszystkim kolejki piaseczyńsko-grójeckiej, zbudowanej na przełomie XIX i XX wieku, która zapewniła sadownikom łatwy zbyty i umożliwiła przejście na skalę przemysłową. Ten proces dziś zaszedł na pewno za daleko, ale wówczas był to dobroczynny dla ludzi i okolicy postęp. Kolejkę zainicjowali i finansowali krawiec nazwiskiem Paszkowski, pewien książę z Lubomirskich, tudzież inni przedsiębiorcy. Ale w tym towarzystwie znalazł się też cadyk Alter, którego interesowała odnoga torów do Góry, dokąd tłukli się po wybojach tysięczni pielgrzymi.

Logistyka jabłek, cegieł, tarcicy i dusz – dostawcy, tragarze i pielgrzymi pod ramię z aniołami. Taką bym wolał marketingową opowiestkę. Wielu nostalgików tęskni za „starymi sadami” i dobrze ich rozumiem, bo te dzisiejsze karłowate bieda-drzewka to widok zaiste smętny, a jabłka wprawdzie dobrze znoszą czas, ale kosztem charakteru. Ale nawet teraz są to najsmaczniejsze jabłka w Europie i o tym tylko chce być ten dzisiejszy felieton. Bez względu na to, że choćby w Brukseli zjedli ich tonę, to i tak nas to nie wybawi przed pychą nowych cesarów. Cierp i cierpieniem ucz się.

Niewidzialne ciasto jabłkowe

Niewidzialne, bo to taki inteligentnie przebudowany racuch.

Składniki: 1 kg renet 4 łyżki stopionego masła 100 g cukru (albo nieco więcej, jeśli lubicie mocno słodkie) 3 jajka 120 g mąki pszennej 110 ml mleka ■ pasta waniliowa ■ sól

Obieramy jabłka (zamiast renet użyłem ostatnio odmiany finezja), usuwamy gniazda nasienne i kroimy na plastry grubości 3 mm. Skrapiamy cytryną, by nie pociemniały. Mieszmamy masło z cukrem i szczyptą soli, dodajemy jajka po jednym, ciągle mieszając, i stopniowo mąkę. Kiedy znikną grudki, dolewamy mleko i odrobinię pasty waniliowej. Zalewamy tą masą jabłka, delikatnie mieszamy palcami, żeby były jednorodnie pokryte. Foremkę o wymiarach co najmniej 10x22 cm smarujemy masłem, dno i dłuższe brygi wykładamy papierem. Układamy jabłka w dachówkę, ścisłymi warstwami, wypełniając każde puste miejsce mniejszymi kawałkami, aż do 1 cm poniżej brzegu. Pieczemy w 180 st. C ok. godziny, aż wewnątrz będzie suche. Jeśli zacznie się od góry za wcześnie rumienić, osłaniamy folią. Podajemy po wystudzeniu, kiedy osiadzie. ©P



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

HALKA, TALIA, ŁYDKA

JUSTYNA KRZEPKOWSKA, KOSTIUMOLOŻKA:

Kapelusze zniknęły, bo nie umiemy już ich nosić. Trzeba by iść z wyprostowaną głową i patrzeć ludziom w oczy.

A dziś na ulicach unikamy spojrzeń.

Kto by tam uchylał kapelusza.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Policzyłaś wszystkie kostiumy w Twojej pracowni?

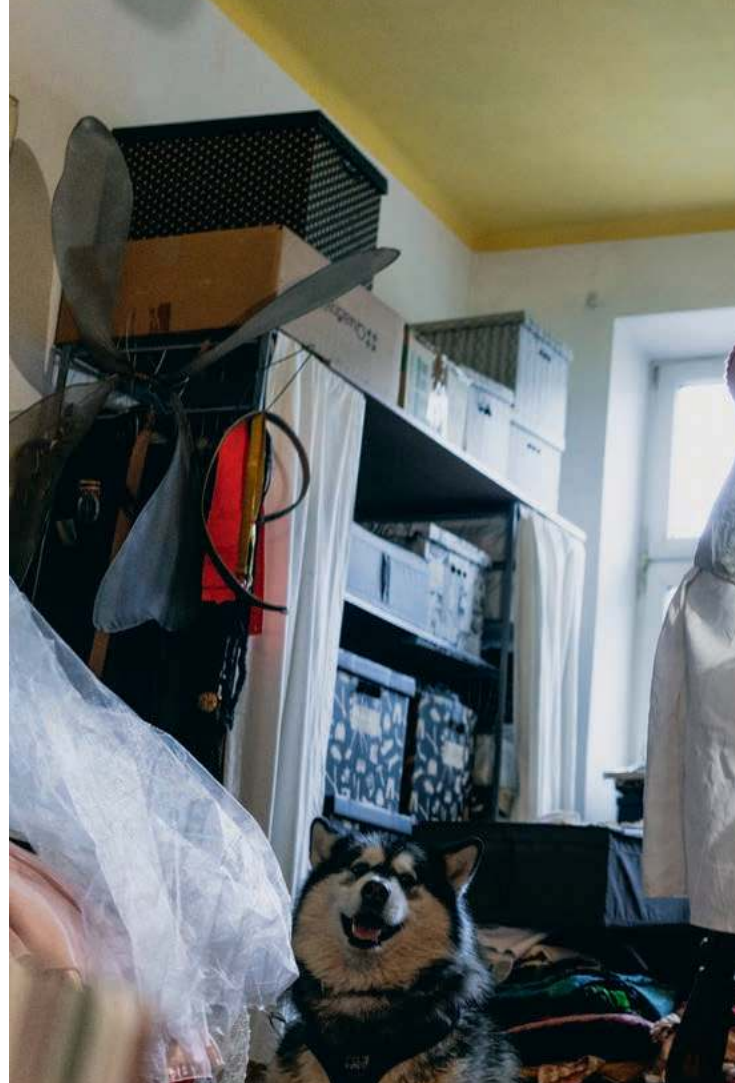
JUSTYNA KRZEPKOWSKA: E tam, za dużo roboty. Tu jest 100 metrów: cztery pokoje, korytarz, wieszaki, półki, zakamarki, pudełka i pudełeczka. Ale bezbłędnie znajduję to, co jest mi potrzebne. Ubrania zbieram od lat 90., no i kolekcja zrobiła się pokaźna.

Pierwsza wartościowa zdobycz?

Jako dwunastolatka wyjechałam u babci przedwojenną, granatową, pięknie odszytą sukienkę z półprzeźroczystej żorżety, która ma mięsistą, lekko szorstką fakturę. Babcia była szczuplutka, ja pulpet, więc spódnice zrobiłam w ten sposób, że w pasie sukienkę nożyczkami chlasnęłam. Lecz najpierw wsadziłam ją do miednicy, ręcznie przeparałam, wyjęłam z wody i serce mi stanęło: z rozmiaru 36 zrobiło się ubranko na Calineczkę. I po wyschnięciu sukienka nadal pozostawała w rozmiarze mini. Rozłożyłam deskę do prasowania i sunę żelazkiem. Pod wpływem temperatury sukienka wróciła do wyjściowego rozmiaru. To było dla mnie objawienie.

Były jakieś inne?

Przedwojenny płaszcz dziadka: on był tak sztywny, że dało się go postawić na baczność. W liceum zabrałam się za jego przeróbkę, wyprułam wnętrze, w którym znajdowało się plecione, kłujące końskie włosie. Trudno nawet zliczyć ilość sztywników powodujących, że płaszcz zachowywał nieskazi-



telną formę. Legenda rodzinna głosi, że dziadek jeździł z proboszczem do miasta na zakupy: ksiądz kupował ryps na sutannę, a on na płaszcz. Ryps to drogi, szlachetny materiał z fakturą w postaci mikrorowków. Do dziś można go dostać.

A jakich materiałów dziś już się nie dostanie?

Lista jest długa, niestety. Kiedy zamieszkałam w Krakowie na początku lat 90. i pojawiły się sklepy z tanią odzieżą, to z tych stosów szmat wygrzebywałam perełki – kaszmiry i jedwabie – w postaci kłębu psu z gardła wyjętego. Zmięte i ohydne, a po małej renowacji olśniewające i szlachetne. Dziś niewykonalne jest znalezienie czystej bawełny, lnu, aksamitu. Do prawie wszystkiego dodawane są sztuczne domieszki.

Z domieszką materiał jest tańszy w produkcji?

Oraz łatwiejszy w noszeniu. Choćby wełna: nie mniej się, więc nie trzeba prasować. Żyjemy w czasach, w których stawia się nie na jakość i elegancję, ale na praktyczność i wygodę. Jesteś w wiecznym ruchu, w zadaniach. Wsiadamy do pociągu, wysiadamy z samochodu, lecimy samolotem, biegniemy na zawodowe spotkanie i nie chcemy zwracać sobie głowy tym, że coś nie gra w garderobie i trzeba poprawić. Tyle że w sztucznych materiałach my się gotujemy. Ciało w koszuli z poliestru nie ma prawa oddychać tak, jak ciało w koszuli z lnu. Znikają nie tylko materiały, ale i części garderoby. Widzę, że jesteś w spódnicy. Masz pod spodem halkę?



GRAZYNA MAKARA

No co Ty!

A ja mam kolekcję kilkudziesięciu halek, część jest z lat 30. XX wieku. Szyte z jedwabiu i satyny, a te z PRL-u z nylonu. Z pasją wyszukiuję je na starociach. Dla mnie halka to esencja kobiecości. W „Kotce na gorącym, blaszanym dachu” Elisabeth Taylor ubrana jedynie w białą, jedwabną halkę oraz szpilki wyglądała tak dobrze, jak nigdy w żadnej sukience. Marzę o zrobieniu pokazu mody z samymi z halkami, bo to świat, którego już za chwilę nie będzie.

Dlaczego przestałyśmy nosić halki?

Nasze babki jeszcze je nosiły, matki – rzadziej, my – w ogóle. Pomijając historyczne korzenie obecności halki w damskiej garderobie, praktycznie służyły do tego, by nieelastyczna sukienka dobrze się układała na ciele. Ale halki krępowyły, opinały, pod sukienką kobieta miała coś, co było jakąś namiastką gorsetu. Te starsze halki były bogato zdobione w koronki, falbanki, mereżki, plisowanki. A w latach 60. były szyte ze sztucznych materiałów i po wypraniu schły błyskawicznie.

Zmienił się też i krój ubrań?

Przed wojną był skomplikowany. Dziś – to właśnie zawdzięczamy elastycznym materiałom – nikt nie bawi się w kliny, godety, zasewki, których kilkadziesiąt lat temu była taka ilość, że trzeba się mocno nadłubać, by je zliczyć. Dawne sukienki to misterna konstrukcja dopasowana do konkretnej sylwetki. Nie obowiązywały zunifikowane wymiary, w użyciu

JUSTYNA KRZEPKOWSKA

posiada magazyn z kostiumami, głównie stylowymi. Pracuje jako kostiumolóżka przy serialach i filmach, ostatnio przy komedii „Na bank się uda”.

Obok: jej stylizacja Stańczyka na okładce „Tygodnika” sprzed 6 lat.



były rzeczy na prawdziwych ludzi, np. sukienka na mikroskopijną panią z dużym biustem. Krawcy szyli ubrania w ten sposób, by używane spodnie czy kamizelkę można było przenieść czyli rozpruć, przełożyć stronę lewą na prawą i zszyć na nowo. To była nieprawdopodobna praca wiążąca się ze zdekonstruowaniem całości i na podstawie tego, co istniało, odtworzeniem formy. Krawiectwo przypominało umiejętności wybitnego konstruktora.

Zaczynam rozumieć, dlaczego kostium uznawany jest za dzieło sztuki użytkowej.

Ponad ćwierć wieku temu, kiedy rozpoczynałam pracę przy produkcjach telewizyjnych, kręciliśmy na Skałce dużą imprezę okolicznościową. Trzeba było ubrać poczet królów polskich. Do dyspozycji dostaliśmy magazyny Teatru Słowackiego. No i weszłam do raj! Już na parterze było bajkowo, w mroku majaczyła złota karoca. Magazyn wyglądał jak nawa kościelna.

Na pierwszym piętrze był dział męski. Stała tam szafa z trzema szufladami, a w niej na półkach męskie koszule. Bawełniane, delikatne, znoszone, mięciutkie od ilości prań i wszystkie poskładane w równiutkich rzędach. Wysunęłam pierwszą szufladę, a tam same dopinane kołnierzyki. Drugą: fulary. Trzecią: gorsy do koszuli. Czyli ruchome – przypinane i odpinane – wymienne elementy męskiej garderoby.

Dział damski?

Na drugim piętrze. Na wysokich konstrukcjach metalowych były podwieszone sukienki i kiedy zdejmowało się je kijem drewnianym zakończonym haczykiem, docierało, że jedna potrafi ważyć dobrych kilka kilogramów. Osobne pomieszczenia dla zbrojowni, butów, rekwizytów itd. Magiczne miejsce stanowiła antresola z najcenniejszymi kostiumami. Takimi, których za żadne skarby nie dało się wypożyczyć. To były dzieła kostiumografów projektujących dla Teatru Słowackiego.

Teatr Słowackiego liczy ponad 130 lat.

Kurz, roztocza i wojny przez dekady wbijały się w te materiały. Na części z bielizną pachniało mleczną serwatką. ➔

→ Bo tam były masy surówek, na wieszaku wisiały halki, bluzki, wszystko, co jest związane z płótnem. Była tam jedwabna sukienka *empire*, czyli klasyczna „Józefinka” odcięta pod biustem. I kiedy przechodziłam obok wieszaka, to widziałam, że podmuch powietrza „Józefinkę” unosi jak motyla, po czym ona opadała jak duch. Postanowiłam obejrzeć ją w detalu: złapałam za wieszak przekonana, że podnoszę piórko. I moja ręka zastygła na moment: okazało, że pod leciutką suknią jest sztywny gorset. Co powodowało, że żadna aktorka w nią ubrana nie będzie się garbić, tylko utrzyma wyprostowaną sylwetkę. Dzięki takim zabiegom nikt nie siadał byle jak, od niechcenia, pokrzywiony i pokurczony. Wszystko było korekt.

Korekt, ale także niewygodnie.

Ostatnio ubierałam w dziewiętnastowieczne spodnie młodego człowieka, był tuż po szkole aktorskiej. Dla niego to było nowe i dziwne doznanie, gdyż nie miał na sobie jeansów czy dresu. Proszę: „Nie zsuwaj paska na biodra, spodnie mają się trzymać w pasie. I nie zdejmuj kostiumu między ujęciami. Oswój go, rozchodź, patynuj, żeby nie wyglądał na wyjęty prosto z szafy”. Po kilku godzinach młody człowiek mówi, że czuje się doskonale w tych spodniach. Więc jego komfort zagwarantował materiał w postaci dobrej wełny. Spodnie miały też wewnętrzną podszewkę wszywaną z przodu, kończącą się poniżej kolan. Czyli nie cały przód nogawki, tylko jej środkowy fragment. Służyło to do tego, by chronić materiał przed naturalnymi konsekwencjami użytkowania, np. przy siadaniu i przykucaniu nie wypychać kolan. W XIX wieku w męskich spodniach wszywano w dolną listwę nogawki gumki, które wkładano pod obcas, by naprężały całość. Dlatego też spodnie szyte były dokładnie do linii kostki. Zamiast guzików czasem wszywano guziczki z pętelką, różne techniki stosowano dla uzyskania efektu idealnej linii.

A ten kontusz wiszący blisko okna?

Kilkanaście lat temu wykonana replika kostiumu szlachcica z XVII wieku. Odkupiłam okazjynie, po cenach rynkowych nie byłoby mnie stać. To droga zabawa, lekką ręką koło 15 tysięcy złotych. Powtarzam: lekką ręką. Na sam kontusz – rodzaj płaszcza z długimi rękawami – potrzebne jest pięć metrów materiału. Na żupan – rodzaj męskiej rozpinanej tuniki – drugie pięć. Znajomi rekonstruktorzy, którzy ten strój odtwarzali, zamawiali materiał tkany na wzór tych z XVII wieku. Wielowatkowe, skomplikowane sploty. Do tego trzeba liczyć dodatki: koszula, portki, skórzane buty. Żadnych widocznych guzików, biżuterią są guzy przy żupanie. Oraz pas szlachecki mierzący plus minus 4 metry, wzorowany na tych tkanych w XVII-wiecznej wytwórni słuckiej. Do tego czapka z obszyciem z prawdziwego futra i z zapinką składającą się z piór drapieżnego ptaka i z broszy. Pas skórzany na szablę. I sama szablę. Czasem buława lub buzdygan zatknięte za pas.

To obszycie na czapkę musi być z prawdziwego futra?

No przecież nie ze sztucznego! Panowie rekonstruktorzy uprawiają cudny sport: wyszukują w taniej odzieży futra oraz plądrują strychy dziadów i pradziadów swoich i znajomych. Wynajdują naturalne futra, których nikt już nie używa i przerabiają na kołnierze i wszelkie obszycia.



JUSTYNA KRZEPKOWSKA X2

Powyżej: Michał Zakrzewski jako Frida

Po prawej: Kostiumy do filmu „Dzieci chaosu” z 2023 r.

Dobrze, ale dlaczego futro w kostiumie nie może być sztuczne?

Bo to prowizorka. Kiedy oglądam film historyczny, który stara się odtworzyć realia epoki i nagle widzę pana, który paraduje w sztucznym futerku, to myślę w duchu, że to jest nieuczciwość historyczna.

Moment, patrząc na filmowy kadr, odróżniasz futro prawdziwe od sztucznego?

Natychmiast. W filmie widać matowość sztucznego materiału. Oraz to, że jest ono sztywniejsze. Może to kwestia tego, że natura jest doskonała. Prawdziwe futro pachnie zwierzęciem, w dotyku jest delikatniejsze i jedwabistsze.

Eh.

Podkreślam: jestem przeciwna fabrykom hurtem mordującym zwierzęta dla uzyskania skór i futer. Ale też nie ma co chować głowy w piach: to ze skór i futer zwierząt szyto ubrania jeszcze całkiem niedawno. Przez setki lat zimowe wersje kobiecych i męskich butów były wyściełane futrem od wewnątrz. To samo pantofelki satynowe czy jedwabne. Delie, szuby, peleryny podszywano futrem, ponieważ miały chronić przed zimmem. A nic tak nie grzeje jak futro. Do niedawna byliśmy bardzo, ale to bardzo nieekologiczni. W dwudziestolecie międzywojennym popularne były buty z węża, torby z krokodyla oraz futra z małpy – wówczas szczyt nowoczesności i ekscentryczności.



W Twojej kolekcji widzę różowo-beżową złotą sukienkę art déco i w głowę zachodzę, dlaczego nie ma ona wcięcia w talii.

Ta sukienka jest stylizowana na art déco. Zwróć uwagę, że nie jest obszyta obszyta frędzlami, tylko koralikami. Frędzle to kompromis stylistyczny, nadużycie. A ten brak talii, fason przypominający worek, to efekt gigantycznego wpływu sztuki na modę. Geometria obowiązywała wszędzie: w architekturze, malarstwie, rzemiośle. I też sylwetka kobieca została sprowadzona do prostokąta. Każda epoka dostosowywała kobietę do obowiązujących ideałów piękna. Paradoksalnie, wcale nie zniknęły gorsety, tylko były delikatniejsze i elastyczne. Tyle że spłaszczały biust, a w workowatości formy chowały smukłość bioder i wcięcie w talii. Coś takiego dobrze mogło leżeć tylko na kobietach wysokich i wiotkich. Obowiązywał mechanizm, który znamy ze współczesności. Bo art déco próbowało stworzyć modę dostosowując ją do sylwetki chłopczycy, która jest aktywna, nie cierpi na żadne dolegliwości, nie urodziła dzieci, a nawet nie wyszła z okresu dojrzewania, nie wie, co to hormonalne cykle i jest w tym momencie życia, że jeszcze uważa się za nieśmiertelną. Taka kobieta ma odsoniętą szczupłą lędźkę, co sylwetce nadaje lekkości. Na głowie nosi malutki kapelusz-budkę.

Dziś mało kto zakłada nawet mały kapelusz.

Widziałam ostatnio w jednej z sieciówek kolekcję kapeluszy, ale z kiepskiej jakości materiału, szybko zaczną wyglądać

jak kawał połamanej tektury. Kiedyś kapelusze wykonywano z filcu wełnianego lub filcu z sierści z królika czy zająca. Robi się tzw. kaplin, „dzwon”, a z niego pod wpływem pary formuje się kształt albo na formie – głównie męskie modele, albo na „główce”. Ewentualnie słomiane – zszywa się „pasmanterię” słomianą w formę kapelusza. Ja chodziłam w kapeluszu, ale zrezygnowałam, bo wiało na rynku w Krakowie.

Przez wiatr?

Nie śmieję się, mówię serio. Ale kapeluszy nie nosimy też z innych względów. Przede wszystkim nie umiemy ich nosić. Trzeba wtedy iść z wyprostowaną głową i patrzeć ludziom w oczy. Kiedyś mężczyźni witali się ze sobą, lekko uchylając kapelusza. A dziś na ulicach unikamy spojrzeń, ba, nie mamy szans na wzrokowy kontakt, bo gapimy się w komórkę. Dawniej nie wszystkich stać było na to, by posiadać cztery kapelusze, ale każdy gospodarz na wsi miał ten jeden, bo nie do pomyślenia było, by w niedzielę poszedł do kościoła z odkrytą głową.

Najcenniejszy dla Ciebie kostium z Twojej kolekcji?

Mundur uszyty przed drugą wojną światową z wbitą pieczęcią administracji niemieckiej po zajęciu Krakowa we wrześniu 1939 r. Wszystkie teatralne kostiumy wówczas zostały w ten sposób zinwentaryzowane. Mam też ogromny sentyment do sukienek z czasów okupacji. Tu ważny jest aspekt historyczny i nieodwracalność rozpadu materii. No i status posiadacza czegoś wyjątkowego.

A kostium, z którego wykonania sama jesteś zadowolona?

W tym zawodzie niebezpieczna jest rutyna, która przychodzi z liczbą doświadczeń, filmów i telewizyjnych realizacji. Ostatnio miałam zrobić kostium dla człowieka bezdomnego, sponiewieranego życiem. Pozornie nic trudnego, swojego czasu zrobiłam z takich typów habilitację, bo pracowałam przy produkcji, gdzie kreowałam ich na różne sposoby. Ale nie chciałam powtarzać tego samego. I inspiracja przyszła z ulicy: zobaczyłam pana stojącego na skrzyżowaniu. Był lipiec, żar lał się z nieba, a on miał na sobie czerwony, brudny, sięgający kostek płaszcz puchowy. Właściwie nic więcej go nie opisuje, od razu dostajesz komunikat, że on ma cały dom na sobie – łóżko, kołdrę, szafę, zabezpieczenie.

Dobry kostium to ten wiarygodny?

Każde medium wymaga innych narzędzi. W filmie kluczowe są proporcje sylwetki. To one budują postać. Dobre nogi, brak talii? Pokazujemy atuty w pęcinie i kolanie. Dobra talia, dobre nogi? Mała czarna w pół kolana. Wysoka szczupła androgyniczna – męski, za duży garnitur, z którego wystaje delikatna długa szyja. Można też użyć koloru. Ten dominujący ma skupić uwagę na największych atutach sylwetki, ale nie przysłonić najważniejszego – twarzy.

W sesjach modowych głównym aktorem jest kostium, w teatrze komunikat musi być czytelny nawet w ostatnim rzędzie widowni. Bądźmy szczerzy, głównym narzędziem dla mnie jest nie ubranie, ale człowiek do ubrania.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:

Inny świat



POWIADA SIĘ, ŻE ŚWIAT ZMIENI SIĘ w tym tygodniu nie do poznania. Z racji objęcia władzy nad sporym jego fragmentem przez D. Trumpa. Od wielu miesięcy nad nowym kształtem naszej planety zastanawiają się zarówno myśliciele, jaki i ludzie, którym

myślenie sprawia poważny problem. Słowem, można rzec, że kombinują wszyscy. To, że Ziemia się spłaszczy, nie podlega dyskusji. Od nas w znacznym stopniu będzie zależeć, po której stronie ziemskiego placka zamieszkamy, a to nie jest bez znaczenia, bowiem spodnia część będzie zawsze w cieniu. Czy jednak życie na górze, w pełnym słońcu, będzie na pewno lepsze?

Z trudem – jak tu ponuro siedzimy – obejmujemy rozległość zapowiadanych przez tego człowieka zmian. Od wygonienia z USA na poniewierkę rzesz ludzkich, poprzez aneksje ogromnych terytoriów do dziś niepodległych krajów, leżących w przynajmniej trzech strefach klimatycznych, poprzez zamknięcie w więzieniach tysięcy ludzi, zmianę cen wszystkiego, co ma cenę, aż po niemal apokaliptyczne zagarnięcie dla Ameryki wszystkiego. Od piekła po niebo. Dla reszty świata – powiada się tu i ówdzie – pozostaną spleśniałe okrawki. Kto w tym czasie nie będzie z Ameryką ani nie będzie schlebiał Wielkiemu Gospodarzowi, ten zostanie wygnany na wyschnięte peryferie świata. Będzie się musiał zakolegować albo z Rosjaninem, albo z Chińczykiem.

Ktoś strwożony zapyta teraz o nasze miejsce w nowym porządku świata. Zacząć wypada od stwierdzenia faktu takiego, że wszystko, co w Ameryce się rodzi i rozwija, trafia i do nas,

miejsca granicznego dla świata widzialnego. Przybywa tu z solidnym poślizgiem. Po drodze amerykańskie pomysły i idee ulegają pewnym modyfikacjom, zniekształceniom adaptacyjnym, klimatycznym, językowym, estetycznym, kolorystycznym i smakowym. By się tu nad Wisłą pojawić w kształcie bardzo zmienionym, wręcz nieprzypominającym oryginału. Nie chcemy stąpać po grząskim gruncie wielkich idei, więc za przykład takich deformacji weźmy detale modowe.

Oto popatrzmy na dziury w džinsach. Noszenie dziurawych džinsów to pomysł amerykański. Dawniej, w Europie było to nie do pomyslenia. Dziura w nogawce po podróży przez ocean Atlantycki, przez francuskie sublimacje i niemieckie subtelne interpretowanie mody, przekroczyła Odrę i Nysę Łużycką. Wdarła się na Ziemię Odzyskane uzyskując nową jakość, nowy wymiar i sens. Co przez dziurę widać i ile, i po co? Te tchnące świeżością pytania postawiono tu na nowo. W drodze od ziemi lubuskiej po Łomżyńskie i Przemyskie rozmiar dziury w spodniach wzrasta. O ile? Kto zadaje takie pytanie, doprawdy jest jak nieme cielętko. Otóż wzrasta w postępie geometrycznym! Takież zjawisko notujemy także w obserwacjach rzęs i sztucznych paznokci. Im dalej na wschód, tym wszystko jest większe i większe. Największe. Większe niż w Ameryce! Wdzieliśmy na własne oczy, w internecie, uruchamianie gdzieś we wschodnich Chinach pilotażowej maszyny laserowej do robienia w džinsach wysyłanych na rynki wschodnie dziur tak ogromnych, że istnienie tych spodni kwalifikowało się do akademickiej dyskusji nad sensem bytu.

Oto te spektakularne, choć przecież niewinne przykłady powinny dać nam do myślenia nad konsekwencjami kopiowania w Polsce wszystkich bądź choćby niektórych pomysłów D. Trumpa. Ma na to ochotę bardzo wielu polskich polityków, niekoniecznie skrajnych. Dlatego warto pamiętać, jak w Polsce wygląda realizacja zaplanowanych zarówno reform, jak i deformacji. Zaskakująco. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilk Superbohater.





NOWA PRENUMERATA PROSTO DO MOJEGO DOMU

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
- Kwartal – 12 wydań	170 zł
- NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	320 zł
- Rok – 52 wydania	590 zł
- Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	500 zł
- 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
- Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
- Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy) nie ulegają zmianie.
Sprawdź pełną ofertę na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY **SALES**  **manago**
marketing automation

„TYGODNIK POWSZECHNY” SUWERENNY DZIĘKI TOBIE

Trauma Holokaustu wciąż za nami podąża, czy tego chcemy, czy nie. Wiąże nas pokolenie za pokoleniem. Aby się uwolnić, musimy wiedzieć o tym, co się zdarzyło. **Musimy pamiętać.**

27 stycznia

Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu



Mieczysław Kościelniak był artystą ocalałym z niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Zobacz jego naszkicowane wspomnienia.

